

ROZMOWA Z EURODEPUTOWANĄ KONFEDERACJI

Tylko my jesteśmy wiarygodni
w krytyce Brukseli – mówi Anna Bryłka



TYGODNIK LISICKIEGO

NR 25/583 17–23 CZERWCA 2024
CENA 11,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)

DO PZECZY

Polskie zabawy „ruskimi onucami”
– Memches odpowiada Orlińskiemu



PIEKIELNY WOLTER
BEZLITOSNA
PRAWDA
O GURU OŚWIECENIA

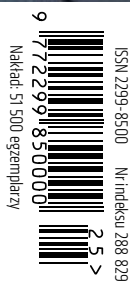
Ukraińcy winę za korupcję
próbują zrzucić na Polaków



Żołnierze boją się bronić.

Kto za to odpowiada?

ZIEMKIEWICZ OSTRO O RZĄDZIE TUSKA



Najpełniejsze na świecie,
uzupełnione wydania
międzynarodowych bestsellerów
o życiu i pontyfikacie Jana Pawła II



w|drodze
✚

25% rabat!

Przy zakupie na **wdrodze.pl**, wpisz kod rabatowy: **Weigel**

   sprzedaz@wdrodze.pl | tel. +48 694 480 625

* oferta ważna do 30.06.2024 r.



PAWEŁ LISICKI

W RZECZY SAMEJ

Śmierć za ojczyznę?

Dawno nie czytałem równie pouczającego sondażu jak ten, który dotyczył gotowości młodych ludzi z zachodnich społeczeństw do obrony swoich państw na wypadek wojny z Rosją. Nie mniej ciekawa była towarzysząca mu analiza jednego z najważniejszych ośrodków medialnych liberalnej lewicy, czyli portalu Politico.

Najpierw kilka słów o wynikach. Otóż – jak wynika z sondażu, „młodzi ludzie z państw Europy Zachodniej i Stanów Zjednoczonych nie są gotowi bronić własnych krajów, gdyby spełniły się przewidywania dotyczące rosyjskiego ataku na NATO”. Przeprowadzony w Wielkiej Brytanii w zeszłym tygodniu sondaż wykazał, że „jedynie 29 proc. Brytyjczyków w wieku od 18 do 24 lat jest przynajmniej deklaracyjnie gotowych do obrony kraju przed inwazją. Europejczycy z kontynentu nie są bardziej bojowi i patriotyczni. Według badania jedynie 32 proc. z nich jest gotowych walczyć, jeśli ich kraj zostanie zaatakowany. Nawet w Stanach Zjednoczonych, najpotężniejszym militarnie kraju na świecie, badanie przeprowadzone w 2022 r. wykazało, że w przypadku wojny na pełną skalę tylko 55 proc. Amerykanów chwyciłoby za broń. Co ciekawe, wśród starszego pokolenia (50–64 lata) chętnych do walki było znacznie więcej niż wśród młodzieży (18–34 lata)”. A teraz analiza Politico:

„Ten brak patriotyzmu może być spowodowany różnymi przyczynami: rosnącą nieufnością do rządów; zmęczeniem i wstrętem do »wiecznych wojen«, które zakończyły się porażką; ogólną utratą zaufania do zachodnich wartości; poczuciem prawa do własnych wyborów, które mają obecnie młodzi ludzie w porównaniu ze swoimi poprzednikami. Konserwatyści z pewnością dodaliby do tej listy zbyt niacisk

na zbrodnie Zachodu z przeszłości i brak uczenia dumy z tego, czego Zachód faktycznie dokonał”. Naprawdę warto dokładnie przeczytać ten tekst kilka razy. Zdradza on bowiem szokujący wręcz brak rozumienia rzeczywistości.

Po pierwsze i najważniejsze: Jak wychowani w permisywnej kulturze zachodniej młodzi ludzie, mieszkańcy państw UE, mogą w ogóle rozumieć, czym jest patriotyzm, skoro systematycznie ruguje się z ich świadomości takie pojęcia jak naród, wspólnota narodowa, wierność dziedzictwu czy ojczyzna? Cała cywilizacja liberalna nastawiona jest na zniszczenie tożsamości narodowej, na negację zasady suwerenności i podmiotowości narodowej. Jak zatem można wymagać od młodych ludzi, którym najpierw to, co narodowe, wspólnotowe i odziedziczone, się obrzydza i zozydza, żeby teraz nagle, w obliczu niebezpieczeństwa, chcieli tych sponiewieranych i wyszydzonych dóbr bronić?

Po drugie, gotowość do obrony ojczyzny zawsze wiązała się z gotowością do ponoszenia ofiar. Patriotyzm zasadza się na przekonaniu, że człowiek ma obiektywne obowiązki wobec własnej wspólnoty, wobec poprzedzających go pokoleń. Że istnieją dobra wyższe niż życie: Bóg, ojczyzna, honor. Jednak liberalizm skutecznie, niczym kwas, zeżarł tak świadomość wspólnoty z minionymi pokoleniami jak sens ofiary.

Po trzecie, zdaniem autorów analizy przyczyną braku gotowości do walki może być „ogólna utrata zaufania do zachodnich wartości”. Hm, problem polega na tym, że nie sposób dziś powiedzieć, czym owe zachodnie wartości są. O ile jeszcze do 1989 r., do chwili upadku komunizmu, sprawa wyglądała w miarę jasno – wartościami zachodnimi były wolność słowa, szacunek dla

chrześcijaństwa, poczucie nienaruszalności własności, przekonanie, że prawa polityczne oparte są na wyższych od nich i nienaruszalnych prawach natury (lub, jak woleli myśleć chrześcijanie, na prawie Bożym) – o tyle dziś jedyną dającą się uchwycić „wartością” jest dążenie do zaspokojenia siebie. Genderyzm skutecznie zniszczył rozumienie rodziny, ojcostwa, macierzyństwa, ciągłości pokoleń. Jaki sens ma ojczyzna w świecie, gdzie ojcostwo jest przejawem tyranii i patriarchalizmu? Feminizm i genderyzm wyeliminowały sens cnót męskich, takich jak waleczność, honor, odwaga, ofiarność. W chwili, gdy płynna stała się płeć, płynne stały się wiążące się z nią cnoty.

To samo dotyczy innych ideologii niszczących Zachód. Jaki sens ma walka o granice swojego państwa, skoro elity zachodnie od lat uczą, że granice są czymś umownym i zgadzają się z obłąkaną polityką imigracyjną? Jak można przekonać kogoś do ryzykowania życia dla obrony granic państwa, które to ostentacyjnie gardzi zachowaniem swojej tożsamości kulturowej i masowo wpuszcza na swoją ziemię obcych kulturowo migrantów, przynajmniej im przywileje, którymi cieszą się obywatela?

Permisywny demoliberalizm toczy zachodnie społeczeństwa niczym rak. Paraliżuje wolę oporu. Wychowuje jednostki pozbawione woli i siły charakteru, które w obliczu zagrożenia nie będą walczyć, ale rejterować.

Te badania powinny być ważnym ostrzeżeniem dla Polski. Wniosek pierwszy: nie należy podążać drogą autodestrukcji, którą poszły społeczeństwa Zachodu. Wniosek drugi: nie wolno się dać wplątać w konflikt wojenny z Rosją, w której Polacy wystąpiliby w roli mięsa armatniego, broniąc tych, którzy sami nie chcą walczyć. ©



TEMAT TYGODNIA

16 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
GRANICA UDAWANIA
Państwo nie działa

KRAJ

20 PIOTR SEMKA
ODDECH PO TRÓJBIEGU.
TERAZ PREZYDENTURA
Od wyborów do wyborów

23 ROZMOWA Z ANNĄ BRYŁKĄ
KONFEDERATKA W BRUKSELI

26 ŁUKASZ WARZECHA
WYGNANI Z RAJU

28 JERZY KARWELIS
NIEULECZALNE PRZEGRYWANIE

30 ZUZANNA DĄBROWSKA-PIECZYŃSKA
WAKACJE Z INFLUENCEREM

32 ŁUKASZ ZBORALSKI
PRZEWODNICY Z YOUTUBE

KULTURA

34 PIOTR GOCIEK
W ZAWIESZENIU
Kameralny dramat psychologiczny

36 ROZMOWA Z JAROSŁAWEM MOLENDĄ
KAWIARNIANI INTELIGENCI



NIE PRZEGAP

38 NASZ PRZEWODNIK
FILMY, KSIĄŻKI, PŁYTY, GRA

OPINIE

44 FILIP MEMCHES
CHŁOSTANIE PUTINEM
W odpowiedzi Wojciechowi Orlińskiemu

47 WOJCIECH GOŁONKA
PIEKIELNY WOLTER I JEGO
WSPÓŁCZESNE DZIECI

50 JAN PARYS
ATOMOWA NIEZGODA

52 PAWEŁ CHMIELEWSKI
EKUMENIZM ZAMORDOWANY

HISTORIA

54 FILIP OBARA
Z DRUGIEJ STRONY PIEKŁA
Po raz pierwszy w Polsce: „Biała Armia”
Antona Denikina

ŚWIAT

58 OLIVIER BAULT
MARINE LE PEN U PROGU WŁADZY
Zjednoczenie Narodowe pierwszą
siłą Francji

61 MACIEJ PIECZYŃSKI
W CO KIJÓW WRABIA SOJUSZNIKÓW

64 ROZMOWA
Z PROF. DR. HAB. JAKUBEM POLITEM
PRZYSZŁOŚĆ NALEŻY DO AZJI?

EKONOMIA

68 ROZMOWA Z ANDRZEJEM SADOWSKIM
PRZYWRÓCIĆ WOLNOŚĆ
GOSPODARCZĄ
Przyspieszona zagłada firm w Polsce

72 JACEK PRZYBYLSKI
WYMARZONE WAKACJE

SPORT

74 ŁUKASZ MAJCHRZYK
ZEJŚĆ ZE SCENY NIEPOKONANYM
Euro 2024: Turniej pożegnań i narodzin

ADRES: TYGODNIK DO RZECZY

 Batory Office Building II
 Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
 tel.: +48 22 529 12 00
 e-mail: listy@dorzeczy.pl, www.DORZECZY.PL

REDAKCJA: Redaktor naczelny: **Paweł Lisicki**
 Zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Gabryel**
SEKRETARIAT REDAKCJI: **Jacek Przybylski** (I sekretarz redakcji),
Łukasz Zboralski (II sekretarz redakcji), **Radosław Wojtas**
KOLEGIUM KOMENTATORÓW:
Cezary Gmyz, Piotr Gociek, Krzysztof Masłoń, Piotr Semka,
Łukasz Warzecha, Rafał A. Ziemiakiewicz
STALI WSPÓŁPRACOWNICY I FELIETONIŚCI:
Olivier Bault, Joanna Bojańczyk, Grzegorz Brzozowicz,
Wojciech Cejrowski, Wiesław Chelminiak, Dominika Ćosić (Bruksela),
Tomasz Cukiernik, Krzysztof Czabanski, Łukasz Czarniecki,
Wojciech Golonka, Ryszard Gromadzki, Marek Jurek,
Jerzy Karwelis, Jacek Komuda, Sławomir Koper, Piotr Kowalcuk (Rzym),
Grzegorz Kucharczyk, Tomasz Lenczewski, Piotr Litka, Łukasz Majchrzyk,
Monika Małkowska, Gabriel Michalik, Andrzej Nowak, Jacek Pałkiewicz,
Maciej Pieczyński, Jan Pospieszalski, Tomasz Rowiński, Witold Repetowicz,
Wojciech Roszkowski, Joanna Siedlecka, Teresa Stylińska, Artur Szeremeta,
Błażej Toraniński, Piotr Włoczyk, Marcin Wolski, Dariusz Wieromiejczyk,
Jakub Wozniński, Tomasz Wróblewski, Tomasz Zbigniew Zapert
PORTAL DORZECZY.PL redaguje **Karol Gac** z zespołem: **Zuzanna Dąbrowska-**
Pieczyska, Małgorzata Puzyr, Anna Skalska, Anna Szczepańska, Marcin
Bugaj, Damian Cygan, Jan Fiedorczuk, Grzegorz Grzymowicz, Dawid
Sienkowski, Łukasz Żygadlo
STUDIO GRAFICZNE: **Wojciech Niedziółko** (kierownik studia),
Marta Michałowska, Jakub Tański (skład), **Jacek Nadratowski** (obrobka zdjęć)
 Fotoedycja: **Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk**
 Korekta: **Anna Zalewska, Magda Zubrycka-Wernerowska,**
Agata Błaszczak-Stefaniak
RYSUJĄCY: **Andrzej Krauze, Cezary Krystopa**
 Okładka: **Jacek Dominiński/Reporter**
WYDAWCA: **Orle Pióro SA**

 Batory Office Building II, Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
 tel.: +48 22 347 50 00, fax: +48 22 347 50 01

 Wydawca tytułu, **Orle Pióro SA**, wchodzi w skład Grupy
 Kapitałowej **PMPG Polskie Media SA**, notowanej na GPW.


Zarząd PMPG Polskie Media SA:

Katarzyna Gintrowska, Jolanta Kloc

Zarząd Spółki Orle Pióro SA:

Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki
MARKETING: **Piotr Pech** tel.: +48 500 112 377, marketing@dorzeczy.pl

BIURO REKLAMY: reklama@dorzeczy.pl; tel.: 500 112 386

PUBLIC RELATIONS: (PR manager), pr@pmpg.pl

DYSTRYBUCCJA I PRODUKCJA:
Adam Borzecki, a.borzecki@pmpg.pl, +48 500 112 424

DRUK: **Walstead Starachowice**
PRENUMERATA WYDAWNICZA:
Joanna Gosek, Joanna Nowakowska

+48 508 040 664, +48 539 953 631, Od pn.-pt. w godz. 10:00-16:00

e-mail: prenumerata@pmpg.pl, https://subskrypcja.dorzeczy.pl/

PRENUMERATA KOLPORTERSKA:
Kolporter sp. z o.o. (instytucjonalna), tel.: +48 (41) 367 88 88

e-mail: prenumerata.warszawa@kolporter.com.pl, www.kolporter.com.pl

Garmond tel.: +48 (12) 422 14 85, e-mail: prenumerataprasy@poczta.pl,

www.poczta.pl/prenumerata#prasa

GLM sp. z o.o. tel.: +48 (22) 649 41 61, www.glm.pl

Poczta Polska https://prenumerata.poczta-polska.pl/

ISSN nakładu podstawowego 2299-8500
Nr indeksu 288 829 Nakład: 51 500 egzemplarzy

 Sprzedaż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena
 detaliczna ustalona przez wydawcę jest zabroniona.

 Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów
 niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiustacji
 tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa
 autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie
 materiałów opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy” jest zabronione.
 © © Wszystkie materiały w tygodniku chronione są prawem
 autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie
 artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania
 materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin

Drodzy Czytelnicy!

Dziękujemy za wszystkie Państwa listy i e-maile. Przypominamy, by korespondencję elektroniczną kierować na adres: listy@dorzeczy.pl.

Jaka piękna katastrofa

Przychodzi dwóch panów do kanibala na obiad. Gospodarz od razu proponuje im kąpiel, a oni – choć zdziwieni – godzą się na to i dokładnie szorują. Wychodzą z wanien, ich ciuchów już nie ma, ale czekają na nich szlafroki i jednorazowe kapcie. Znów zdziwienie, no ale co robić – idą. Widzą, że w jadalni przygotowano tylko jedno nakrycie, za to gospodarz prowadzi ich do pomieszczenia z wielkim, bulgocącym garem i jakoś dziwnie się uśmiecha. – A co na obiad? – pytają nieszczęśnicy, niczego się nie domyślając. – To niespodzianka, niespodzianka – gospodarz nie przestaje się uśmiechać. – Może mają panowie ochotę na jeszcze jedną, tym razem naprawdę gorącą i aromatyczną kąpiel? – mówi, polewając im po pucharze wina, który goście wychylają jednym zamachem...

No przecież ten obiad u Donalda musiał się tak skończyć dla Hołowni i Kosiniaka-Kamysza. To musiało (Musi?) Bo może są dopiero na etapie trzyma-

nia pucharu z winem, jeszcze mogą odstawić, jeszcze się nie napili?) się stać. Każdy to wiedział, każdy o tym mówił. Jak to jest, że nie uwierzyli, to chyba tylko wiedzą Hołownia i Kosiniak-Kamysz oraz ich środowiska? Liczyli, że przechytrzą Donalda? Może. Nie pierwszy raz nieuzasadnione wysokie ego gubi człowieka.

To samo wcześniej stało się z Nowoczesną, a jeszcze wcześniej z Ruchem Palikota. Ale tej samej sztuczki użyto po raz trzeci – nie tylko względem tych jednosezonowych formacji, lecz także w stosunku do nas wszystkich. I trzeci raz zadziało, trzeci raz przystawki wydały się Polakom pełnoprawnym, świeżym daniem. Trzecia Droga? Raczej trzeci raz ta sama droga. Już wiemy, dokąd ona prowadzi.

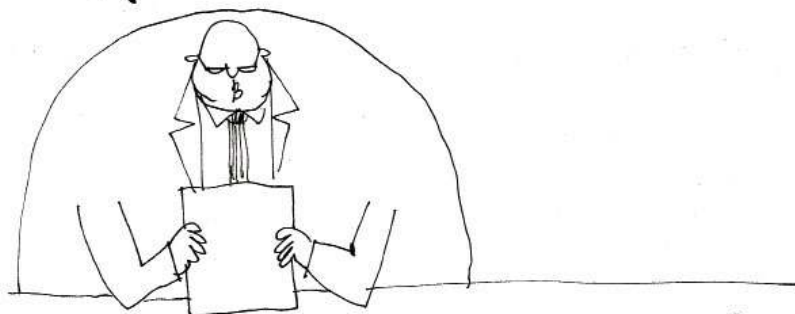
Imię i nazwisko do wiadomości redakcji

Jesteśmy z Wami!

Ja krótko z wiadomością do naszych żołnierzy i wszystkich służb strzegących naszych granic. Jesteśmy z Wami! Wspieramy Was! I dziękujemy, że dzięki Waszemu poświęceniu możemy czuć się bezpiecznie. Bo bezpiecznie do końca czuć się nie możemy. Ale to już akurat „zastuga” polityków.

Z szacunkiem
Lech Marciniak, Łódź

Mamy już wyniki ze 120% komisji i platforma zwiększa przewagę nad PiS



k + 9 5 2 7 0 1 2 x e k a x u k o w s z i

NA PIERWSZY OGIEŃ

Chaos stymulowany z zewnątrz



PIOTR SEMKA

Tydzień temu na marginesie publikacji publicystycznego portretu Tomasza Terlikowskiego wspominałem o nowym zjawisku rozregulowywania porządku hierarchicznego w polskim Kościele. Zjawisku będącym wynikiem przewagi medialnej liberalnych zwolenników modernistycznych zmian w Kościele nad tradycyjnymi środkami komunikowania się hierarchów z wiernymi. W rezultacie media niechętnie Kościołowi mogą kreować kościelnych bohaterów, czyli kapłanów domagających się „uwspółcześnienia” doktryny, i jednocześnie lansować czarny wizerunek hierarchów, którzy ośmielają się mówić głośno o liberalnej presji na Kościół. Już po tej publikacji doszło do dobrej ilustracji tego procesu.

Ojciec Maciej Biskup, przeor łódzkiego klasztoru Dominikanów, przybył do Szczecina na spotkanie organizowane przez oddział Kongresu Katolików i Katołiczek. Ojciec Biskup miał promować swoją książkę o postulatce akceptacji osób LGBT. Spotkanie miało się odbyć w szczecińskim klasztorze

Dominikanów, gdzie wcześniej przez sześć lat o. Biskup był przeorem, ale zabronił tego aktualny przeor zgromadzenia, o. Krzysztof Frąckiewicz. Tyle że – co charakterystyczne – o. Frąckiewicz nie zdecydował się publicznie wyjaśnić przyczyn zakazu. W odpowiedzi o. Biskup zaprotestował przeciw odmówieniu mu możliwości odbycia spotkania i zwrócił się w tej sprawie do prowincjała zakonu. Ten – jeśli wierzyć szczecińskiej „GW” – miał uchylić się od sporu i wskazać, że przeorowie poszczególnych klasztorów mają autonomię decyzji w takich sprawach.

Ojciec Biskup spotkanie zorganizował w świeckim klubie. Na Facebooku napisał: „Spotkanie nie mogło się odbyć na terenie dominikańskiej parafii, ale ja myślę, że ma to swoją wartość i znaczenie. Kościół wydarza się tam, gdzie naprawdę wierzymy, że Słowo zwołuje i gromadzi każdego człowieka, a szczególnie te osoby, które czują się wykluczone i tego doświadczyły albo nie pasują do schematu »parafii dla sprawiedliwych«”.

Szczeciński przeor zakonu uchylił się od podania przyczyn odmowy. Zapewne nie chciał wprost skrytykować współbrata, który przewodzi łódzkiej wspólnotie dominikanów. Tyle że dokonując takiego uniku, natychmiast uczynił swoją decyzję nieczytelną. A przy okazji dał okazję o. Biskupowi do pośrednich pouczeń. Tym bardziej że o. Biskup nie ma oporów przed wypowiedzianiem się na ten temat poprzez media społecznościowe. Ciekawe, co na to wszystko prowincjał zakonu, który dotąd na temat kontrowersyjnych wypowiedzi i aktywności o. Biskupa nie miał zbyt wiele do powiedzenia.

Podsumujmy: pewny siebie dominikanin rewolucjonista. Unikający nazwania sytuacji po imieniu lokalny przeor i prowincjał, który ogranicza się do przypominania o zasadzie, że każdy klasztor podejmuje decyzję w sprawie spotkań samodzielnie. I media, które natychmiast kreują zakonnik stronnika otwartości na LGBT na ofiarę. Anarchia puka do drzwi polskich domini canes. ©©

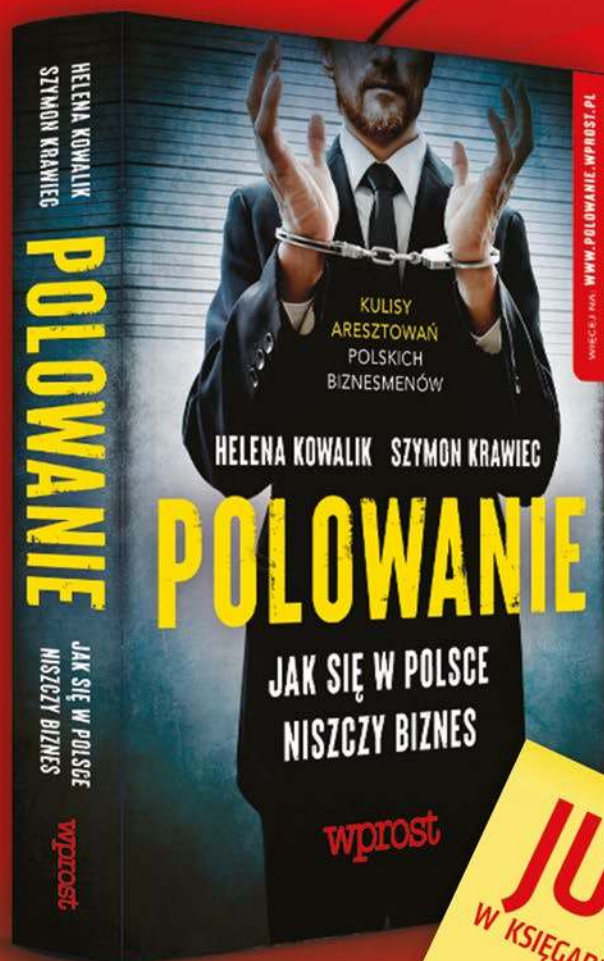


FOT. ADAM WĄRZĄWA/PAP

POBITY REKORD
SZEWIŃSKIEJ

Podczas lekkoatletycznych mistrzostw Europy w Rzymie w biegu na 400 m zwyciężyła Polka – Natalia Kaczmarek. Przebiegła ten dystans w czasie 48,98 s. Nie tylko zdobyła złoty medal, lecz także ustanowiła nowy rekord Polski w biegu na 400 m. Poprzedni przetrwał aż 48 lat. W 1976 r. Irena Szewińska podczas igrzysk olimpijskich w Montrealu przebiegła 400 m w czasie 49,28 s, ustanawiając wówczas nie tylko rekord kraju, lecz także świata. (luz) ©©

SENSACYJNA, OPARTA NA FAKTACH



KULISY
GŁOŚNYCH
SPRAW
I ARESZTOWAŃ

WSTRZĄSAJĄCE
RELACJE

ROZMOWY
Z EKSPERTAMI
I LUDŹMI
Z WYMIARU
SPRAWIEDLIWOŚCI

PONAD
500
NAZWISK
I FIRM

AUTORAMI SĄ
DOŚWIADCZENI
DZIENNIKARZE
ŚLED CZY

JUŻ
W KSIĘGARNIACH

Bezprawne areszty, popisowe zatrzymania, stawianie zarzutów bez pokrycia w dowodach. Tasiemcowe rozprawy sądowe, prawdziwe historie o twardym zetknięciu się z więziennymi realiami.

Bohaterami tej książki są ludzie sukcesu, rozpoznawalni biznesmeni z pierwszych stron gazet, jedni z najbogatszych Polaków, którzy w jednej chwili znaleźli się w środowisku zupełnie dla siebie obcym, znanym im dotąd jedynie z filmów kryminalnych.



Zamawiając książkę wraz z PDF na stronie

KSIAZKA.WPROST.PL

Otrzymasz gratis praktyczny poradnik stworzony w oparciu o porady adwokatów i osobiste relacje osób zatrzymanych.

W przypadku chęci zakupu większej liczby książek, prosimy o kontakt
+48 539 953 631, +48 508 040 664



PARTNERZY:



Polska
Rada
Biznesu



ZPP
Związek Przemysłowców
i Pracywłóciarek



WEI
Wieloletni Ekspert
Instytutu



Fundacja
Court Watch Polska



FUNDACJA
POMYŚL
O PRZYSZŁOŚCI

Comparic.pl



MY
COMPANY



BRIEF



RAFAŁ A.
ZIEMKIEWICZ

PŁYWANIE W KISIELU

Gej też Polak

Wzruszeniem przejął mnie fakt, że dla uczczenia tęczowego „miesiąca dumy” – czy też raczej „miesiąca pychy”, bo angielskie słowo „pride” zawiera oba te znaczenia – w Warszawie urządzone są aż trzy parady. Konkurencyjne grupy LGBTQiA+ nie dogadały się między sobą, która z nich najbardziej reprezentuje postulowaną „społeczność” – stąd każda będzie się pysznić osobno. Osobno Fundacja Wolontariat Wolności, działająca pod auspicjami prezydenta m.st. Warszawy Rafała Trzaskowskiego, osobno, w kolejny weekend, druga fundacja – Wolontariat Wolności – czy może właśnie pierwsza, bo chodzi o członków i zwolenników poprzedniego zarządu, który został

odsunięty przez nowy zarząd, zdaniem byłego zarządu nielegalnie i w drodze kradzieży (zdaniem nowego, oczywiście, to tamten poprzedni był nielegalny i kradł), a jeszcze osobno i jeszcze innego dnia paradować będzie nowo utworzony gejowski „kolektyw”, który deklaruje dystans wobec obu zarządów.

To naprawdę fajne, że ludzie upierający się, jakoby w Polsce istniała jakaś „społeczność LGBT”, co jest fundamentalnym dla ruchu kłamstwem (nic polskich homoseksualistów nie łączy i tylko bardzo nieliczni robią ze swej seksualności ideologię) – sami nie potrafią stworzyć społeczności nawet na poziomie aktywistów. Ba, ale jeśli uświadomić sobie – a czytelnicy na-

szych dodatków demaskujących kulisy tęczowej rewolucji nie powinni mieć z tym trudności – jaka kasa jest przepompowywana do „prześladowanej mniejszości” z przeróżnych źródeł i jak sobie można na „walce o prawa LGBT” słodko urządzać życie – jak, nie przymierzając, Biedroń ze Śmiszkiem – to ta sytuacja aż tak nie dziwi.

Ale nie to mnie wzruszyło – tylko to, że nawet Polak do reszty wykorzeniony i zdeprawowany na tęczowo jednak zachowuje w sobie fundamentalne polskie kulturowe geny, do których należy pieniactwo. Przecież tu nawet Żydzi pokłócili się kiedyś tak, że konkurencyjne zarządy wyrzucały się z biur na Grzybowskiej siłą i zmieniały zamki... Górą nasi! ©©



MAREK JUREK

OD POCZĄTKU

Ursula wraca z Wadowic

Wkampanii wyborczej dobrze wiedzieć, kogo wybieramy. Tegoroczne wybory do Parlamentu Europejskiego miały w Europie większy rezonans od poprzednich, bo i Unia Europejska miała tym razem konkretną twarz. Wiadomo było, że po wyborach na czele Komisji pozostanie Ursula von der Leyen albo będzie jeszcze gorzej.

Choć centroprawicowi optymiści twierdzili, że jeśli przewodniczącą UVDL utrzyma stanowisko, to właśnie wtedy nastąpi zmiana i będzie zdecydowanie lepiej; a nawet, że lepiej już zaczyna być, bo Europa się zmienia, idzie na prawo, a wraz z nią Ursula von der Leyen! Ten optymizm nie powinien dziwić, bo

sama „centroprawica” to bardzo optymistyczny koncept. Zakłada, że można się od prawicy odsuwać, a wartości prawicy zachować.

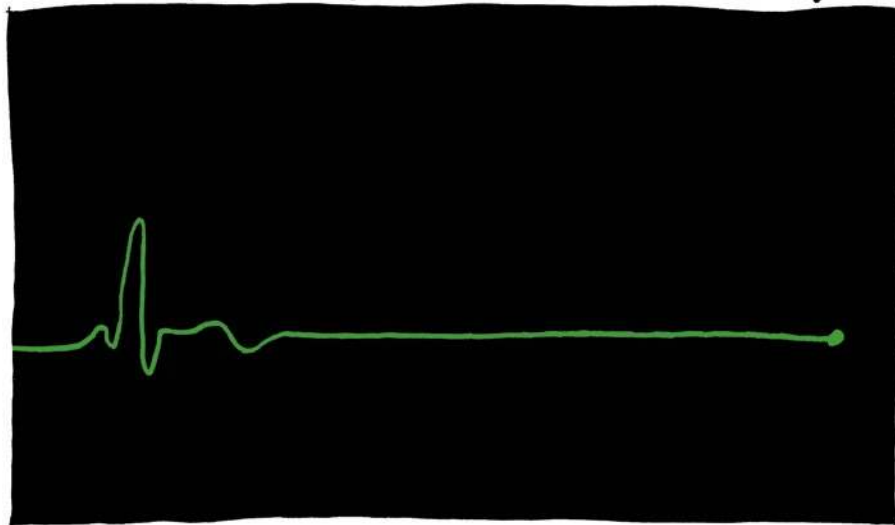
Ale wróćmy do Unii Europejskiej. UVDL, pobudzając nadzieje centroprawicowych optymistów, ogłosiła w kampanii, że jest gotowa współpracować z Giorgiā Meloni, „choć nie wyznają tych samych poglądów w kwestii praw LGBTQiA”. I żeby pokazać, że nie chodzi tylko o politykę, odbyła pielgrzymkę do Wadowic i pod domem Jana Pawła II oświadczyła, że słyszy tu „mocne przypomnienie o naszych chrześcijańskich wartościach, o tym, jak pomagają nam sobie radzić ze wszystkimi wyzwaniem w chaotycznym świecie”. Dyskretnie nie zaznaczyła, że z JP II

(podobnie jak z premier Meloni) też „nie wyznają tych samych poglądów w kwestii praw LGBTQiA”.

Znaki ustały w dniu wyborów. Zmienił się też liryczny język. W czasie wieczoru wyborczego przewodnicząca oświadczyła, że zbuduje mocny „bastion” przeciw „skrajnej prawicy i skrajnej lewicy”. A resztę dopowiedział Manfred Weber, przewodniczący europejskiej federacji postchadeków, wywołując socjalistów i liberałów do odnowienia europejskiej koalicji z EPP. I żeby skrajna lewica nie poczuła się dotknięta powyborczym symetryzmem UVDL, zaznaczył, że do współpracy z Zielonymi też jest gotowy. Wiadomo – wróg był i jest na prawicy. ©©

RYSUJE CEZARY KRYSZTOPA

Stan polskiego państwa stabilny...



c e z a r y k r y s z t o p a

PIOTR KOWALCZYK
Z RZYMU

PIECZEŃ RZYMSKA

Szansa dla Italii?

We Włoszech jednym wielkim przegranym wyborów do PE jest superpopulistyczny, ekologiczno-pacyfistyczny Ruch Pięciu Gwiazd. Ogromne zasługi ma w tym lider Ruchu, dwukrotny premier, prof. Giuseppe Conte. Próbował partię spersonalizować, wygadywał przed wyborami w telewizji bzdury okrutne i wyborcy wystawili mu rachunek. Z 34 proc. sprzed pięciu lat zostało się 10 proc.

Dziedzictwo rządów Contego (2018–2021) odbija się dziś zabójczą czkawką. Udało mu się zamienić skarb państwa w bankomat dla ludu. Skutki: ca 200 mld euro utopionych w bezsensownych subwencjach i zapomogach, które Włosi muszą teraz zwracać państwu w przeróżnych daninach.

Być może najboleśniejszy cios wizerunkowy zadał Contemu niedawno były lewicowy premier, a potem komisarz europejski Paolo Gentiloni. Gdy Conte wrócił do Rzymu z Brukseli, gdzie Italia otrzymała ponad 190 mld euro na KPO, wymachiwał papierem jak Chamberlain na lotnisku po powrocie z Monachium w 1938 r. Usłużne media i aparat propagandowy Ruchu przedstawiały wówczas puszącego się Contego jako herosa nocnych heroicznych zmagani o pieniądź dla Italii: „Nasz Giuseppe wyszarpał miliardy!”. Kilka tygodni temu Gentiloni, komisarz unijny do spraw gospodarki, pytany o szczegóły wydarzeń tej wyjątkowej dramatycznej nocy wypalił: „Jaka walka o pieniądze? O wszystkim decydował algorytm”. Tak runął mit Contego.

Ze wstydem muszę przyznać, że też padłem ofiarą tej mistyfikacji i mitomanii. Niech marnym wytlumaczeniem będzie to, że wtedy Contego okadzali wszyscy – od telewizji RAI do „Corriere della Sera”.

Jeśli Conte i jego Ruch wyładują na bocznym, ślepych torze włoskiej polityki, na co się zanosi, to przed Italią otwiera się szansa powrotu do bipolarnego systemu politycznego, wyczerwanego przez Berlusconi, czyli podziału prawica – lewica, co daje spore szanse na stabilność rządów. Od kiedy Ruch 11 lat temu znalazł się w parlamencie jako ugrupowanie „trzeciej drogi”, zmieniło się siedem rządów. Statystycznie 18 miesięcy rządzenia i do domu. ©©

Autor jest korespondentem Polskiego Radia.



ZUZANNA
DĄBROWSKA-
-PIECZYŃSKA

GWIAZDOBZDUR

POLKI ZNOWU NIE ZROZUMIAŁY

Ile razy trzeba jeszcze powtórzyć tym niemądrym Polkom, na które partie wolno głosować, a na które to wstyd? Że trzeba głosować na „demokratów”, a na „faszystów” nie wolno? Ręce i inne części ciała opadają, bo okazuje się, że w wyborach europejskich więcej pań głosowało na tych „złych” niż na „dobrych”. „Wśród wyborców poniżej 30. roku życia Konfederacja ma ponad 30 proc. poparcia i pierwsze miejsce! Konfederacja ma też wyższe poparcie wśród kobiet niż Lewica” – pochwalił się w mediach społecznościowych Sławomir Mentzen. To dla Karoliny Korwin-Piotrowskiej zbyt dużo. Oburzona podzieliła się negatywnymi emocjami. „Naprawdę, zaraz się porzygam, jeśli jeszcze raz usłyszę »kobieta kobiecie« czy inne ułożone gówno. To jest efekt ostatnich miesięcy. Macie swój malowany aktywizm i canceling oraz poprawność polityczną” – wskazuje. Samozwańcza recenzentka wszystkiego sugeruje, że w Polsce dopiero rozpoczyna się „piekło kobiet”. „Tam uciekają te, które zaczynają się już bać głośno odezwać. Osiem lat PiS dało grunt, który teraz jest zaorany koncertowo. Zapieprzałam na marszach kobiet, dostawałam groźby śmierci, pobicia, wyzwiska, żeby dostać teraz

w twarz tym. Brawo. Sprawdziłam: on nie kłamie, takie są dane” – przyznała gorzko. Czyli według Korwin-Piotrowskiej kobiety nie wybierają Konfederacji dlatego, że popierają jej postulaty, ale dlatego, że się boją. Wyparcie. Która to z faz przechodzenia traumy?

PATOWYBORY

Do wpisu byłej celebrytki ze stajni TVN odniosła się „prokobieca” aktywistka Maja Staśko, która równie często jak podkreśla swój aktywizm, bryluje na warszawskich ściankach. Tym razem trzeba przyznać, że Maja zaprezentowała nieco tzw. RiGCz-u. Dość rozsądnie wskazuje, że słaby wynik Lewicy to efekt braku sprawczości tej formacji. „Mnóstwo osób z mojego środowiska nie poszło na te wybory – bo nie widzą sensu, skoro Lewica ich nie reprezentuje. W rządzie ma nikły wpływ, jest nieobecna w mediach, KO ją uciszyło, straciło swoją tożsamość. Przecież w tych wyborach nie zagłosował prawie nikt” – zauważa Staśko, dodając, że „Konfederacja wyraziście się promuje”. Dalej aktywistka porównuje wybory do patostreamów. „Fakt, że dostał się Braun czy skazani Wąsik i Kamiński, pokazuje, że tu zadziałało coś na kształt patostreamów – nieważne, kto co robił, ważne, że znamy nazwisko. A nazwisko łatwiej wypromować przez krzywdy i przestępstwa oraz skandale niż dobrą robotę, empatię i wsparcie. I ruchy demokratyczne na tym cierpią” – oceniła. Na czym, jak na czym, ale na różnych odcieniach „pato” to się Maja zna. Sama w końcu brała udział w jednej patologii MMA.

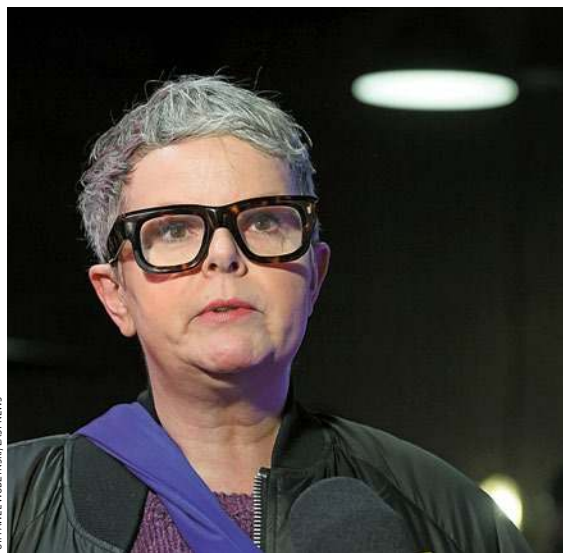
CHAJZEROWANIE NA FULL

Filip Chajzer „chajzeruje” na pełnej. Co to znaczy? Ano znaczy to wygadywanie durnot, za które trzeba szybko przeproszać, a potem jednak uznawać, że nie miało się za co przeprosić. Najlepiej przykryć to jakąś akcją charytatywną. W skrócie. Były prezenter stacji TVN otworzył jakiś czas temu w Warszawie swoją budkę z kebabem. Nie byle jakim, kraftowym.

Jakość kebabu podawanego przez gwiazdora postanowił sprawdzić popularny w sieci influencer Książulo (znany z tego, że odwiedza mniejsze i większe punkty gastronomiczne i następnie relacjonuje wszystko na swoim YouTube). Książulo o kebabie Chajzera wypowiedział się dość niepochlebnie. Zarzucił m.in., że on sam dostał danie większe – z racji tego, że został rozpoznany przez obsługę – niż zwykły, anonimowy klient. Podczas wywiadu dla Radia Opole celebryta został zapytany o opinię Książula. – Widziałem, jest tak samo do d.y., jak sam autor tej recenzji – odparł Chajzer. Tak szybko, jak wypalił, tak szybko uznał, że trzeba przeprosić (zapewne w związku z falą krytyki). „Uwaga będzie bez chajzerowania, a to jakaś nowość, więc warto przeczytać do końca. Pragnę serdecznie przeprosić Pana Książula. Po męsku, krótko i konkretnie. Moje słowa były... »z d.y.«. Mój biznes powstał z marzeń i faktycznie mam do niego emocjonalny stosunek, który w przypadku mojej wypowiedzi dla radia wziął górę nad klasą, kulturą i elegancją. To, że nie jestem fanem recenzji mojego kebba, nie oznacza, że Pan Książulo nie robi świetnej roboty, pomagając rodzinnym biznesom” – napisał Filip Chajzer.

SŁABE PYTANIE

W tym samym wywiadzie dziennikarka spytała o to, „skąd pomysł na budkę z kebabem”. – To nie jest budka z kebabem, to jest królestwo kebaba, proszę pani. Jeszcze raz proszę zadać pytanie – usłyszała w odpowiedzi. Filip Chajzer powiedział w końcu, że „zawsze marzył o kebabie”. Pierwszego dönera w życiu zjadł, kiedy jego ojciec pracował w Berlinie Zachodnim. – Moim dużym marzeniem biznesowym było posiadanie franczyzy McDonalda. Otworzyłem franczyzę Subwaya. Ten biznes splajtował, dlatego że przez ścianę otworzył się właśnie kebab. Ja sobie przypomniałem o tym marzeniu z dzieciństwa, skończyłem pracę w telewizji i otworzyłem kebab – dodał. Życmy Filipowi sukcesu. Niech ma tyle pracy w budkach z kebabem, żeby nie miał już czasu na wypowiedzi medialne. ©©



FOT. PAVEŁ WODZIŃSKI/EAST NEWS



MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW

Kochani, ledwo co odbyły się wybory do Parlamentu Europejskiego, w których w wielu krajach zwyciężyła prawica lub prawicowe partie znalazły się na podium, a już zaczęły się piłkarskie mistrzostwa Europy, w których występują – o zgrozo – drużyny narodowe.

Of kors występuje tam też drużyna z tego kraju (mamy nadzieję, iż mecz z postępową Holandią zakończył się zasłużonym laniem), a przypomnijmy, że ledwo co duże poparcie zdobyły pis z konfederacją. Dlatego pewnie tak długo, jak ciemne fashystofskie siły będą przy władzy, tak długo będziemy jako kraj brać udział w tego rodzaju eventach. Przypomnijmy też, iż nasza reprezentacja jest nudna i monotoniczna, ale przynajmniej porusza się po Niemczech niemieckim autokarem z namalowaną osobą pigmentalnie uposażoną.

W każdym razie niedopuszczalne jest, aby w obecnych realiach kultywować takie średniowieczne narodowe podziały i podgrzewać nacjonalistyczne nastroje. Przecież najlepiej byłoby, gdyby zjednoczona Europa wystawiła jedną, wspólną drużynę, która zagrałaby pokazowy mecz przeciwko takiemu przestarzałemu myśleniu.

Zamiast tego znów otrzymamy festiwal maskulinistycznej dominacji, w któ-

rym piłkarze będą rywalizować w tym, kto ma lepszy drybling, kto lepiej okiwa, a więc oszuka drugiego, i kto strzeli więcej goli, co sprawi, że jego rywal będzie smutny. A wszystko to w akompaniamencie fashysmu maszerującego przez stadiony.

Przed nami koniec roku szkolnego – a więc z jednej strony czas radości dla obecnych uczniów, a z drugiej wielu bolesnych wspomnień dla

No więc wam zagłosować na tych, żeby nie rządził ten, albo odwołanie. A ja bym wolat zagłosować na kogoś, kto zacznie wtejsze rządzić...



wszystkich nas, którzy doświadczyliśmy niesprawiedliwości systemu oceniania i przeszliśmy przez te wszystkie szkolne traumy, jak oceny z zachowania czy wokalne występy przed całą klasą na lekcjach muzyki, aby zaliczyć kolejną patriotyczną bogoojczyźnianą piosenkę.

No a te oceny, co to w ogóle jest za anachronizm! Przecież każdy osoboczeń na swój sposób jest wyjątkowy, ale system edukacji uparcie próbuje skategoryzować te indywidualności na podstawie suchych cyferek. Dlaczego ktoś ma być oceniany na podstawie ocen, które wcale nie oddają głębi jego osobowości i natury? Czy oceny mówią, jakim ktoś jest człowiekiem?

Wyobraźcie sobie te szkoły bez ocen, czerwonych pasków, promocji, powtarzania klas – a więc po prostu bez stresu. Ale nie, zamiast tego mamy przestarzały model, który premiuje zapamiętywanie dat i wzorów, a nie prawdziwe zrozumienie życia. Co z tego, że ktoś wie, jaki jest wzór kwasu mrówkowego, jaka jest skala twardości minerałów i co jest stolicą Afryki, jeśli nie rozumie, czym są zachowania dyskryminujące i jak należy rozmawiać z osobą niebinarną, iżby używać właściwych zaimków?

A dla czytających nas osoboczeń mamy słowo wsparcia: trzymajcie się. Jeszcze tylko tydzień i oderwiecie się od szkolnego fashysmu i zapomnicie o ocenianiu, of kors nie ci, którzy będą musieli jeszcze przed wrześniem poprawiać jedynki. Ale pamiętajcie – nie dajcie sobie mówić, iż oceny coś znaczą!!!!111 ☹☹



FASHYSM NIE PRZEJDZIE! BĄDŹ Z NAMI OSOM NA FEJSIKU: [FB.COM/MWIZWO](https://www.facebook.com/mwizwo)

PODSŁUCHANE

Thun von Szlezwikholsztajn

Byś się tak nie wydurniał z tym jutubem i nie robił szo! na posiedzeniach, tobyśmy mieli kilka punktów więcej, Szymuś!

Gdyby nie mój szo! Władziu, to przy tym, jak zniknąłeś kompletnie i gęby nie otwierasz,

mielibyśmy kilka punktów mniej. I byśmy nie weszli wcale.

Ja przynajmniej nie robiłem sobie fotek w Sejmie z imigrantami. I nie ja brałem na listę tę całą Thun von Hohenzollern

und Szlezwikholsztajn mit Dasistderhundbegraben.

Ja tylko przypomnę, że to twojego podwładnego migrant nożem dźgnął. I to na nasze konto poszło.

Dobra, tak to my do niczego nie dojdziemy. Co my tam teraz mamy w planie?

Wspólny występ dla jakiejs fundacji: „Czy możliwa jest przyjaźń w polityce?”. ☹☹ **Łukasz Warzecha**

OD RZECZY

„Wygraliśmy, by jednoczyć Polaków i całą Europę wokół bezpiecznych granic”.

DONALD TUSK, premier, na portalu X



Orle Pióro, wydawca tygodnika „Do Rzeczy”, planuje debiut na giełdzie!

Credo redakcji tygodnika „Do Rzeczy”

przyjęte przez Redakcję i Wydawcę
Warszawa, dnia 21 stycznia 2013 roku

Tygodnik „Do Rzeczy” jest pismem konserwatywno-liberalnym.

Konserwatywnym, bo szanuje tradycję chrześcijańską, odwołuje się do sprawdzonych i trwałych zasad etycznych w życiu publicznym, przeciwstawia się eksperymentom społecznym, które podkopują i naruszają odziedziczony ład wartości, bo poważnie traktuje polską pamięć narodową, niepodległość państwa i jego podmiotowość. **Liberalnym**, bo popiera wolność gospodarczą, docenia przedsiębiorczość i twardo będzie stał w obronie nieskrępowanej wolności słowa oraz swobody debaty publicznej.

Tygodnik chce być wyrazistym głosem w polskiej debacie publicznej. Głosem, który ma wpływ na opinię publiczną, który się słyszy i bierze pod uwagę. Ale ma to być głos niezależny, wolny od partyjnych uwikłań, reprezentujący interes ogółu. Najważniejszym punktem odniesienia dla publicystów i dziennikarzy tygodnika będą Czytelnicy. Zdobycie i zachowanie ich zaufania jest nadrzędnym celem redakcji.

Dlatego redakcja, wydawca i dziennikarze zamierzają przestrzegać Kodeksu Dobrych Praktyk, dokumentu opracowanego i przyjętego w 2005 r. przez Izbę Wydawców Prasy, jak również szanować inne kodeksy i wysokie standardy związane z zawodem dziennikarza – jak np. Karta Etyki Mediów (Rady Etyki Mediów), czy Kodeks Etyki Dziennikarskiej (Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich).

Rolą wydawcy i redaktora naczelnego jest dbanie o zaznajamianie z treścią niniejszego dokumentu i przyjętych zasad wszystkich dziennikarzy i pracowników tworzących zespół tygodnika „Do Rzeczy”.

Michał M. Lisiecki
Wydawca

Paweł Lisiecki
Redaktor Naczelny

Wolność to Konkret!

Przejdźmy DoRzeczy



ZAINWESTUJ

Zostaw swój e-mail na naszej stronie, aby otrzymywać najnowsze informacje i wspierać niezależne dziennikarstwo.

Odwiedź naszą stronę: www.dorzeczy.pl/gielda
lub wyślij swój adres e-mail, SMS/WhatsApp na numer:
+48 508 040 882, a my wyślemy Ci informację zwrotną.

Gwarancja Prywatności:

Twoje dane są bezpieczne. Nigdy nie udostępnimy Twojego adresu e-mail osobom trzecim.

KORZYŚCI DLA CIEBIE:

Bądź na bieżąco:

Otrzymuj najnowsze informacje o naszym debiucie na giełdzie.

Dostęp do ekskluzywnych treści:

Zarezerwowanych tylko dla naszych subskrybentów.

Wspieraj wolne media:

Twoje zaangażowanie pomaga nam tworzyć wartościowe treści.



Ilustracja: Wydanie numer 1 z 2013 r.

INWESTUJ I ZYSKAJ!

Już wkrótce więcej szczegółów inwestycyjnych od nas i naszego biura maklerskiego.

eprasa.pl 50e9226c50

Są! Mamy winnych! Na Nowogrodzkiej już wiedzą, dlaczego przegrano eurowybory! Diagnozę postawili ci, którzy się nie dostali, a byli pewni, że wejdą. Otóż łążą teraz i opowiadają, że wszystko jest winą tych, którzy się dostali. „Grali tylko na siebie, a nie na listę” – to jeden z najczęstszych argumentów. Zastanawiamy się, jak wyglądałyby wybory (jakiekolwiek), gdyby kandydaci chodzili i powtarzali: „Nie głosujcie na mnie”.

Jednym z cennych wniosków jest konieczność ewolucyjnej zmiany pokoleniowej – skomentował wyniki Jacek Sasin. Postanowiliśmy więc sprawdzić i okazało się, że zmiana już jest, i to rewolucyjna. Otóż niemal wszyscy wybrani teraz europosłowie PiS to albo debiutanci w Brukseli, albo pierwszorocznicy (tzn. po jednej kadencji, bo wybrani w 2019 r.). Jedynie troje

Zdaniem Jacka Kury Kurskiego miesiąc kampanii to za mało, by dotrzeć do elektoratu z przesłaniem, że wraca (Kura, nie elektorat) do polityki. Stąd niski wynik (Kury, nie elektoratu). Naszym zdaniem jest odwrotnie: niski wynik spowodowany został tym, że elektorat to przesłanie szybko i w pełni zrozumiał.

Aw MSZ po eurowyborach atmosfera oczekiwania na nowego szefa. Radek szykuje się na nowe zadania. Już to komisarza do spraw rozszerzenia Unii o Ukrainę, już to szefa unijnej dyplomacji. Przyjmujemy to ze spokojem. Radek miał być już szefem NATO lub ONZ. Otóż jako żywo przypomina to

dwaj panowie **g**



FOT. ROBERT CAROZINSKI

Radek Sikorski chce z resortu odejść – jak nie teraz, na salony UE, to w przyszłym roku. Wiewiórki w PO mówią, że kandydatem na prezydenta ma być on, nie Rafcio

ma doświadczenie dłuższe niż jedna kadencja: Jadwiga Wiśniewska, Kosma Żłotowski i Adam Bielan.

Długo i dużo rozmawialiśmy na temat wyniku PiS z posłami tej partii różnych szczebli. Najbardziej rozbawiło nas powtarzające się zdanie: „Musimy wyciągnąć wnioski z kształtu list i wskazania jedynek”. Doprawdy, liczba mnoga jest tu nie na miejscu. Wnioski musi wyciągnąć ten, kto je układał, ale nie było to dzieło wspólne. Tak, wiecie, kogo mamy na myśli.

Na niektórych padł błdy strach. Na przykład na pracujących nad nowym projektem telewizji PiS, tzn. tym węgiersko-portugalskim. Klęska eurowyborcza Jacka Kury Kurskiego oznacza bowiem, że zamiast konsumować kawior w Brukseli, będzie się wólczył po nadwiślańskich bulwarach, nie mając co robić. A to oznacza, że może zostać oddelegowany na front telewizyjny.

nam finał sztuki Gałczyńskiego pod znamiennym tytułem: „On nie doczekał się”. A szło to mniej więcej tak: „Piekło oczekiwania! Huragan uczuć! Nie, dłużej nie mogę. (dłużej nie może, dostaje zęza, obłędu, po czym z hukiem przewraca się na podłogę i umiera z tęsknoty)”.

Prawda jest taka, że Radek chce z resortu odejść – jak nie teraz, na salony UE, to w przyszłym roku. Wiewiórki w Peło opowiadają, że to właśnie Sikorski ma być kandydatem na prezydenta – nie Rafcio, nie Szymon i nawet nie Zły Donald z Sopotu. Oznacza to, że kwestia kontrkandydatury z PiS staje się naprawdę palącą. Gdyż bardzo nie chcielibyśmy, aby prezydentem Polski został Radek Sikorski.

Wieści z PiS w sprawie wyborów prezydenckich są takie, że choć jeszcze dwa lata temu szeregowy poseł Jarosław Kaczyński uważał, iż czas

na kobietę, to teraz uważa, że czas, ale jeszcze nie teraz. Czyli chłop. Ale który? Wiewiórki z Nowogrodzkiej odrzucają kategorię Marka Magierowskiego. Szkoda, bo jego debaty wyborcze z Sikorskim to byłoby coś. Bardzo pcha się premier Mateusz, ale szeregowy poseł JK wolałby kogoś niezgranego. Niekoniecznie Tobiasza Bocheńskiego. Słyszeliśmy np. nazwisko „Zbigniew Bogucki” – młody obiecujący poseł ze Szczecina.

Wracając do MSZ: najbardziej niezależny dziennikarz na tej planecie, czyli Tomasz Piątek, przytulił fuchę w resorcie dyplomacji! Ma zostać najgłówniejszym specjalistą od dezinformacji. Na wszelki wypadek jednak nie dano mu etatu, tylko umowę o dzieło. Od razu, dodajmy, tustą umowę. Jednak nie żałujemy Tomkowi. Niewątpliwie w Polsce jest najlepszym specjalistą od dezinformacji. I to nie żadnym tam teoretykiem, tylko praktykiem.

Apropos zmian związanych ze sprawami międzynarodowymi. Niebo płakało w czwartkowe popołudnie nad warszawskim Sheratonem, gdzie bogate grono doborowych gości żegnało wieloletnią ambasadorkę Węgier w Polsce, przemiłą Orsolyę Zsuzsannę Kovács. Pani ambasador również się spłakała w finale swego pożegnania przemówienia, co sala przyjęła ze zrozumieniem i wzruszeniem, gdyż nie znamy nikogo, kto by Zuzanny nie lubił. I my żegnamy ją zatem, lekko pochlipując.

Urszula Zuzanna nie zostanie jednak bez pracy. Wraca do Budapesztu, aby zostać Jakubem Kumochem u prezydenta Węgier, Tamása Sulyoka. Jak to! – ktoś zawoła. – Przecież u prezydenta Andrzeja Sebastiana nie ma żadnego Kumocha! Teraz nie, ale jak był, to kierował Biurem Polityki Międzynarodowej.

Pożegnanie Urszuli Zuzanny było huczne, do czego przyczyniła się obfita kolekcja wybornych win węgierskich, i planowana na dwie-trzy godzinki impreza przeciągnęła się do pięciu. Stawili się licznie rozmaici ambasadorowie innych krajów oraz przedsta-

Najbardziej niezależny dziennikarz na tej planecie, czyli Tomasz Piątek, przytulił fuchę w resorcie dyplomacji

wiciele różnych stron sceny politycznej w Polsce, od wiceszefa MSZ Władysława Teofila Bartoszewskiego, przez Ryszarda Terleckiego, do Krzysztofa Bosaka, i wielu pomniejszych posłów. Była też prezes Trybunału Konstytucyjnego, Julia Przyłębska, z małżonkiem, Andrzejem, byłym ambasadorem Polski w Niemczech.

Co do przyczyn zmiany w ambasadzie Węgier: krążyła na sali opinia, że Budapeszt zdecydował się obniżyć rangę placówki w Warszawie z powodu bardzo trudnej współpracy z rządem Złego Donalda z Sopotu, a właściwie jej braku. My jednak słyszeliśmy, że to nie do końca prawda, bo na liście potencjalnych kandydatów do zastąpienia Zuzanny są bardzo mocne nazwiska.

Podczas pożegnania węgierskiej ambasador Urszuli Zuzanny odbyła się również krótka sesja wokalna w postaci śpiewów chóralnych. Okazało się, że personel węgierskiej ambasady doskonale zna takie hity jak „Nie płacz Ewka”. Niestety, polscy goście nie potrafili się zrewanżować równie zgrabnym wykonaniem „Gyöngyhajú lány”, więc hitu Omegi nie zaśpiewali.

Jedna z nowych informacji krążących po sali w Sheratonie zmroziła jednak gości. Otóż poprzedniego dnia Zły Donald z Sopotu odwołał szefa Instytutu Współpracy Polsko-Węgierskiej im. Wacława Felczaka, czyli Macieja Szymanowskiego. Tym samym bezpodstawnie i prawem kaduka została przerwana jego kadencja. Cóż, taki mamy klimat pod rządami nowego reżimu.

Skoro o pożegnaniach: z Kancelarią Prezydenta Andrzeja Sebastiana żegna się jej dotychczasowa szefowa, Grażyna Ignaczewska-Bandych. Jest w zwyczaju, żeby pracownicy się złożyli na pożegnalny prezent. Było tak

także tym razem. Urzędnicy Kancelarii szarpnęli się na jacuzzi dla odchodzącej szefowej. I to nie było jakie: porządny sprzęt. Chcielibyśmy jednak przypomnieć pani minister, że ogrodowe jacuzzi trzeba porządnie uziemić. No chyba że chce się mieć naprawdę wstrząsające doznania.

Skoro o imprezach: nie tak dawno na Śląsku odbyła się naprawdę wypasiona impreza. Tym razem ze stanowiskiem żegnał się szef CBA, Andrzej Stróżny. Mniejsza o to, że został odwołany nielegalnie. Ważne, że przez dwie godziny zasuwał na gitarze jak szalony.

Zostajemy na Śląsku, tyle że teraz Dolnym. A właściwie dokładniej – na Śląsku Opolskim. Żyje tam, w mieście Brzeg, znana postać dawnej Peło (obecnie poza partią) – Jacek Protasiewicz. Tak, to ten od związku z młodą działaczką Dariuszą Protasiewicz od paru miesięcy trąbi w mediach społecznościowych, że pracuje nad książką, w której ujawni wszystko i wszystkim przyłoży. Niektórzy myślą, że to żart. Otóż nie, książka faktycznie powstaje. I nawet wiemy, kto ją z Protasem pisze. To niejaki Łukasz Jasina, były rzecznik MSZ. Czekamy z niecierpliwością, gdyż cenimy błyskotliwość i insajderską wiedzę Łukasza Jasiny.

Na koniec sport. Jak niektórzy wiedzą, w Niemczech rozpoczęły się mistrzostwa Europy w piłce kopanej. Niestety, większość gości, od dziennikarzy do zwykłych widzów, ma podobne odczucia – od strony organizacyjnej wszystko leży, nawet tak prosta rzecz jak wydawanie akredytacji. Cóż, Lufthansa, Deutsche Bahn i Deutsche Post też funkcjonują dziś gorzej niż LOT, PKP i Poczta Polska. Ot, osławiona Deutsche Wirtschaft. Nawet rybom w Odrze nie zdążyli powiedzieć, że PiS już odsunięto od władzy, nie ma więc sensu ponownie masowo zdychać. ©©



Rafał A. Ziemkiewicz

Zespół do spraw nękania obrońców granicy działa, aresztowanym żołnierzom nikt nie cofnął zarzutów, a Donald Tusk wymyśla kolejne historie, by polityczne obciążenie zrzucić na innych. Zmierzamy do katastrofy związanej z nielegalną migracją

W sprawie obrony wschodniej granicy przed afrykańskimi „żywymi torpedami”, nasłany mi przez Łukaszenkę i Putina, Donald Tusk i jego ekipa doszli do ściany.

Śmierci żołnierza, pierwszego poległego w hybrydowej wojnie, nie da się przykryć żadnymi PR-owskimi sztuczkami. A każdy z faktów, który wychodzi na jaw, bulwersuje, przeraża i budzi niepokonany gniew. Mamy ze strony rządzących do czynienia z bezprecedensową kumulacją kłamstw, nieudolności, złej woli i pogardy dla elementarnych polskich interesów.

Tym bardziej że ta śmierć była skutkiem wcześniejszego aresztowania kolegów poległego za to, że oddali w stronę nacierającej hordy migrantów strzały ostrzegawcze – gdyby nie „efekt mrożący”, który musiała wyrzucić ta akcja prokuratury i żandarmerii, śp. Mateusz Sitek i jego koledzy zdołaliby prawdopodobnie odpędzić napastników atakujących ich dzidami. Aresztowanie zaś było skutkiem tego, że minister Bodnar, coraz bardziej bezwstydnie odgrywający na dworze Tuska rolę „człowieka od mokrej roboty”, powołał w kwietniu specjalny zespół zaufanych neoprokuratorów do ścigania rzekomych przestępstw polskiego wojska i Straży Granicznej przeciwko migrantom. O jakości tego zespołu świadczy najlepiej to, że gdy sprawa wyszła na jaw, jako jego przedstawicielka wystąpiła w mediach prokurator Anna Adamiak – znana z tego, że w roku 2011 udostępniła reżimowi Łukaszenki dane o przepływach finansowych na koncie opozycjonisty i laureata Pokojowej Nagrody Nobla, co stanowiło





**Wszystko wskazuje na to, że
prokuratorski zespół tropiący
obrońców granicy powstał po
donosach jednego człowieka**

podstawę do skazania go przez białoruski sąd na 10 lat ciężkiego więzienia. Ponieważ zrobiła to wbrew wyraźnym wskazaniom ówczesnego prokuratora generalnego, Andrzeja Seremeta, została za rządów PiS ukarana dyscyplinarnie i przeniesiona – co dało asumpt stowarzyszeniu *lustitia*, już wtedy realizującemu wiernie partyjną linię polityczną PO, by ogłosić ją ofiarą „prześladowań reżimu”. Bodnar, wyraźnie borykający się w swym resorcie z brakiem ludzi o wystarczająco giętkich sumieniach, by wykonywać jego polecenia, dla których jakiejś podstawy prawnej poszuka się potem, przywrócił ją na stanowisko, awansował i – jak widzimy – ponownie rzucił na „odcinek białoruski”.

DONOSY JEDNEGO CZŁOWIEKA

Osobnym, jeszcze większym skandalem jest przyczyna powołania prokuratorskiego zespołu – wszystko wskazuje, że wystarczyły do tego donosy jednego aktywisty i byłego reportera TVN24, Piotra Czabana, zaangażowanego od lat w rozpowszechnianie kłamstw białoruskiej i rosyjskiej propagandy o rzekomych zbrodniach polskich żołnierzy i strażników granicznych. To on m.in., podobnie jak Bart Staszewski kłamstwo o „strefach wolnych od LGBT”, rozpowszechnił w świecie fotografie walających się w trawie kości, twierdząc, że to polskie lasy i szczątki zmarłych wskutek nieludzkiego traktowania przez Polaków „uchodźców”. Był także źródłem większości innych fake’owych historii – np. o masowych grobach, które jakoby kopali dla pomordowanych „uchodźców” leśnicy – które rozpowszechniała potem w Parlamencie Europejskim i zachodnich mediach Janina Ochojska, a w szeroki światowy obieg, zgodnie z leninowską zasadą „film jest najważniejszą ze sztuk”, puściła Agnieszka Holland.

Podobieństwo do modus operandi Staszewskiego i innych aktywistów, których

Premier Donald Tusk i jego „człowiek od mokrej roboty” – minister sprawiedliwości Adam Bodnar

FOT. JACEK DOMIŃSKI/REPORTER

■ szeroko nagłaśniane w świecie sensacje nigdy nie znajdują materialnego potwierdzenia, za to „przypadkowo” pokrywają się od lat z propagandową linią Kremła, powiększając podobna w każdym z tych wypadków ochrona ze strony „uśmiechniętych” sędziów oraz uwiarygadnianie przez „demokratyczne” autorytety – za swą „humanitarną” działalność otrzymał Czaban od protuszkowskiego Towarzystwa Dziennikarskiego Seweryna Blumsztajna (praktycznie nie istniejącego, ale uznawanego przez międzynarodowe organizacje dziennikarskie, sekujące ze względów politycznych wielotysięczne SDP, za „prawdziwą” reprezentację polskich dziennikarzy) tytuł Dziennikarza Obywatela Roku 2023 za „odwagę, wytrwałość i bezkompromisowość” (wcześniej honorowany był m.in. przez Press Club Polska i kapitułę Nagrody im. Andrzeja Woyciechowskiego).

Nie miejsce tu na rozstrzyganie, na ile przemysł nienawiści lewicowo-liberalnych elit do Straży Granicznej i Wojska Polskiego, który wsparł dwa miesiące temu Bodnar swoim zespołem, bazuje na świadomej rosyjskiej agenturze (choć pobieżne nawet przesłедzenie orzeczeń Tomasza Szmydta może tu rozwiązać wiele złudzeń), a na ile jest dziełem moralnie wzmożonych – jak cynicznie zwał swych najlepszych sojuszników Lenin – „pożytecznych idiotów”; trudno podejrzewać wschodnie służby o marnowanie pieniędzy na kupowanie takich tuzów intelektu jak Michnikowi literaci, którzy wręczenie Nagrody Literackiej Nike zmienili swego czasu w groteskowy „prouchodźczy” spektakl. Faktem jest, że animatorzy i uczestnicy tego propagandowego przemysłu po 13 grudnia 2023 r. poczuł silny wiatr w żaglach i nabrali triumfalnego przekonania, że rozliczenia z „pisowską” zbrodnią niewpuszczania do Polski „uchodźców” przejdą zaraz w fazę sądową.

Nie mogło to nie wpłynąć na wojskową biurokrację i kadre dowódczą, gdzie po zmianie rządu odżyły stare, PRL-owskie zasady „chronienia własnej d.y”. Obraz kreślony w relacjach żołnierzy, które przebiły się szerzej do mediów po śmierci sierż. Sitka, tym, którzy odbywali służbę w PRL-owskim „ludowym” wojsku, kojarzy się nieodparcie. Tchórzliwość „trepów” wobec przełożonych, tępe

Policjanci czy strażnicy miejscy dosłownie uciekają z miejsc, gdzie dochodzi do ekscesów z kolorowymi

wykonywanie najgłupszych ich poleceń, ukrywanie niepasujących do oczekiwania „góry” informacji płynących od żołnierzy, pozorowanie działań, wszystko kosztem narażania podwładnych na dodatkowe trudy i niebezpieczeństwa. Trudno się dziwić, że żołnierze – atakowani z jednej strony fizycznie przez Łukaszenkowskich bandytów dzidami i maczugami, z drugiej opluwani przez polskie lewicowo-liberalne „elity” pławiące się w triumfie po odzyskaniu kontroli nad państwem, a nieznający oparcia w dowódcach lękających się w zamęcie „rozliczeń” o swe stołki i apanaże – pracują coraz mniej skutecznie. Według dziennikarzy śledzących mechanizmy mafijnego przemytu ludzi szlak przez wschodnią granicę Polski od czasu objęcia władzy przez Tuska uchodzi wśród migrantów za najbardziej obiecujący.

NIEMIECKIE PUSHBACKI

Potwierdzeniem, że odsetek „nachodźców”, którzy z sukcesem docierają przez polskie zapory do podstawianych przez mafie i „organizacje charytatywne” środków transportu dalej na Zachód, rośnie, jest zachowanie naszych zachodnich sąsiadów. Z właściwą sobie obłudą Niemcy, których media i politycy zrobili tak wiele dla wsparcia „prouchodźczych” działań w Polsce, a propagandowe dzieło Holland obsypali zachwytemi i nagrodami, rozpoczęli na swojej granicy pushbacki – do Polski. Rozmiary tej akcji nie są polskiej opinii publicznej znane. Oficjalnie rząd przyznał się do przyjęcia niecałych 200 „cofniętych” z Niemiec migrantów, a według informacji zebranych przez dziennikarkę Radia Wnet Aleksandrę Fedorską w istocie w ciągu zaledwie kilku tygodni do Polski trafiło ich kilka tysięcy, z których duża część natychmiast się gdzieś na terenie naszego kraju „rozpłynęła”. Trudno nie zgodzić się z opinią dziennikarki, że rząd Tuska po cichu niemieckie pushbacki (w przeciwieństwie

do tych polskich, przez nikogo nienazywanych nielegalnymi ani bezprawnymi) zaakceptował, zapewne w nadziei, że zawróceni i tak zaraz trafią z powrotem do Niemiec. Tymczasem europejscy protektorzy Tuska w przeciwieństwie do niego samego okazali się bardzo sprawni w uszczelnianiu granicy i zapobieganiu pojawiania się u nich osób raz zarejestrowanych i odesłanych do Polski. Warto tu dodać, że ponieważ migranci nie mają żadnych dokumentów i z zasady kłamią, zgodnie z instrukcjami udzielanymi im przez mafijnych pośredników nie ma żadnej pewności, czy osoby przysyłane nam przez Niemców rzeczywiście przeszły wcześniej przez Polskę czy też inną drogą – a nasze służby nawet nie próbują tego sprawdzać.

Wytworzona przez lewicowo-liberalne elity atmosfera polowania na „prześladowców” migrantów oraz chaos i rozprzężenie w sterroryzowanych wizją czystek służbach dają skutki również wewnątrz kraju. Policjanci czy strażnicy miejscy dosłownie uciekają z miejsc, gdzie dochodzi do jakichkolwiek ekscesów w udziale kolorowych – tego rodzaju jak uwiecznione na rozpowszechnionym w mediach społecznościowych filmie skakanie przez przybysza z Afryki po samochodach zaparkowanych przy warszawskiej ulicy Ostrobramskiej. Gdy zaś uciec nie mogą, zachowują się jak dzieci we mgle. Z pierwszej ręki, od osoby na tyle bliskiej, by nie podejrzewać jej o koloryzowanie, słyszałem niedawno historię ulicznej stłuczki spowodowanej przez kolorowego kierowcę Ubera, który nie znał żadnego języka (a w każdym razie nie chciał się w żadnym znanym Polakom języku komunikować) i nie miał żadnych dokumentów. Warszawscy policjanci czekali biernie ponad dwie godziny, aż przybyły w końcu na skuterku krajan kierowcy mignął im przed nosem zapisaną w telefonie komórkowym fotografią jakiegoś dokumentu napisanego nieeuropejskim alfabetem, co patrol uznał za wystarczający pretekst, by z ulgą wypuścić obu obcokrajowców i ulotnić się z miejsca zdarzenia.

Przykład idzie z samej góry – nie narażać się, znikać, zbywać sprawę pozornymi gestami to od zawsze styl politycznego działania Donalda Tuska.

Drugi epizod jego rządów nie różni się pod tym względem od pierwszego – najważniejsze jest jakoś się wizerunkowo „wymiksować” z przykrej sprawy, nie kojarzyć się z nią, wszystko w trosce o utrzymanie popularności niezbędnej do dalszej kariery. Różnica jest tylko taka, że w przeciwieństwie do lat 2007–2014, gdy Polska miała wspaniałe koniunktury, dziś stoimy przed wyzwaniem, których nie da się zbyć zmyśleniem „inwestora z Kataru”, ogłaszaniem „rewolucji legislacyjnych” i tego rodzaju PR-owskim pajacowaniem. Sprawa wschodniej granicy nie jest z nich jednym, choć może najbardziej palącym.

PRZERZUCANIE NA INNYCH

Mimo to Tusk próbuje swych starych pogrywek – niczego innego zresztą nie potrafi. Ujawnienie przez portal Onet tuż przed wyborami sprawy aresztowania żołnierzy za strzelanie w stronę uchodźców uznane zostało w kręgach rządzącej koalicji, szczególnie wśród polityków Trzeciej Drogi, za intrygę premiera mającą skompromitować Władysława Kosiniaka-Kamysza i zarazem skupić na nim całą odpowiedzialność za panujący chaos. Także Onet właśnie przekazał późniejszą informację, że sierż. Sitek nie żył już, gdy przez cały dzień szef MON wmawiał mediom, że stan rannego jest „stabilny”. Czy Kosiniak-Kamysz kłamał świadomie czy sam padł ofiarą przywróconego pod jego rządami PRL-owskiego unikania odpowiedzialności przez rozmywanie i ukrywanie, szczebel po szczeblu, od najniższego począwszy, złych wieści? Nie wiemy. Trzeba jednak przyznać, że Onet uczciwie zapracował sobie na reputację, z którą trudno się dziwić, że mało kto wierzy, by jego publikacje i ich moment były dziełem normalnego dziennikarskiego śledztwa.

Wyborcza klęska Trzeciej Drogi i odebranie jej wyborców przez KO, dzięki któremu zdołał Tusk rzutem na taśmę, w ostatniej możliwej chwili, zrealizować swoje marzenie o mijance, zapewne nie były wynikiem tylko ujawnionego skandalu na granicy – formacja pracowała na nią długo swą nijakością i bezmyślnym uczestnictwem w każdym bezprawiu silniejszego sojusznika. Widać jednak, że Tusk nawet w sytuacji poważnego kryzysu państwa, w obliczu nieuniknio-

negu wybuchu niezadowolenia społecznego, zachowuje zręczność w unikaniu odpowiedzialności i przerzucaniu jej na innych. Lider PSL, nieobdarzony przesadną charyzmą ani energią, wydaje się idealnym „zderzakiem”, na którym skupić można gniew za zabagnienie obrony państwa. Mieści się to w ogólnym – i po ostatnich wyborach chyba już bliskim pełnej realizacji – politycznym planie rozkruszenia Trzeciej Drogi, zwasilowania PSL przy KO i położenia kresu marzeniom Hołowni o prezydenturze.

Tusk tymczasem, przełożywszy wachnię w krańcowo przeciwnie położenie, zaraz po aresztowaniu żołnierzy i powołaniu prokuratorskiego zespołu Bodnara, zanim jeszcze fakty te przeniknęły do opinii publicznej, nagle zaczął udawać zapalonego zwolennika uszczelnienia granicy. Zrobił to zapewne nie przypadkiem, równoległe do analogicznej zmiany zdania przez Martina Webera i innych czołowych polityków niemieckich, którzy

rządów PiS”, a nachodźców „biednymi ludźmi, szukającymi swego miejsca w świecie”, w których „nie wolno widzieć wrogów”, na granicy mieliśmy tłumy kobiet i dzieci, które dopiero po 13 grudnia magicznie zmieniły się w „mężczyzn w wieku poborowym z rosyjskimi wizami turystycznymi w kieszeniach”. Że winę za kwietniowe aresztowania żołnierzy ponosi nie stworzony w tym celu zespół Bodnara, tylko „prokurator Ziobry”, któremu sprawę wciśnięto formalnie w maju. Czy że „za rządów PiS żandarmeria zakładała żołnierzom kajdanki 500 razy”, jakby aresztowanie za pijacką burdę czy kradzież równoważne było z arcskandalicznym aresztowaniem za spełnianie żołnierskiego obowiązku wobec ojczyzny. Są to brednie obliczone na najbardziej sfanatyzowanych, chorych z nienawiści do PiS elektorat, na który rzeczywiście działają zgodnie z oczekiwaniami – ale tylko w jego bańce, radykalizując go jeszcze bardziej.

Praktyczne działania premiera – dodajmy do nich rozsyłanie do samorządów polecenia przygotowywania miejsc dla relokowanych migrantów, których głośno Tusk obiecuje nigdy tu nie wpuścić – wydają się obliczone na spełnianie oczekiwań owego wściekłego antypisowskiego elektoratu, dla którego wpuszczanie do Polski migrantów jest miarą człowieczeństwa i kluczowym polem walki ze zniechęconą Polską prawicową. Jego retoryka, polityczne zapowiedzi i PR mają z kolei oswojać tę zdecydowaną większość Polaków, która pojmuje najazd migrantów zdroworozsądkowo i nie życzy ich sobie w polskich miastach. Jak długo zamierza Tusk trwać w tym coraz bardziej się pogłębiającym rozkroku, zależy zapewne od tego, ile jest prawdy w plotkach o możliwości objęcia przez niego wysokiej funkcji w nowej, EPL-owskiej ekipie zarządzającej budową „stanów zjednoczonych Europy”.

Jedno nie ulega wątpliwości: nie widać w jego działaniach cienia troski o Polskę i polskie interesy. Rozsądek podpowiada, że to, co dzieje się w kwestii granicy i migracji, to ostatni dzwonek alarmowy, że dalsze zaniedbania muszą doprowadzić do katastrofy. Ale Donald Tusk albo nie zdaje sobie z tego sprawy, albo ma już plan, jak przerzucić za nią odpowiedzialność na innych.

Działania Tuska wydają się obliczone na spełnianie oczekiwań wściekłego antypisowskiego elektoratu

nieoczekiwanie odkryli w ostatnich miesiącach, że „nielegalna imigracja do Europy była zbyt długo bagatelizowana” – częścią tego odkrycia są wspomniane już niemieckie pushbacki do Polski. Zmiana retoryki w Niemczech nie idzie jednak bynajmniej w parze z realnymi zmianami politycznymi – infrastruktura służąca zaludnianiu Europy ludnością subsaharyjską i bliskowschodnią pracuje nadal pełną parą, obficie zasilana budżetowymi pieniędzmi, a propaganda czyniąca „podstawowym prawem człowieka” prawo osiedlania się przez każdego tam, gdzie ma ochotę, nie słabnie.

Podobnie odgrazanie się Tuska, że zbuduje „Tarczę Wschód”, jest czystą retoryką. Zespół do spraw nękania obrońców granicy działa nadal, aresztowanym żołnierzom nikt nie cofnął zarzutów, a premier produkuje kolejne „spiny”. Że w czasach, gdy nazywał budowę zaporę na granicy „największym łajdactwem

Oddech po trójbiegu. Teraz prezydentura



Dylematem, który stoi przed PiS, jest kwestia stosunku do Konfederacji. Coraz więcej młodych wyborców wybiera partię Bosaka i Brauna, a nie PiS FOT. PIOTR MOŁĘCKI/EAST NEWS



Piotr Semka

Stare przysłowie mówi, że nowa kampania wyborcza zaczyna się następnego dnia po poprzednich wyborach. W tym sensie polska polityka zaczyna już się toczyć według kalendarza w rywalizacji prezydenckiej

Odwróciła się sytuacja z wyborów do Sejmu 15 października zeszłego roku. Wtedy PiS chwalił się, że kolejny raz wygrał, ale maskowało to gorzcy świadomości, że trzeba będzie oddać władzę. Teraz Platforma zwyciężyła po raz pierwszy od 10 lat, ale przewaga nad PiS to tylko niepozorne 0,9

punktu procentowego. Gdyby poparcie w eurowyborach przełożyć na podział mandatów w Sejmie, to oznaczałoby brak większości dla obecnej koalicji. KO zdobyłaby 186 mandatów, Trzecia Droga jedynie 21 (o 44 mniej), a Lewica tylko 11 (o 15 mniej). Co prawda, KO dostała w takim wylczeniu o 29 mandatów wię-

cej niż 15 października 2023 r., ale przy spadku liczby głosów dla Trzeciej Drogi i Lewicy ich połączone siły wynosiłyby tylko 218 mandatów, czyli o 30 mniej niż partię tej koalicji uzyskały w wyborach do Sejmu. A prawica – gdyby stosować to samo obliczenie – dysponowałaby potencjałem 193 mandatów dla PiS i 49 dla Konfederacji. Czyli razem ugrupowania te miałyby większość 242 mandatów. Partia Jarosława Kaczyńskiego może się cieszyć, że przetrwała pierwsze pół roku quasi-represyjnej presji ekipy Donalda Tuska z niemal nienaruszonym potencjałem wyborczym. W warunkach totalnego ataku nowej władzy na główną partię opozycyjną sprawdza się zasada z wojny partyzanckiej. Gdy posiadający sporą

władzę nie wygrywa totalnie, to znaczy, że przegrywa. A jak opozycja nie daje się anihilować, to znaczy, że wygrywa.

Ale PiS powodów do zmartwienia ma bardzo dużo. Wyborca PiS-owski okazał się wybredny i zagrał na nosie prezesowi Kaczyńskiemu. Zignorował paru kandydatów ze starej gwardii wsadzonych na siłę na jedynki. W dotąd dobrze naoliwionym mechanizmie partyjnym coś się zacina. W Krakowie – mimo przewagi PiS – do dziś nie wybrano władz sejmiku, a na Podlasiu Jackowi Sasinowi nie udało się skleić prawicowej koalicji. W obozie Konfederacji znowu rausz przekonania, że „jutro należy do nas”. Dla uzupełnienia krajobrazu po bitwie – w Trzeciej Drodze panują nastroje rozgoryczenia i wzajemnych oskarżeń, a publicyści „Krytyki Politycznej” grzmiają: „Sztandar Lewicy Razem wyprowadzić!”.

KOALICJA – WSZYSCY SIĘ ZNAJĄ I NIE LUBIA

Powtórzmy więc istotną konstatację. Gdyby przełożyć głosy uzyskane w eurowyborach na układ Sejmu, to PO, Trzecia Droga i Lewica nie miałyby dziś w nim większości. Stało się to, co stać się musiało. W końcu wyszło na jaw, że Szymon Hołownia to tylko mierny polityczny kuglarz. W roli marszałka zanudził wszystkich swoimi pretensjonalnymi grepsami. A Władysław Kosiniak-Kamysz to polityk słaby i strachliwy, który w obecności Donalda Tuska nie jest w stanie nawet podnieść głosu. Cóż w tej sytuacji znaczą wezwania do zmian relacji w koalicji tego czy innego polityka Trzeciej Drogi?

Ludowiec Marek Sawicki złości się po czasie, że decyzyja Rafała Trzaskowskiego o zdjęciu krzyży rykoszetem uderzyła w PSL. A Joanna Mucha z Polski 2050 wieszczy koniec Trzeciej Drogi i żyje, że ludowcy „mają dramatycznie różne poglądy w bardzo wielu kwestiach”. I wreszcie Szymon Hołownia wbrew ludowcom obiecuje poparcie dla ustawy o związkach partnerskich.

Tak jak w wielu niedobrych małżeństwach, można zapytać, gdzie politycy PSL i Polski 2050 mieli oczy, decydując się na romans z takim politycznym ludojadem jak Donald Tusk? Oczywiście odpowiedź jest prosta. Pół roku temu priorytetem było odsunięcie PiS od władzy i Tusk doskonale wykorzystał ten ówczesny pęd do rządzenia. Ustawił Hołownię i Kosiniaka-

-Kamysza na takich pozycjach, na których nie są dla niego groźni. Dlatego dziś może słuchać jeremiad Sawickiego czy Muchy z ironicznym uśmiechem.

Polska 2050 nie ma szans stać się inną partią i nie zmieni szefa, bo oprócz Hołowni nie ma żadnego atutu. Także ludowcy nie wydają się być zdolni do zmiany lidera. A obie partie mimo sarkania na despotyzm lidera PO nie wyjdą z koalicji, bo nie chcą stracić swoich ministerstw.

Nie znaczy to jednak, że politycy PO mogą patrzeć na sytuację bez obaw. Po pierwsze, „Centrolew” będzie działać coraz gorzej, bo poziom wzajemnej nieufności zaskakująco szybko wzrasta. Powtarza się schemat z wielu toksycznych koalicji. Im bardziej spadają im sondaże, tym bardziej się kłócą, a im bardziej się kłócą, tym bardziej spadają im sondaże. Politycy PO nagle odkryli, że do Brukseli wyjechało wiele czołowych osobowości z ich partii. W rządzie zastąpią ich postacie z szeregow drugiego i trzeciego rządzącej partii. Nie polepszy to jakości rządu.

I tu dochodzimy do drugiego problemu. W ostatnim czasie w mediach sprzyjających Platformie pojawiły się sugestie, że Donald Tusk mógłby powalczyć o stanowisko szefa Komisji Europejskiej. Istotnie, wydaje się to możliwe. Tusk co prawda zgłasza kandydaturę Ursuli von der Leyen jako nowej komisarz, ale może być to tylko taktyczna rozgrywka. Ursula von der Leyen zraziła do siebie już tylu ważnych polityków Unii, że może się jej nie powieść plan ponownej kadencji na czele Komisji Europejskiej. A Tusk mógłby znaleźć poparcie Emmanuela Macrona i Manfreda Webera stojącego na czele EPP. Weberowi Tusk nie wadzi, bo wie, że ma na szefa PO wystarczający wpływ. Oddanie komisji Tuskowi można by było przedstawić jako ukłon starych zachodnich państw unijnych wobec wschodniej flanki Unii. Tuskowi też pasowałaby taka przygoda, bo odsunęłaby od niego niełatwy dylemat, czy startować na prezydenta Polski. Przy okazji zostawiłby bałagan rządowy jakimś następcy ze swojej partii. Sam zachowałby swój prestiż wyzwoliciela, który zwycięsko powrócił do Polski na białym koniu: „Odebrałem PiS władzę, a teraz wy się z tym już biedziecie”.

Gdyby ten scenariusz się spełnił, Platforma stanęłaby wobec pytania: Czy dalej trzymać się nominacji prezydenckiej dla Rafała Trzaskowskiego w 2025 r.? Można

przyjąć, że gdyby Tusk wyjechał do Brukseli, do walki o prezydenturę przystąpiłby Radosław Sikorski. Albo jeszcze inny scenariusz, który uwielbia Donald Wspaniały. Wysunąć jako kandydata na prezydenta którąś z platformerskich pań. Na podobnej zasadzie, na której w 2014 r. przekazał zwolniony fotel premiera Ewie Kopacz.

DYLEMATY NOWOGRODZKIEJ

Gdyby w PiS panowały zasady swobodnej dyskusji, to już w tej chwili powinna toczyć się debata na temat błędów, które popełniono w kampanii wyborczej do europarlamentu. Klipów PiS nie było widać nigdzie. Konia z rzędem temu, kto potrafiłby odpowiedzieć na pytanie o wiodące hasło PiS w ostatnich wyborach.

Wiele pytań można byłoby skierować bezpośrednio do Jarosława Kaczyńskiego. Dlaczego w imię sentymentu dla starych towarzyszy partyjnych wymusił oddanie jedynki na Pomorzu Annie Fotydzę, w Łódzkiem schorowanemu Witoldowi Waszczykowskiemu, a na Podlasiu lansował Karola Karskiego? Wszystkich tych kandydatów wyborcy PiS zignorowali i wsparli młodszych, bardziej dynamicznych polityków. I kolejne nieprzyjemne pytanie do prezesa: Co zrobił, aby partia zaczęła żegnać się ze starym zakonem PC, który już zbyt długo blokuje ścieżki awansu dla młodszej generacji? Mówiąc o „młodszej”, mam na myśli pokolenie 35–40+, bo taki jest w obecnym PiS „standard młodości”.

„Po stronie zjednoczonej prawicy zwraca generalnie uwagę słaby wynik »starej gwardii«”. To nie krytyka ze strony Marka Migalskiego czy kogoś z Konfederacji, ale słowa Jacka Karnowskiego, szefa tygodnika „Sieci”.

Jak wygląda obecnie architektura wewnętrzna PiS? Mateusz Morawiecki w pewnym sensie odniósł sukces, bo paru jego ludzi dostało się do europarlamentu: Waldemar Buda, Michał Dworczyk, Marlena Małag czy Piotr Müller. Tyle że politycy ci opuszczają Sejm, a Morawiecki potrzebuje swoich ludzi do walki o utrwalenie wpływów w PiS tutaj, na miejscu, w Warszawie. Na dodatek były premier, jeżdżąc po kraju i wspierając wybranych kandydatów – takich jak Maria Koc na Mazowszu czy Jadwiga Wiśniewska na Śląsku – zaskarbił sobie niechęć tych polityków, którzy czy to z panią Koc, czy

to z panią Wiśniewską twardo rywalizowali.

Byłego premiera zapewne nie zmartwiła porażka Jacka Kurskiego – jego zażartego krytyka. Tak naprawdę w tej chwili głównym kierunkiem starań Morawieckiego pozostaje nominacja prezydencka. Ale o tym za chwilę.

Po drugiej stronie Zjednoczonej Prawicy widzimy środowisko Suwerennej Polski. Jest ono mocno osłabione ciężką chorobą Zbigniewa Ziobry. SP ma powody do satysfakcji z racji błyskotliwych zwycięstw Patryka Jakiego, który wygrał z drugiej pozycji, czy Jacka Ozdoby, który dał sobie radę mimo jeszcze gorszego miejsca na liście. Ale na razie nie widać, by któryś z posłów Suwerennej Polski wysforował się na tyle na pierwszy plan, by z powodzeniem zastępować lidera Zbigniewa Ziobry, nieobecnego z powodu choroby. Politycy SP mogą się pocieszać tym, że Kaczyński będzie potrzebował ich do zrównoważenia ambicji Mateusza Morawieckiego.

Kolejnym dylematem, który stoi przed PiS, jest kwestia stosunku do Konfederacji. Coraz więcej młodych wyborców wybiera partię Bosaka i Brauna, a nie PiS, który w ich oczach często jawi się jako partia „dziaderska”. Jeśli największe ugrupowanie opozycji realnie nie odmłodzi swego wizerunku, to ten proces może się nasilać. Tyle że kwestia ewentualnej koalicji z Konfederacją stoi pod znakiem zapytania nie tylko z winy PiS. „Konfa” nadal jest wewnętrznie podzielona na frakcję Krzysztofa Bosaka i obóz nieprzewidywalnego Grzegorza Brauna. Konfederacja, jak niegdyś UPR Janusza Korwin-Mikkego, nie spieszy się do władzy i woli się upajać przekonaniem, że „nasz czas jeszcze nadejdzie”.

To okazja do wygodnej drzemki i występowania wiecznie w roli jedynych sprawiedliwych po prawej stronie. Entuzjazm młodych zwolenników „Konfy” na wiecach jeszcze wzmacnia takie tendencje, ale odsuwa pytanie: Czy konfederaci chcą w dającej się przewidzieć przyszłości sięgnąć po władzę? A to oznacza wybór – dalej grillować PiS za etatyzm czy powoli oswajać się z wizją wzajemnej współpracy.

KTO NA PREZYDENTA?

Zacznijmy od podstawowej konstatacji. To, kogo PiS wybierze na kandydata

PiS ma w pamięci sukces Andrzeja Dudy, ale zapomina, że wówczas, w 2015 r., swoistym pomostem do wygranej było poparcie elektoratu Pawła Kukiza.

Teraz odpowiednikiem ówczesnego elektoratu Kukizowego będzie elektorat konfederatów

prezydenckiego, zadecyduje o nowym układzie sił największej partii opozycji. Sondaże wskazują, że najwięcej ankietowanych widzi w tej roli Mateusza Morawieckiego. Pytanie tylko, czy ma on realne szanse na pokonanie kandydata Platformy w drugiej turze. Można uznać już za pewnik, że w drugiej turze elektorat Konfederacji na pewno go nie poprze. Wypomina mu politykę z epidemii COVID-19, nieudane negocjacje w sprawie KPO i zbyt łagodny stosunek do Zielonego Ładu. Sam Morawiecki już w wieczór wyborczy postanowił złagodzić to nastawienie i wyraźnie zadeklarował, że PiS powinien traktować Konfederację jako potencjalnego koalicjanta.

Były premier liczył, że brutalizm nowej władzy zrodzi z czasem tęsknotę za prosojalnym obliczem jego gabinetu. Ale można odnieść wrażenie, że negatywne wspomnienia związane z jego osobą zdają się silniejsze, niż początkowo zakładali liderzy PiS. Jeśli ta tendencja będzie narastać, to oznaczać będzie, że kandydatem PiS będzie musiał być ktoś z młodszego pokolenia.

I tu w grę wchodzi parę nazwisk. Niektórzy w PiS próbują zwrócić uwagę prezesa na tzw. samorządowców, np. na Jakuba Banaszka, prezydenta Chełma czy któregoś z młodszych posłów. Ale oni są mało znani i wylansowanie ich zajmie trochę czasu. A poza tym w polityce liczy się to, czy ktoś potrafił wykazać się aktywnością. I takie podejście każe skierować wzrok na duet Patryk Jaki i Tobiasz Bocheński. Obaj wyłącznie własnym wysiłkiem wywalczyli mandaty brukselskie i tym samym zdobyli przepustkę do puli kandydatów prezy-

denckich. Z tej dwójki Patryk Jaki, mimo ogromnych wysiłków, wciąż nie może z siebie zetrzeć pewnego rysu „blokersa”. Kogoś dobrego do bardzo wyrazistych politycznych zaczepek, ale niekojarzącego się z prestiżem urzędu prezydenckiego. Mniej kontrowersyjny jest na tym tle Tobiasz Bocheński, choć jemu z kolei szkodzi etykieta pięknisia i mięczaka.

Zbyt wielu kandydatów z młodej generacji nie ma. Na przykład w ogóle nie widać żadnych młodych kobiet w czołówce PiS. Na dodatek wiadomo, że kandydat ten będzie musiał mieć bardzo przekonujące argumenty na rzecz swoich kompetencji w dziedzinie bezpieczeństwa. Bo tego Polacy od przyszłego prezydenta w obliczu zagrożenia ze strony Rosji będą oczekiwać. A decyzja o kandydacie prezydenckim musi być podjęta najpóźniej do listopada br. Inaczej ktoś dotąd mało znany nie zostanie rozreklamowany na tyle, by jego nazwisko mówiło coś nie tylko osobom interesującym się polityką, lecz także „szaremu Kowalskiemu”.

Ta decyzja będzie dla PiS brzemienna w skutkach. Z jednej strony, PiS powinien ogłosić ją jak najszybciej, aby był czas na zbudowanie rozpoznawalności kandydata, z drugiej strony, jeśli postawi się na złego konia, to jego słabości wyjdą odpowiednio wcześniej. A wtedy partia będzie zmuszona do zmieniania konia w trakcie wyścigu. I tak źle, i tak niedobrze. Partia Jarosława Kaczyńskiego ma w pamięci sukces Andrzeja Dudy, ale zapomina, że wówczas, w 2015 r., swoistym pomostem do wygranej było poparcie elektoratu Pawła Kukiza. Teraz odpowiednikiem ówczesnego elektoratu Kukizowego będzie elektorat konfederatów. Dlatego zastanawiając się nad kandydatem, PiS musi znaleźć kogoś, kto byłby strawnym dla wyborców Bosaka i Brauna w drugiej turze. Z kolei zbyt wychylony w prawo kandydat odstraszy centrowych wyborców przed pierwszą turą.

Stare przysłowie mówi, że nowa kampania wyborcza zaczyna się następnego dnia po poprzednich wyborach. W tym sensie polska polityka zaczyna już się toczyć według kalendarza w rywalizacji prezydenckiej. A Polacy mają parę miesięcy na chwilę oddechu od rozbuchanych emocji politycznych. Ale to nie potrwa długo. Przygotujcie się na kolejne polityczne elektrowstrząsy.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

RYSZARD GROMADZKI: Ponad 100 tys. głosów, które uzyskała pani w wyborach do Parlamentu Europejskiego w znanej z liberalnych sympatii Wielkopolsce, robi wrażenie. Wynik Konfederacji w całym kraju też był zdecydowanie lepszy niż w ubiegłorocznych wyborach parlamentarnych. Co złożyło się na ten progres?

ANNA BRYŁKA: Wybory do Parlamentu Europejskiego są dla Konfederacji łatwiejsze, bo dają nam możliwość wyraźnego odróżnienia programowego od innych partii. Jednak najważniejszą kwestią jest wiarygodność, jeśli chodzi o krytykę polityk realizowanych przez Unię Europejską. Konfederacja jest w tej krytyce konsekwentna, nie uderzaliśmy w Zielony Ład, pakt migracyjny, wspólny unijny dług czy podatki tylko na potrzeby kampanii wyborczej. Krytykowaliśmy te przepisy od chwili ich zaproponowania, od momentu rozpoczęcia procesu legislacyjnego. Czas przysłał nam rację. Nie pomyliliśmy się w naszych przewidywaniach. Potwierdzeniem słuszności naszej krytyki były choćby masowe protesty rolników – nie tylko w Polsce, lecz także w całej Unii Europejskiej. Ta wiarygodność zapracowała.

Długo wydawało się, że większość Polaków jest bezkrytyczna wobec Unii Europejskiej. W ostatnich miesiącach widać, że eurosceptycyzm w narodzie rośnie. Nie chodzi tylko o protesty rolników. Wydaje się, że krytyczne nastawienie wobec posunięć Brukseli ma coraz większą część opinii publicznej.

Rzeczywiście, długo dominował u nas stereotyp, że obecność w Unii to przede wszystkim korzyści. Jednak od pewnego czasu w naszym społeczeństwie zaczyna dojrzywać świadomość, że obecność Polski w Unii Europejskiej to nie tylko korzyści, lecz także coraz większe koszty.

Ostatnia kadencja Parlamentu Europejskiego i pozostałych instytucji unijnych doprowadzi do wdrożenia wielu bardzo niekorzystnych polityk, których skutków Polacy nie mają świadomości. Staralam się podczas swojej kampanii tłumaczyć te rzeczy podczas spotkań z wyborcami. Wyjaśniałam ludziom, o co chodzi z dyrektywą budynkową czy pakietem ETS2, tłumaczyłam, skąd się

wziął zakaz sprzedaży aut spalinowych od 2035 r., co to będzie oznaczało dla przeciętnego gospodarstwa domowego.

Jestem wstrząśnięta, kiedy słyszę, jak polska poseł do Parlamentu Europejskiego, pani Scheuring-Wielgus, nie ma pojęcia, czym jest dyrektywa budynkowa. To pokazuje, że przed wyborami europejskimi w ogóle nie było rzetelnej debaty dotyczącej następstw unijnej polityki klimatycznej dla przeciętnego gospodarstwa domowego.



Z Anną Bryłką, eurodeputowaną Konfederacji
rozmawia Ryszard Gromadzki

Konfederatka w Brukseli

Unijna polityka klimatyczna równie dotkliwie jak zwykłym Kowalskim, a może bardziej, daje się we znaki polskim firmom, szczególnie z sektora małych i średnich przedsiębiorstw. Jak słychać coraz częściej w ostatnich tygodniach, zniechęca też, m.in. z powodu wysokich cen energii, do inwestowania w Polsce. Inwestorzy, obecni w naszym kraju od lat, przenoszą produkcję gdzieś indziej.

Podczas spotkań w trakcie kampanii bardzo często byłam pytana o masowe zwolnienia. Takich przypadków jest coraz więcej, bo przedsiębiorstwa nie są w stanie utrzymać się na rynku i zachować konkurencyjności. Ludzie to widzą, zaczynają wyciągać wnioski.

Jakie mogą być konsekwencje wyborów do Parlamentu Europejskiego na polskiej scenie politycznej? We Francji mamy prawdziwy wstrząs, prezydent Macron rozwiązał parlament i ogłosił

przedterminowe wybory. W Niemczech eurowybory przyniosły klęskę ugrupowania kanclerza Scholza. A czy w Polsce też może czekać nas przewartościowanie? Rządząca koalicja może się rozsypać po bardzo słabych wynikach Trzeciej Drogi i Lewicy?

W mojej ocenie przełomu na polskiej scenie politycznej nie będzie do wyborów prezydenckich. Nie spodziewam się żadnego przewartościowania w najbliższych miesiącach. Każdy, kto obserwuje polską politykę, widzi, że premier Tusk cynicznie gra na osłabienie swoich koalicjantów

i robi to skutecznie. Odpowiedzialność za sytuację w wojsku polskim czy na granicy z Białorusią scedował na wicepremiera Kosiniaka-Kamysza, na którego spada całe odium. Ponadto mamy słabnącą w oczach Trzecią Drogę ze względu na wewnętrznie sprzeczny program. Jedno mówił marszałek Hołownia, co innego robiła Róża Thun, w efekcie skończyło się to jej spektakularną przegraną w wyborach.

Jeszcze gorzej wygląda sytuacja Lewicy. W eurowyborach ledwie przekroczyła próg wyborczy.

Lewica nie jest już nikomu potrzebna, bo jej postulaty ma w swojej agendzie Koalicja Obywatelska. Tusk z pewnością będzie kontynuował marginalizowanie przystawek, czyli Trzeciej Drogi i Lewicy. Z tą pierwszą formacją może mu pójść łatwiej, bo drogi Szymona Hołowni i Władysława Kosiniaka-Kamysza rozchodzą się coraz bardziej.

Linii podziału w rządzącej koalicji przybywa. Charakterystyczna jest sprawa legalizacji

Lewica nie jest już nikomu potrzebna, bo jej postulaty ma w swojej agendzie Koalicja Obywatelska

■ tzw. związków partnerskich. Lewica obwieszcza, że w koalicji jest zgoda na to rozwiązanie. Kosiński-Kamysz zaprzecza, a marszałek Hołownia mówi, że nic na ten temat nie wie...

Mam wrażenie, że Polacy są coraz bardziej zmęczeni wrzucaniem tego rodzaju zastępczych tematów do debaty publicznej w sytuacji, w której coraz więcej ludzi traci pracę w następstwie masowych zwolnień albo dostaje rachunek za prąd, którego nie jest w stanie zapłacić. Moim zdaniem ludzie w ostatnich miesiącach coraz bardziej uodporniają się na tego rodzaju ideologiczne wrzutki. To świetnie rozgrzewa media, ale ma się nijak do realnych problemów, do prawdziwego życia. To odróżniało Konfederację w ostatniej kampanii. My mówiliśmy o realnych problemach i zagrożeniach, które mogą się pojawić. Ludzie docenili to, że rozmawialiśmy z nimi o sprawach, które dotyczą ich na co dzień. Dla Polaków nie ma problemu 60 płci, bo są dwie płcie. Na szczęście są jeszcze u nas zdrowy rozsądek i racjonalność.

Ze strony niektórych polityków PiS słychać było po wyborach do Parlamentu Europejskiego spekulacje dotyczące możliwej przyszłej koalicji z udziałem PSL i być może Konfederacji. To pani zdaniem realny scenariusz?

W obecnej arytmetyce sejmowej jest to raczej nierealne. PiS w wyborach do europarlamentu zanotował poważny spadek poparcia. W efekcie tego wprowadza do Parlamentu Europejskiego dużo mniejszą reprezentację, niż miało to miejsce pięć lat temu. Do sukcesu Konfederacji w ostatnich wyborach przyczynił się właśnie PiS, poprzez brak wiarygodności. Przypomnę, że to nie kto inny jak premier Morawiecki akceptował mechanizm „pieniądze za praworządność”, wspólny unijny dług i podatki. Z powodu tej dwulicowości PiS utracił wiarygodność w dużej części konserwatywnego elektoratu. Jesteśmy gotowi do współpracy z każdym, kto będzie realizował nasz program, ale oczywiście nie mamy zamiaru podzielić losu junior partnerów w koalicji Tuska. Jeśli chcemy być skuteczni, to musimy mieć zagwarantowany wpływ na realizację swojego programu. Czekamy na kolejne wybory za trzy lata. Zobaczymy, co się wydarzy.

Pani łamie stereotyp pokutujący na temat Konfederacji, według którego jest to formacja antyko-



bieca, zdominowana przez męskich szowinistów. Tymczasem ostatnie wybory do europarlamentu pokazały nowy trend: na Konfederację częściej niż we wcześniejszych wyborach głosowały kobiety... Kobiety na jedynekach list Konfederacji ociepliły jej wizerunek?

Sądzę, że kobiecy elektorat Konfederacji był bardziej zmobilizowany niż kobiety głosujące na Lewicę. Rzeczywiście Konfederację zaszukowano jako partię antykobiecą, co nie ma nic wspólnego z prawdziwym obrazem naszego ugrupowania. To był chwyt, za pomocą którego łatwo było nas atakować. Konsekwentną pracą odwracamy ten fałszywy stereotyp. Cieszy, że kobiety doceniają pracę innych kobiet w polityce. Podkreślałam zawsze, że w Konfederacji stawia-

Do sukcesu Konfederacji w ostatnich wyborach przyczynił się właśnie PiS, poprzez brak wiarygodności

my przede wszystkim na kompetencję, płeć nie ma tu znaczenia. Jeśli ktoś jest konsekwentny, to nie ma znaczenia, czy jest mężczyzną czy kobietą. Ważne, żeby swoje powołanie realizował w najlepszy sposób.

Zostańmy przy kwestii kobiecej. W Polsce, podobnie jak w większości krajów rozwiniętych,



mii COVID-19? Mam na myśli działania realizowane przez rząd premiera Morawieckiego w kraju, a także decyzje Komisji Europejskiej w tym okresie. Czy będąc w Parlamencie Europejskim, będzie pani popierała takie rozliczenie?

To trzeba rozliczyć zarówno na poziomie europejskim, jak i krajowym. Wszystkie nadużycia, które miały miejsce w tym okresie, chociażby w postaci utylizacji ogromnej liczby niepotrzebnych preparatów przeciw COVID-19 w Polsce. To są olbrzymie straty dla budżetu państwa. To wielowątkowa sprawa. Niestety, nie mam złudzeń co do tego, że na poziomie unijnym to rozliczenie, przy obecnej większości w Parlamencie Europejskim, będzie spotykało się z oporem.

Czerwiec to w poetyce poprawności politycznej „miesiąc dumy” środowisk LGBTQ. Towarzyszom liczne parady, podczas których bardzo często ekspozowana jest perwersja seksualna. Czy tego rodzaju manifestacje w polskich miastach nie powinny być zakazane?

Doświadczenia z ostatnich lat z tych parad pokazują, że regularnie dochodzi tam do profanacji i obrazy uczuć religijnych. Takie zdarzenia na pewno nie powinny mieć miejsca w przestrzeni publicznej. Nie powinny być publicznie wspierane ani promowane. Oczywiście każdy ma prawo zorganizować wydarzenie publiczne i brać udział w takim zgromadzeniu, ale są pewne granice, których nie wolno przekraczać. Te marsze mają charakter obsceniczny. Jestem za wprowadzeniem regulacji, które gwarantowałyby ochronę przynajmniej tego, co jest w polskim porządku prawnym, czyli np. ochronę uczuć religijnych. W wypadku profanacji wobec organizatorów takich wydarzeń powinny być wyciągane konsekwencje prawne.

O co zamierza walczyć konfederatka w Brukseli Anna Bryłka?

Przede wszystkim o zatrzymanie polityki klimatycznej Unii, a także o niecedowanie żadnych kolejnych kompetencji z Warszawy do Brukseli. Chciałabym pracować w dwóch komisjach Parlamentu Europejskiego – komisji rolnictwa i komisji handlu – i tam zajmować się konkretnymi kwestiami legislacyjnymi, które służyłyby polskimi interesami.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

mamy do czynienia z dramatyczną zapaścią demograficzną. Wymieramy jako naród. Polki nie chcą mieć dzieci. Żadne programy socjalne, w rodzaju „800+”, nie są w stanie tego zmienić. Dominująca kultura jest wymierzona w rodzinę i macierzyństwo. Jak zatrzymać ten samobójczy trend?

Na pewno przyczyną dramatycznego spadku dzietności nie są kwestie ekonomiczne. Powodem są przesłanki kulturowe. Politycy mają do dyspozycji bardzo ograniczone narzędzia, żeby zachęcać do zwiększenia dzietności. Zachęty finansowe mogą odgrywać rolę wspomagającą. Zadaniem, które powinniśmy przepracować jako społeczeństwo, powinno być promowanie wielodzietności. Przez całe lata było to zwalczane. Rodziny wielodzietne nazywano patologicznymi, co w zdecydowanej

większości przypadków nie miało miejsca. Promujemy wielodzietność, pomagamy rodzinom, które chcą mieć wiele dzieci. Wszyscy na tym skorzystamy.

W ostatnim czasie na polsko-białoruskiej granicy zginął młody żołnierz ugodzony śmiertelnie przez agresywnego migranta. Czy służby strzegące naszej granicy – żołnierze, policjanci, strażnicy graniczny – powinni mieć możliwość użycia broni palnej w przypadku agresji ze strony bandytów napierających na granicę?

Absolutnie powinni dysponować takim prawem. Ta sprawa nie powinna podlegać dyskusji.

Czy pani zdaniem powinno nastąpić rozliczenie polityki prowadzonej w czasie tzw. pande-

Jacek Kurski, były prezes TVP, startował w okręgu numer 5, obejmującym województwo mazowieckie bez aglomeracji warszawskiej. Dostał drugie miejsce na liście – za Adamem Bieleńskim, który kandydował do PE po raz piąty (udało mu się i w ten sposób zostaje chyba rekordzistą w polskiej delegacji pod względem stażu). Bieleński dostał pierwszy wynik – ponad 90,6 tys. głosów, jednak nazwisko Jacka Kurskiego wyborcy bardzo świadomie musieli omijać, skoro jego rezultat był dopiero szósty (32 tys. głosów). Wyprzedzili go m.in. Daniel Milewski (z ostatniego miejsca), Maria Koc, a przede wszystkim Jacek Ozdoba, polityk Suwerennej Polski, z miejsca piątego, czyli ze środka listy – z pozycji bardzo niewygodnej – który zdobył w okręgu drugi mandat dla PiS (ponad 54 tys. głosów).

Kurski jest mistrzem autopromocji, co pokazał m.in. głośny list do Jarosława Kaczyńskiego, w którym przypisywano mu ogromne zasługi w kierowaniu Telewizją Polską i stawiano tezę, że gdyby nie zmiana na stanowisku jej prezesa, PiS, dzięki Kurskiemu wygrałby jesienne wybory. Oficjalnie Kurski z listem nie miał nic wspólnego, ale mógłby w to uwierzyć tylko ktoś skrajnie naiwny.

Jednak zdolności autopromocyjne byłego szefa TVP są ograniczone do wewnątrzśrodowiskowych intryg i, jak widać, nie przekładają się na rezultaty wyborcze. Lichutki wynik w wyborach do PE jest recenzją sposobu, w jaki Kurski kierował telewizją, i najpewniej na dłuższy czas przyhamuje jego karierę. Dla jego przeciwników – a ma ich w obozie PiS mnóstwo – będzie potężnym argumentem.

ŚCIĘTA RÓŻA

Róża Maria Gräfin von Thun und Hohenstein wylatuje z Parlamentu Europejskiego po trzech nieprzerwanych kadencjach – zasiadała tam od 2009 r. Kandydowała tym razem z listy Trzeciej Drogi z okręgu numer 12, obejmującego województwa dolnośląskie i opolskie. Co prawda, na swojej liście wykreśliła najlepszy wynik, ale cała lista sromotnie poległa, a jej 14 202 głosy są na szarym końcu w skali kraju, zwłaszcza jeśli wziąć pod uwagę pierwsze miejsca i polityków rozpoznawalnych.

Wygnani z raju



Łukasz Warzecha

Liczy się oczywiście, kto będzie nas w Parlamencie Europejskim reprezentował, ale też ważne jest, kto dostał od wyborców czarną polewkę. Oto subiektywny wybór najważniejszych porażek, z których część daje poczucie schadenfreude, a część trzeba odnotować z autentycznym żalem

Róża Thun, de domo Woźniakowska, jest rozpoznawalna, ponieważ trwała w polskiej polityce od dekad i w tym czasie przeszła przez kilka formacji, wszystkie mieszczące się w tym samym nurcie: Unię Demokratyczną, Unię Wolności, Platformę Obywatelską, a na koniec Polskę 2050. Całkowicie bezkrytyczna euroentuzjastka stwierdziła niegdyś, że znalazłszy się w Parlamencie Europejskim, poczuła się jak w raju. Teraz będzie się musiała pogodzić z wygnaniem z niego.

Przed wyborami Szymon Hołownia mówił, że kandydaci Polski 2050 idą do PE m.in. po to, aby skończyć z dyrektywą budynkową (EPBD). Problem w tym, że Róża Thun za tą dyrektywą głosowała, i to dwukrotnie. Pytana o to przez Bogdan Rymanowski w Radiu Zet bardzo płała się w zeznaniach i twierdziła, że nie zna dokładnie wypowiedzi lidera własnego ugrupowania.

Za swoje największe osiągnięcie uznawała zniesienie opłat roamingowych w UE. To dla wielu osób faktycznie istotna korzyść, jednak ta decyzja została podjęta już dawno – rozporządzenie w tej sprawie obowiązuje w UE do 2017 r. Pani Thun uznała więc, że musi się pochwalić czymś nowszym, i zaczęła opowiadać o sukcesie, którym miało być ustalenie jednolitego standardu ładowarek w postaci USB-C. Problem w tym, że to już znacznie mniej spektakularne rozwiązanie, głęboka interwencja w rynek, a producenci w większości i tak przecho-

dzili już na to właśnie złącze. Zatem tym razem nie pykło.

I dobrze – pani Thun należała bowiem do osób, które z zachwytem poparłyby nawet nakaz chodzenia w kolorowych skarpetach naciągniętych na uszy, gdyby tylko takie prawo firmowała Bruksela.

Jacek Saryusz-Wolski – człowiek, który na drugie imię mógłby mieć „Unia Europejska” (tak naprawdę ma Emil), a który w PE zasiadał nieprzerwanie od 20 lat, zatem przez cztery kadencje. Trudno o kogoś bardziej kompetentnego i lepiej rozezanego w meandrach unijnych procedur, jako że pan Saryusz-Wolski, zanim został europosem (trzykrotnie wybierany był z list PO, raz z listy PiS), sprawował funkcję pełnomocnika do spraw integracji europejskiej i był jedną z osób wprowadzających Polskę do Unii. Przez pewien czas był także sekretarzem Komitetu do spraw Integracji Europejskiej (w rządzie Jerzego Buzka).

Ewolucja polityczna Jacka Saryusz-Wolskiego – od prominentnego polityka PO do twardego wojownika PiS, w swoich ocenach UE nieunikającego czasami populizmu – to jeden z najciekawszych przypadków tego typu w Polsce. Nie była to ewolucja motywowana koniunkturalizmem, jak w przypadku wielu, którzy zresztą nawet nie ewoluują, ale po prostu zmieniają swoje poglądy praktycznie z dnia na dzień na takie, które pozwolą im dostać miejsce na danej liście albo wymarzone stanowisko (proszę się przyjrzeć choćby przypadkowi Micha-

ła Kamińskiego, niegdyś jeżdżącego w odwiedziny do Augusta Pinocheta). Saryusz-Wolski swoje zapatrywania zmieniał stopniowo, najwyraźniej pod wpływem tego, co działo się z UE. Z umiarkowanego euroentuzjasty stał się zaciekle suwerennościowcem. Można jednak uznać, że to nie tyle on zmienił poglądy, ile raczej przesunęło się unijne okno Overtona.

Mimo niewątpliwych ogromnych kompetencji – a także doskonałej znajomości angielskiego i francuskiego – nie został doceniony przez Jarosława Kaczyńskiego. Nie dostał pierwszego miejsca ani w Warszawie, o co zabiegał, ani w okręgu 8., w województwie lubelskim, gdzie wylądował na dwójce, za Mariuszem Kamińskim. I to były minister zgarnął mandat, dostając ponad 110 tys. głosów. Saryusz-Wolski otrzymał ich 56,5 tys. Szkoda. Można założyć, że w tym wypadku zdecydował twardy PiS-owski elektorat, który wolał „męczennika” bez kompetencji niż doświadczoną politykę z ogromną wiedzą.

SOŚNIERZ PECHOWIEC

Dobromir Sośnierz to chyba największy pechowiec w tym zestawieniu, bo do zdobycia mandatu zabrakło mu zaledwie 50 głosów. Marcin Sypniewski z Nowej Nadziei, partii Sławomira Mentzena, który był pierwszy na liście Konfederacji w okręgu 11., czyli województwie dolnośląskim, miał ich 49 553, Sośnierz zaś – 49 504.

Dobromir Sośnierz był już europosem w VIII kadencji (obecna jest X). Nie przez całe pięć lat jednak – wszedł na zaledwie dwa lata, w roku 2018, zamiast Janusza Korwin-Mikkego (który zrezygnował wówczas z zasiadania w PE) jako kolejna osoba na liście Kongresu Nowej Prawicy.

Sośnierz okazał się przez ten niedługi czas europosem bardzo aktywnym w informowaniu swoich wyborców o tym, co dzieje się w Parlamencie Europejskim. O patologiach działania tej instytucji nakręcił znakomity dokument, który do dzisiaj można oglądać na YouTube.

Tym razem prowadził bardzo aktywną kampanię i zapewne gdyby był na liście na pierwszym miejscu, a nie na ostatnim, – mandat miałyby w kieszeni. Sławomir Mentzen postanowił go jednak

z jednej strony zmotywować, umieszczając go na końcu, a z drugiej – ukarać za rozłam. Sośnierz, który w latach 2019–2023 był posłem na Sejm, odszedł bowiem z Konfederacji w ramach rewolty Wolnościowców, wraz z Arturem Dziamborem (kandydował tym razem z listy Trzeciej Drogi i również nie zdobył mandatu) oraz Jakubem Kuleszą (wycofał się z polityki).

Człowiek charakterystyczny, specyficzny, oryginał, niemal zawsze ubrany na czarno, integralny liberał, byłby dużym wzmocnieniem dla delegacji Konfederacji. Szkoda byłoby, gdyby miał zniknąć z polityki.

Hanna Gronkiewicz-Waltz – była prezes Narodowego Banku Polskiego i była prezydent Warszawy – pokazała, że jeśli przez dłuższy czas pozostaje się na marginesie polityki, to nie wystarczy partyjny szyld, żeby do niej wrócić. Gronkiewicz-Waltz wystartowała z najbardziej proplatformerskiego okręgu w Polsce – warszawskiego. Teoretycznie miała duże szanse na dostanie się do PE, bo z powodu wysokiej frekwencji KO mogła w tym okręgu liczyć na aż trzy mandaty, a była szefowa NBP dostała drugie miejsce, za Marcinem Kierwińskim. To on uzyskał największe poparcie na liście KO – ponad 143 tys. głosów. Ale była prezydent Warszawy przeskoczyli Kamila Gasiuk-Pihowicz z trzeciego miejsca, z prawie 137 tys. głosów, i Michał Szczęrba z miejsca piątego – 120 tys. głosów. Gronkiewicz-Waltz wynik miała w skali kraju nawet przyzwoity – 94,5 tys. głosów, ale za mały na zdobycie mandatu.

Jak się okazało, rozpoznawalność i popularność nie są dane raz na zawsze. W warunkach skrajnej polaryzacji premię dostają medialni krzykacze, tacy jak Gasiuk-Pihowicz czy Szczęrba, nawet jeśli ich krzyki są kompletnie bez sensu, albo wierni pretorianie wodza, tacy jak Kierwiński. Zresztą o ile jeszcze dekadę temu była prezydent Warszawy mieściła by się ze swoimi poglądami w głównym nurcie PO, o tyle dzisiaj jawi się jako jej skrajne prawe skrzydło – a to w stolicy, idącej ostrym lewym kursem, na pewno nie pomaga.

UPOKORZENIE

Ryszard Czarnecki żegna się z Parlamentem Europejskim po

czterech kadencjach, czyli po 20 latach – podobnie jak Saryusz-Wolski. I to żegna się upokorzeniem. W okręgu numer 7, obejmującym województwo wielkopolskie, dostał drugie miejsce – za promowanym przez pana prezydenta ministrem Wojciechem Kolarskim (skończył z trzecim wynikiem i obszedł się smakiem).

Czarnecki mógł sądzić, że to dla niego świetny układ. Nad ministrem Kolarskim, konkurentem z jedyńki, górował doświadczeniem i wiedzą o PE, był obecny w wielu sprzyjających PiS mediach, charakterystyczny i wygadany, rozpoznawalny wśród wyborców PiS na pewno o wiele bardziej niż nijaki minister Kolarski.

Tymczasem obu panom nie miało niespodziankę sprawiła była minister rodziny, Marlena Małag, umieszczona dopiero na trzecim miejscu. Zgarnęła ponad 115,5 tys. głosów oraz mandat, podczas gdy Czarnecki zyskał jedynie 66 tys. głosów. Wychodzi na to, że dla wielkopolskich wyborców ważniejsza była wciąż trwająca popularność PiS-owskiej minister, która wielokrotnie była twarzą najbardziej socjalnych, lewicowych pomysłów społecznych PiS, niż wiedza o funkcjonowaniu UE, którą niewątpliwie pan Czarnecki posiada.

Nie są to wszyscy wielcy przegrani. Poza wymienionymi nie udało się dostać do PE postaciom tak charakterystycznym lub kompetentnym jak Anna Fotyga, była minister spraw zagranicznych w pierwszych rządach PiS; Karol Karski – europoseł PiS od 2014 r.; Joanna Lichoń, najwierniej wpatrzona w prezesa Kaczyńskiego, specjalistka od środkowego palca; Włodzimierz Cimoszewicz, były premier i minister spraw zagranicznych z Lewicy, także weteran PE; Ryszard Petru czy obrotowy Michał Kamiński – obaj z Trzeciej Drogi.

Trochę bezproduktywnych pieczeniarczy odpadło, w zamian weszli kolejni. Zniknęło sporo ludzi kompetentnych. Jedno się nie zmienia: krajowe podziały będą także podziałami w PE, a Polacy zasiadający w Brukseli i Strasburgu, będący członkami różnych ugrupowań, nie będą gotowi działać wspólnie nawet tam, gdzie interes Polski będzie się wydawał oczywisty.

Nieuleczalne przegrywanie



Jerzy Karwelis

Polska znowu traci szanse na konkurencyjność. Tym razem w branży farmaceutycznej

Jakoś tak cicho przeszła informacja, że rząd polski, w osobie ministra rozwoju i technologii, zrezygnował z części pieniędzy z KPO przeznaczonych na rozbudowę produkcji w Polsce tzw. API (Active Pharmaceutical Ingredient). Sprawa to ciekawa, bo przecież ciągle się mówiło, że tyle euro na nas tam czeka, walczyło się o nie, nawet z powodu niemożności dotarcia rządu PiS do tych

pieniędzy, a jednocześnie rozdmuchania dobrodziejstw z nich wynikających, stworzono jeden z większych gwoździ do trumny poprzednich rządzących. A tu nagle taka niespodzianka...

API – CO TO TAKIEGO?

Najpierw o samym API. Dla wielu będzie to pewnie zaskoczenie, ale produkcja leków i inne gałęzie przemysłu podlegają procesom globalizacji. To znaczy, że największe firmy farmaceutyczne „składają” lekarstwa z komponentów, czyli czynników aktywnych, które w ogóle sprawiają, że lekarstwo działa. To substancje aktywne (API); reszta to różne dodatki, ale na poziomie wręcz marketingowo-smakowym. Tak – te wszystkie Big Pharmacy, te koncerny, które, co prawda, wymyślają lekarstwa, korzystają z różnych kombinacji

substancji aktywnych, czasem wymyślają nowe, ale i tych produkcje – mocą globalistycznego szukania zysku – podzlecają.

I tak jest zarówno w farmacji, jak i z całą resztą, gdzie Zachód dobija tylko u siebie marże, ale cała produkcja zależy od dostarczonych komponentów. Przez Chiny. W przypadku produkcji API docho- dzą jeszcze Indie. Tak mieliśmy – i mamy – ułożony rynek farmaceutyczny.

Problemy z taką zależnością pojawiały się od dawna. Ujawnił je w całości okres pandemii COVID-19, ale i wcześniej pojawiały się alarmistyczne doniesienia, z których nie wyciągnięto wniosków. Na przykład w 2008 r. okazało się, że cała produkcja heparyny wisi na włosku jednego chińskiego producenta. Ten, przyczynając koszty, postanowił dawać tańszy, ale gorszy produkt. Okazał się on



FOT. ADRIAN STOK

której zaangażowanie zasadza się tylko na logistyce i marketingu, z dodatkiem prac badawczo-rozwojowych.

No i przyszedł COVID-19. Sytuacja z dostępem do API jeszcze bardziej się pogorszyła. Zostały zerwane łańcuchy dostaw i Europa stanęła wobec skonstatowania własnej niemocy. Brakowało lekarstw praktycznie na wszystko. Do dziś nie wiemy – bo nikt tego nie bada – jaki wpływ na ponadnormatywny poziom zgonów w czasach covidowych miało nieleczenie pacjentów, z których tylko niewielu umarło z pozytywnym wynikiem testu covidowego. Już wtedy zaczęto rozważać kwestie tzw. decouplingu, czyli przeniesienia produkcji do Europy, zwłaszcza w tak drażliwej kwestii jak lekarstwa.

Nawet pokładano nadzieje „przekucia problemu w szansę”, uważając, że trzeba wykorzystać COVID-19 jako impuls do przyspieszenia uzyskania bezpieczeństwa europejskiego w tej dziedzinie. Powołano oczywiście w ramach Unii Europejskiej specjalny Komitet Wykonawczy, ale skończyło się tylko na gadaniu. Wpisano wspieranie „powrotu” produkcji API do Europy dopiero w planie Next Generation EU, który w Polsce nazywany jest KPO. Zajął to sześć miesięcy, ale szczegółowe i kierunkowe decyzje dotyczące decouplingu API zostały przyjęte w formie wniosków do dyrektywy i rozporządzenia dopiero 26 kwietnia 2023 r.

API A SPRAWA POLSKA

W Polsce mamy do czynienia z sytuacją, w której na 600 używanych API produkuje się na miejscu 40. Przoduje tu Polpharma, która miała i ma w tym względzie szerokie plany. Jednak rząd nie przyjął tych pieniędzy z KPO. Pytanie: Dlaczego? W komunikacie ministerstwa czytamy, że zdecydowano tak po konsultacjach z... branżą. To byłoby niezwykle, gdyby branża odmówiła otrzymania wsparcia na tak kluczowe inwestycje.

Jak to tłumaczy ministerstwo pana świeżo upieczonego ministra Krzysztofa Paszyka? Ano wycofano się z tej części kasy wspólnie dlatego, że obie strony – branżowa i farmaceutyczna – doszły do wniosku, że nie zdążą. Wyznaczone i zaakceptowane przez poprzedni rząd terminy stały się nierealne. Ale tak się stało nie z powodu niezgustwa rządu PiS,

ale z tego powodu, że czekamy do dziś na odblokowanie tych środków. A terminy były w KPO konkretne – nie od daty otrzymania środków, ale od podpisania KPO, na którego uruchomienie środków Unia wyraźnie czekała do zmiany rządu na obecny. I terminy odpłynęły.

Wiadomo – winien PiS, o czym jest mowa w większej części komunikatu Ministerstwa Rozwoju i Technologii. Jednocześnie obiecano, że sprawą rząd się zajmie, ale należy wątpić w te deklaracje. Rząd mówi, że zwrócił się do Komisji Europejskiej z prośbą o przedłużenie terminów i zamiany pożyczkowej formuły na granty, ale Komisja się nie zgodziła. Nie ma się co dziwić – pieniądze dostali inni, na tej niewykorzystanej puli Komisja tylko zyska, Polska zaś znowu utraci szansę na konkurencyjność w kolejnej branży.

**Można mieć wątpliwość,
czy nastąpi powrót produkcji
nie tylko leków, lecz także
innych dóbr do Europy**

Trzeba też przypomnieć, że kwestia API to nie tylko kwestia branży farmaceutycznej, lecz także – co dowiodła pandemia – bezpieczeństwa kraju. Te pieniądze pójdą do innych krajów, od czego nasze bezpieczeństwo na pewno nie wzrośnie. Można mieć także wątpliwości, czy będziemy mieli w ogóle do czynienia z powrotem produkcji nie tylko leków, lecz także reszty produkcji dóbr do Europy. Wielkim korporacjom się to nie będzie opłacać, bo to tylko podroży ich produkty; trzeba będzie obłożyć jeszcze dodatkowo cłami produkcję z Chin i Indii i powstanie „dziura czasowa”. Będziemy się bronić cłami przed zalewem lekarstw z Azji, nie będziemy zaś jeszcze gotowi z własną produkcją, bo jej uruchomienie zajmuje do czterech lat. Czyli podrożeje. A w dodatku widać po ostatniej wizycie przywódcy Chin, Xi Jinpinga, że Chiny będą kusić Europę, by ta współpracowała bez jakichś mrzonek o decouplingu. A w tym względzie Chiny i Indie mają wielką kartę przetargową w ręku – los zdrowia publicznego Europejczyków.

trujący, ale wszedł do sprzedaży, gdyż, aby to wykryć, trzeba było zrobić specjalne badania, ale nikt z Big Pharmacy się nie pokwapił. W 2019 r., rok przed pandemią, mieliśmy już do czynienia z systemową zapaścią. Poupadało w Chinach kilka fabryk API i zabrakło w polskich aptekach ponad 500 leków, w tym krytycznych leków na cukrzycę.

NA PASKU AZJATÓW

Uzależnienie od importu z Chin i Indii wynosi ok. 80 proc., a w przypadku składników do produkcji antybiotyków dochodzi do 90 proc. światowej produkcji. Globalizm poszedł też dalej, gdyż przenosi produkcję już nie tylko API, lecz także gotowych lekarstw głównie do Indii. Leki sprowadza się następnie do takiej Europy, dokleja znaczek znanej firmy europejskiej,



FOT. ADRIAN STOK

Wakacje z influencerem



Zuzanna Dąbrowska-Pieczyska

Obóz firmowany przez influencera to marzenie wielu dzieci. Wspólny TikTok, zdjęcie i chwila rozmowy stanowią obiekt pożądania, za który rodzice muszą zapłacić kilka tysięcy złotych

Uśmiech, do telefonu, jak pozujemy? – pyta influencerka Julia Żugaj, jedna z uczestniczek majówkowego obozu w Burzeninie. – Przytulasek i rąsia – odpowiada ok. 12-letnia dziewczynka. Są więc zdjęcia w pozie na „przytulaskę” i z „rąsiami” tworzącymi kształt serca. – I z Kamilem, i Instax dodatkowo – instruuje dalej Żugaj, odsyłając do pozowania z nastolatką towarzyszącego jej Kamila Owczarka, również influencera. To tzw. meet and greet, czyli kilkadziesiąt sekund, które osiągając miliony zasięgi 23-latkę poświęca każdej uczestniczce kilkudniowego wyjazdu. Oprócz pozowanych zdjęć dzieci mogą nagrać ze swoimi idolami wybrany trend z TikToka.

Nagrania szybko lądują na tej właśnie platformie i trafiają do prężnej i wciąż rosnącej społeczności „żugajek” – dziewczynek w wieku od kilku do kilkunastu lat, które są zafascynowane jasnowłosą influencerką. Julia Żugaj karierę w Internecie na dużą skalę rozpoczęła od Teamu X. Grupa młodych twórców internetowych mieszkała razem w luksusowej willi i tworzyła taśmowo niezbyt ambitny контент do sieci. Niektórzy, tak jak 23-latkę, wykorzystali szansę i dziś dzięki działalności w sieci zarabiają krocie. O innych słuch zagał.

UŚMIECH ZA KASĘ

Sposobów, w które influencerzy monetyzują własną rozpoznawalność, jest

wiele. Począwszy od tych najprostszych, czyli sprzedaży tzw. merchu (odzieży, kosmetyków, gadżetów szkolnych), poprzez współpracę z firmami produkującymi żywność i np. McDonald's, na obozach dla młodych fanów skończywszy. Takie wyjazdy budzą ogromne zainteresowanie, a ograniczona pula miejsc zazwyczaj wyprzedaje się na pniu – szczególnie gdy influencer opublikuje informację o organizowanym wyjeździe na instastory. Cena majówki w sportowej osadzie w Burzeninie z Żugaj i Owczarkiem rozpoczynała się od 1899 zł. W pakiecie m.in. wieczorne występy, w których jurorem była Julia, „żugajkowy »Mam talent«”, sprawdzanie wśród uczestników znajomości piosenek influencerki oraz wymyślanie własnych trendów, które miałyby trafić na TikToka.

Influencerka była obecna jedynie przez niewielką część trwania obozu. Przez resztę czasu dziećmi, zgodnie z informacjami organizatora wydarzenia, zajmowała się uprawniona do tego kadra pedagogiczna. Obok zajęć o profilu typowo „influencerskim” uczestnikom

zaoferowano możliwość wspinaczki, pieczenie kiełbasek przy ognisku oraz zajęcia na basenie. Cztery dni wypełnio-
ne atrakcjami.

Majówka „żugajek” nie była pierw-
szym wyjazdem organizowanym pod egi-
dą Julii Żugaj. Podobnie jak poprzednie
tego rodzaju obozy cieszyła się dużym
zainteresowaniem. Stąd nie dziwi, że
przedsiebiorcza influencerka już planuje
wyjazd wakacyjny. Tygodniowy „camp”
znowu odbędzie się w ośrodku w Bur-
zeninie pod Łodzią. Tym razem rodzice
muszą liczyć się z kosztem minimum
2,9 tys. zł (minimum, ponieważ trzeba
jeszcze dać kieszonkowe). To cena za
siedem noclegów, wyżywienie, ubezpie-
czenie i wykwalifikowanych opiekunów.

Wiadomo, że w obozie weźmie udział
ponad 220 dziewczynek. Żugaj spędzi
w ośrodku trzy dni, choć rzecz jasna nie
będzie dostępna dla swoich fanek przez
cały czas. Jej obecność jest ściśle kontro-
lowana. W planie m.in. warsztaty z bycia
influencerem, wspólne zdjęcia, nagrania
oraz projektowanie ubrań. Dziewczynki
będą mogły także zadać idolce pyta-
nia, jednak nie tak po prostu, podczas
rozmowy, a tylko w ramach wydarzenia
pt. „Q&A” (Pytania i Odpowiedzi). Warsztaty
tańca dla uczestniczek poprowadzi
zewnątrz instruktor, a dla chętnych
(i bardziej zamożnych, bo za dodatkową
opłatą) oferowany jest udział w „gel
blaster”, czyli żelowej alternatywie dla
paintballa, oraz rafting.

MAŁE-WIELKIE DRAMATY

Obozom organizowanym przez Julię
Żugaj zazwyczaj towarzyszą internetowe
kontrowersje. Po jednym z wyjazdów
platformę TikTok wprost zalały nagrania
płaczących, kilkuletnich dziewczynek
zrozpaczonych tym, że idolka faworyzuje
niektóre uczestniczki. Części dzieci in-
fluencerka miała poświęcać więcej czasu
niż pozostałym, co budziło chorobliwą
zazdrość i prowadziło do dziecięcych
dramatów. Dziewczynki nagrywały swoje
żale i publikowały w sieci. Wszystko bez
wiedzy i kontroli rodziców, bo przecież
o to w świecie influencerów chodzi –
karierę robi się od małego.

Aby zapobiec dalszemu nakręcaniu
negatywnych emocji, Żugaj wprowadziła
konkretne zasady. Jej udział w obozie jest
ściśle reglamentowany, a dla każdego ma

tyle samo czasu, co do sekundy. Nagra-
nia wspólnych tiktokowych filmików
ograniczono do 15 sekund. – Uważamy,
że 15 sekund na nagranie tiktoka to
wystarczający czas. Przy ponad 200 oso-
bach tworzenie minutowych nagrań
nie miałyby końca. Chodzi o to, żeby
dziewczynki nie czuły się pokrzywdzo-
ne. Gdyby jedna miała minutowy filmik,
a druga kilkusekundowy, pojawiłyby się
łzy i poczucie niesprawiedliwości – prze-
kazali organizatorzy portalowi Plejada.
Dodatkowo uczestnikom przekazano
listę dozwolonych układów, które będzie
można wykonać razem z influencerką.
Wśród „żugajek” spore oburzenie wzbudziła
inna z zasad – jeśli zdjęcie z idolką
lub towarzyszącym jej Kamilem Owczar-
kiem nie wyjdzie, to można je powtórzyć,
pod warunkiem że w obecności influ-
encerów zostanie usunięte z telefonu to
wcześniejsze.

Tak czy inaczej, obozy Julii Żugaj są
obiektem pożądania tysięcy nieletnich
fanek. „Marzenie pojechać na taki cudny
obóz. Widać, że strasznie się starasz,
żeby żugajki były szczęśliwe, to jest takie
kochane”, „Ale bym chciała na takim
obozie być, może za rok pojadę”, „Mega
urocze, że tak się starasz, pojadę na przy-
szłe wakacje” – to niektóre z komentarzy
pod filmem influencerki, zapowiadają-
cym kolejne obozy.

Żugaj nie jest rzecz jasna pierwszym
twórcą internetowym, który organizuje
wyjazdy dla swoich fanów. Zimą 2022 r.
Team X zorganizował zimowisko, które
wywołało falę kontrowersji. Po pierw-
sze, w ewidentnie zły sposób dobrano
grupę wiekową uczestników, zapraszając
osoby w wieku 9–20 lat. De facto do
udziału w jednej imprezie zaproszono
osoby dorosłe i kilkulatków, co nie mogło
skończyć się dobrze. W efekcie ci starsi
nudzili się na zajęciach skierowanych ra-
czej do młodszych. Co gorsza, nagrywali
prześmiewcze filmiki z dziećmi ekscytu-
jącymi się obecnością idoli, nakręcając
tym samym wobec dzieci internetowy
hejt. Ponadto zarzucano, że wychowawcy
byli niemili dla uczestników, a uczestnicy
niewychowani i rozwydrzeni.

Szerokim echem w internetowym
świecie odbił się incydent, w ramach
którego jedna z influencerek, Monika
Kociołek, zaprosiła do swojego pokoju
dziewczynkę, która miała płakać z powo-

du tęsknoty za rodzicami. Po pierwsze,
to nieodpowiednie, aby dorosła osoba,
nawet kobieta, zamykała się w pokoju
z dzieckiem (gwoździ ścisłości, do niczego
niewłaściwego nie doszło). Po drugie,
inne dzieci uznały to za faworyzowanie
i okazywały zazdrość i smutek. Wszystko
zakończyło się jedną wielką awanturą,
z której wniosek brzmiał: influencerzy
są szkodliwi i trzeba chronić przed nimi
najmłodszych.

SZKÓŁKA INFLUENCERÓW

Przed większością pewnie tak, choć
i wśród bogatej oferty wakacyjnej można
znaleźć takie wyjazdy influencerskie,
które przynajmniej na pierwszy rzut
oka nie wydają się być złym pomysłem
(choć nadal kosztownym). Za nieco
ponad 3 tys. zł dzieci w wieku 8–15 lat
mogą wyjechać na 10-dniowy obóz pod
hasłem „Kolorowe wakacje”. Youtuberka
SAMI, specjalizująca się w rysowaniu,
proponuje wyjazd poświęcony sztuce.
„Jeśli pasjonuje Cię wszystko związane
ze sztuką, uwielbiasz DIY, chcesz poznać
różne techniki artystyczne, to Wakacje
z youtuberką SAMI czekają na Ciebie. Na
tej kolonii rozwiniesz się artystycznie, ale
też dowiesz się, jak zostać youtuberem
i zabłyśnąć w social mediach” – zachęcają
organizatorzy.

Z kolei 27-letnia pisarka i influencer-
ka Maria Krasowska zaprasza na „obóz
książkowy”. W programie spotkanie
autorskie, kulisy wydawania książek,
warsztaty pisarskie, tworzenie własnych
zakładek oraz warsztaty z projektowa-
nia okładek. Za osiem dni rodzice muszą
zapłacić 3150 zł.

Nieco mniej, bo 2,5 tys. zł, trzeba
zapłacić za „WAKSY Camp”, czyli obóz
dla fanów youtuberów z kanału Wak-
sy. W tym przypadku nie ma co liczyć
na bardziej ambitne zajęcia, ponieważ
wyjazd jest wprost reklamowany jako
szkółka dla przyszłych influencerów.
„Ten obóz będzie wyjątkowy. Cze-
ka nas 6 dni wspólnej zabawy połączonej
z wartościowymi warsztatami aktorsko-
wokalnymi i filmowymi. Wybierz się
z nami w emocjonującą podróż po kra-
inie YouTube’a, w której poznasz liczne
sekrety pracy influencera!” – namawia
organizator. Namawia skutecznie, ponie-
waż wszystkie miejsca już wyprzedano.

Jeszcze nie tak dawno rozpoznawalnym podróżnikiem można było zostać, trafiając do telewizji. Zwłaszcza gdy docierało się w takie miejsca, które wciąż budziły ciekawość, bo turystyka w Polsce nie była tak masowa i dostępna.

Przez dekady o innych miejscach, krajach, ludziach opowiadali ze szklanego ekranu Tony Halik i Elżbieta Dzikowska. Do tego dokładali swoje opisy podróży w książkach. Niedługo potem rozbrzysły takie gwiazdy telewizji, jak piszący dziś felietony w naszym tygodniku Wojciech Cejrowski. Do tej pory telewizje transmitują odcinki jego programów, w których idąc – zwykle boso – przez świat, nie tylko pokazuje życie w innych zakątkach globu, lecz także tłumaczy je z własnego punktu widzenia.

Telewizja jest już jednak miejscem powoli gasnącym. Nowe pokolenia nie muszą czekać na emisję programu bez wiedzy o tym, z którego miejsca na świecie będzie to relacja. Wszystko stało się szybsze i prostsze. Wystarczy włączyć YouTube i wybrać kraj, który nas interesuje – do dyspozycji natychmiast są dziesiątki filmów opowiadających o państwach, miastach, atrakcjach turystycznych.

JEDZ I ZWIEDZAJ

Swoistym łącznikiem między starym a nowym – telewizją i Internetem – jest Robert Makłowicz. Jego podróże są ściśle kulinarne. Ponieważ jest erudyta, podczas gotowania zawsze opowiada wiele ciekawostek dotyczących rozmaitych miejsc, budowl czy kultury. W jego materiałach najlepiej poznaje się świat przez talerz.

Makłowicz ma własny kanał na YouTube, który błyskawicznie stał się jednym z najchętniej oglądanych. Dziś ma już blisko 600 tys. subskrybentów. Fragmenty jego programów trafiają do drugiego obiegu współczesnej popkultury. Tak jest z rozpowszechnianym nagraniem, w którym nieporadnie steruje małym pontonem i wpada do wody, czy fragmentem nagrania z psem, któremu smakował koperek.

Kuchenny vlogger najczęściej prowadzi swoich widzów po Europie. Szczególnie na Bałkany. Do tego stopnia pokochał Chorwację, że ma dziś tam własny dom. Nierzadko wybiera się też z widzami dużo dalej – do Azji czy na Mauritius.

Tam, gdzie nie dotarł Makłowicz, są inni. Jeśli ktoś wybiera się do Mediolnu, Wiednia

W podróże kulinarne na YouTube z Robertem Makłowiczem podąża aż pół miliona widzów
FOT. ROBERT MAKŁOWICZ/YOUTUBE



Przewodnicy z YouTube



Łukasz Zboralski

Kiedyś podróżnicy pokazywali nam świat, pisząc książki. Potem nadeszła era telewizji. Dziś ludzie zaglądają w najdalsze zakątki świata z kamerki w dłoniach vlogerów. Wiele z nich to Polacy

czy Lizbony, serwis wideo w sieci natychmiast prezentuje całą gamę podróżników amatorów, którzy nagrywają i tłumaczą, co najlepszego można zjeść w każdym mieście na świecie. W ten sposób łatwo też znaleźć wszystkie niezbędne informacje przed wyruszeniem w podróż. Vlogerzy poradzą, jaki bilet miejski jest najbardziej opłacalny w Rzymie, jak najtaniej – miejscowymi autobusami – dojechać z lotniska do centrum Barcelony czy w jakie dzielnice lepiej się nie zapuszczać, by nie paść ofiarą kieszonkowców i bandytów.

PRACA NA PEŁEN ETAT

Oprócz vlogerów przedstawiających typowe porady dla podróżników związane ze znanymi miejscowościami turystycz-

nymi wielką popularność zdobywają też ci, którzy zaglądają w takie zakamarki, w które nie wszyscy będą mieli odwagę się wybrać.

Wśród zagranicznych vlogerów ciekawą postacią jest motocyklistka z Niderlandów, która prowadzi na YouTube kanał „Itchy Boots” (po polsku można przełożyć to na „niespokojne buty” jako określenie człowieka, który nie potrafi usiedzieć w miejscu). Jej wyprawy motocyklowe obsługują ponad 2 mln ludzi. Nora pokazuje w sieci już siódmy sezon swoich odcinków. W pierwszym, pięć lat temu, pojechała z Europy do Indii, potem były wyprawy m.in. z Patagonii do Peru, z Ekwadoru na Alaskę, a ostatni – publikowany w ubiegłym roku – był powrotem do Afryki.

Motocyklowa wyprawa pozwala śledzić nawet takie miejsca w Afryce, do których trudno dostać się samochodem. To podróże pełne emocji nie tylko ze względu na krajobrazy, Nora pokazuje Afrykę taką, jaka jest – niebezpieczną, z wojskowymi wymuszającymi łapówki, z fatalnym standardem życia, a często też z bardzo biednymi ludźmi, którzy potrafią dzielić się z przybywającą tam białą wszystkim, co mają.

Ostatni sezon w Afryce został przerwany w maju w Tanzanii. Nora wywróciła się na drodze i połamano kości. Leżała prawie godzinę, zanim na gruntowej drodze pojawili się samochód i ludzie, którzy pomogli jej dostać się do szpitala. Tam przeszła operację; przy okazji: jest dokument na filmie, że jedzenie szpitalne w Afryce jest bardzo podobne do tego, które pokazują czasem pacjenci z Polski.

Od motocykla zaczynała też polski youtuber, który prowadzi od 2014 r. kanał Vlog Casha. Pierwszą swoją wyprawę dokumentował, gdy kupił jednoślada i nagrywał materiały podczas przejażdżek. Rok później rzucił pracę i pojechał do Nevady, skąd nagrał już rasowego vloga podróżnika. Dziś jego kanał obserwuje podobna liczba osób co Roberta Makłowicza – bo już blisko 500 tys.

Co do tej pory pokazał? USA, Australię, Tajlandię, Laos, Wietnam, Kolumbię, Turcję, Meksyk, Kubę, Indie i Kambodżę. Nie ukrywa, że nagrywanie przygód podróżnika to już jego zajęcie na pełen etat. Z samego serwisu Patronite, gdzie ludzie wpłacają dla niego wsparcie, otrzymuje dziś ponad 22 tys. zł miesięcznie. A do tego ma wpływ z wyświetleń reklam w filmach.

Dwa miesiące temu w odcinku z Papui-Nowej Gwinei pokazał, jak uśmiechnięci i wyglądający na przyjaznych miejscowi w okamgnieniu potrafią zamienić się w niebezpieczną masę grabiącą sklepy. Wraz z przewodnikiem musiał

ewakuować się ze sklepu i zaniechać wyprawy do jednej z wiosek. – W Papui-Nowej Gwinei musisz spodziewać się niespodziewanego – doradził mu miejscowy biskup. – Więc doradzam nigdzie nie jechać przez kilka najbliższych dni, aż się nie uspokoi – dodał. I zaznaczył, że protesty rozlewają się na cały kraj i nie ma gwarancji, że z podróży wróci się żywym.

W FAWELACH I OBOK GANGÓW

Podobną popularność jak Vlog Casha zdobył Bartek Czukiewski, który wraz z partnerką z Wenezueli pokazuje np. dzielnicę prostytucji w Bogocie czy Izium na Ukrainie po sześciu miesiącach rosyjskiej okupacji. Zabrał też widzów np. do Makoko, czyli – jak sam to określił – największych slumsów Nigerii. Tam spotykają touts, czyli członków lokalnych gangów. Zatrzymują ich auto, oskarżają o nękanie, czyli nagrywanie bez zgody. Zaraz jednak chętnie zgadzają się na wywiad, za który oczywiście youtuber musi im zapłacić.

Bartek do tej pory nagrał historie z Kuby, Nikaragui, Salwadoru, Haiti, Filipin, Kambodży, Wietnamu, Laosu, Dominikany, Chile, Peru, Kolumbii, Serbii, Albanii, Ugandy, Rwandy, Libanu czy z nieuznanego państwa – Naddniestrza. Na Patronice miesięcznie zarabia ponad 19 tys. zł od widzów.

Na filmowe podróże w pewnym momencie kariery MMA przerzucił się Piotr Pająk (teraz walczy już w walkach dziwaków freak fight), gdy w 2018 r. wyjechał do Tajlandii. Tam trenował sztuki walk, m.in. muay thai, czyli tajski boks, a przy okazji zaczął nagrywać i publikować ciekawostki z Azji. Szybko przyciągnął rzeszę widzów. Po półtora roku miał już 100 tys. obserwujących, dziś ich liczba zbliżyła się do pół miliona. Twierdzi, że zwiedził już ponad 100 krajów. Na jego kanale jest 1,5 tys. nagrań. Na jednych

podpowiada ze swoją dziewczyną, jak spędzić weekend w Tajlandii, na innych porównuje najtańszy hostel w Brunei i najlepszy hotel, w którym akurat zatrzymuje się prezydent Singapuru.

SPECJALIŚCI

Oprócz youtuberów jeżdżących po całym świecie są też ci, którzy specjalizują się w konkretnych regionach lub krajach. To tacy jak Emil Truszkowski, który prowadzi vloga o Korei Północnej. Swoje filmy publikuje już od ośmiu lat. Jego kanał śledzi ponad 100 tys. widzów. – Miałem taką pasję, chciałem się podzielić z widzami moim wyjazdem do Korei Północnej w 2011 r., w trakcie mojego wyjazdu do Chin na stypendium, i była to wycieczka, która zmieniła moje życie – opowiada na kanale „Pozdro z KRLD”. Na drugi wyjazd do Korei Północnej pojechał z żoną na sylwestra w 2015 r. Od tego czasu wyjeżdża tam częściej i zabiera ze sobą nawet widzów. – Przez dziewięć wyjazdów do Korei Północnej widziałem wszystko, co może zobaczyć turysta, reszta jest praktycznie niedostępna dla turystów – przyznawał ostatnio i zapowiadał wycieczki w kolejne rejony świata.

Filipinom poświęcił swój vlog Maciej, który w 2018 r. tam właśnie wyemigrował i mieszka ze swoją filipińską żoną. Na kanale „Bez spiny”, który obserwuje ok. 50 tys. widzów, pokazuje m.in., jakie wydatki na utrzymanie ponosi w tym kraju rodzina 2+2. Wynajem domu miesięcznie? 722 zł. Energia elektryczna – 212 zł. Woda – 24 zł. Za wywóz śmieci – nic, jest za darmo. Gaz propan-butan w butlach to 40 zł miesięcznie. Internet – 104 zł. Jedzenie – 1712 zł miesięcznie. Choć wydaje się to finansowym rajem, to Maciej pokazuje też trudy życia w tym kraju, których nie widać zza komputera. Bez wielkiego wysiłku – czyli bez spiny, jak sam mówi – z portalu Patronite odbiera od widzów blisko 20 tys. zł miesięcznie. © © Wszelkie prawa zastrzeżone



Emil Truszkowski z „Pozdro z KRLD” oprowadza po Korei Północnej FOT. AIKO I EMIL/YOUTUBE



Nora jako „Itchy Boots” przemierza świat motocyklem FOT. ITCHY BOOTS/YOUTUBE



Maciej zamieszkał na Filipinach i wraz z żoną opowiada o tym kraju FOT. BEZ SPINY/YOUTUBE



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

W zawieszeniu

Czy tylko biedni mają prawo marzyć? Agentka amerykańskiej straży granicznej Vásquez mówi w pewnym momencie bohaterowi hiszpańskiego filmu „Do granic” („La Llegada”), że więcej szacunku niż do niego ma do biedaków próbujących przeprzeć się przez granicę w Meksyku. On zaś jest dla niej nie tylko oszustem, lecz także snobem, nie wiadomo dlaczego przekonanym o swojej wyższości.

Debiutancki film duetu Alejandro Rojas i Juan Sebastián Vásquez (trafił właśnie do polskich kin) przypomina starą prawdę, że nie ma ludzi niewinnych, są tylko nieudolnie przesłuchiwanie. Lecz kiedy docisniesz śrubę, każdy pęka. Każdy ma bowiem coś do ukrycia. Agenci Vásquez i Barrett cisną mocno, co nie dziwi – strzegą wszak najcenniejszej ziemi pod słońcem, na której mogłoby postawić stopę migrant: Stanów Zjednoczonych Ameryki. Niełatwo wejść do raju, w którym – jak surowo napominają przybyszów agenci – kłamstwo jest poważnym przestępstwem. Ale kto nie chciałby trochę wygładzić swojej historii, żeby zwiększyć szansę na sukces? Tyle tylko, że to kwadratura koła – im bardziej



Piotr Gociek

Ile wiemy o sobie? Ile wie o nas państwo? Hiszpański „Do granic” to jeden z najlepszych filmów, które można w tym roku zobaczyć w polskich kinach

będziemy się wybielać, tym większa szansa, że przyłapią nas na... hm, w najlepszym razie – nieścisłościach.

A zaczyna się niemal bajkowo. Droga do raju otwarta: Diego i Elena przylatują z Madrytu do Nowego Jorku, gdzie mają przesiąść się na lot do Miami, w którym czeka rodzina. Elena jest szczęśliwą posiadaczką zielonej karty, którą wygrała na loterii wizowej. Diego podróżuje jako jej partner (nie są małżeństwem, lecz podpisali umowę czyniącą z nich związek partnerski – nie tylko geje mogą to zrobić). Tyle tylko, że przybysze do końca filmu nowojorskiego lotniska nie opuszczają, bo podczas sprawdzania paszportów zostają skierowani do dalszej kontroli. Ta zaś ma miejsce w czeluściach, do których słońce nie dochodzi, gdzie telefony ko-

mórkowe są zakazane, a słowo urzędnika i federalnego agenta jest prawem. Prawem ostatecznym.

KŁOPOTY NA GRANICY

W pierwszych sekundach filmu, gdy Diego i Elena wsiadają do taksówki wiozącej ich na lotnisko, słyszymy fragment radiowej audycji, w której prezenter kpi sobie z prezydenta Trumpa obiecującego budowę muru na granicy z Meksykiem. To oczywiście zapowiedź głównego tematu filmu – kłopotów na granicy – ale na szczęście scenariusz nie ześlizguje się w stronę poprawnej politycznie połajanki pod adresem złych Amerykanów dybiących na dobrych migrantów. Ostatecznie każdy skądś tam przyjechał – agentka Vásquez opowie w pewnym momencie

o tym, że jej rodzice też są imigrantami. Czy stróże prawa na lotnisku Newark to para mini-Trumpów? Nie, reżyserzy i autorzy scenariusza zarazem dobrze natomiast oddają różnicę w mentalności, która umyka wielu mieszkańcom Europy: Amerykanie naprawdę nie mają taryfy ulgowej dla krzywoprzysięstwa; wspomnijmy choćby kłopoty prezydenta Billa Clintona – sednem zarzutów nie było to, że utrzymywał intymne relacje z Monicą Lewinsky, ale to, że kłamał na ten temat. Problemy Romana Polańskiego wzięły się nie stąd, że zrobił to, co zrobił z małoletnią, ale stąd, że złamał dane prokuraturze słowo i uciekł z kraju. A to ściągłoby kłopoty na głowę każdemu, nawet gdyby chodziło tylko o kradzież paczki chipsów.

„Do granic” jest zatem opowieścią o prawdzie. Czy można wierzyć w to, co przybysze mówią federalnym agentom? Czy Diego i Elena mogą wierzyć sobie nawzajem? W trakcie przesłuchania okazuje się bowiem, że ich związek oparty jest na, delikatnie ujmując, niedopowiedzeniach. Dlaczego Diego ukrywa fakty ze swojej przeszłości? Nie uważa ich za istotne? Nie chce urazić partnerki? Z lenistwa? A może kieruje nim jakiś ukryty motyw? Może Elena jest nie jego ukochaną, lecz tylko środkiem do osiągnięcia celu – zamieszkania w USA? A jeśli tak, jeśli kłamię w tej sprawie dla swojej korzyści, to czy można mu wierzyć w innych kwestiach? Czerwonych flag jest wiele: urodził się w Wenezeli, sporo podróżował po Europie, nie ma pieniędzy, nie udało mu się ukończyć procedury zdobycia hiszpańskiego obywatelstwa. Idealny materiał do zwerbowania dla przestępców – zwykły człowieczek w potrzebie, który zrobi wszystko, żeby polepszyć swą sytuację. Więzienia świata są takich pełne. Ten był narkotykowym mułem, tamten współpracował z terrorystami, nie wiedząc, jak wielkie konsekwencje może mieć drobna (za to dobrze płatna) przysługa: przewiezienie jakiegoś drobiazgu, przekazanie jakiejś informacji.

Trudne pytania kierują twórcy filmu także w kierunku agentów. Do czego się można posunąć, aby dojść do prawdy? Przesłuchanie z początku jest szorstkie, ale przecież nic w tym dziwnego, to nie klub czytelniczy. Potem jednak przesuwane są kolejne granice. Gdzie leży ta między starannością a sadyzmem? Scenariusz napisano z maestrią, to

świetna psychodrama na cztery głosy. Nie wiemy dokładnie, od której chwili Vázquez i Barrett przesadzają, ale gdy każą tańczyć splakanej Elenie, wiemy już, że granica została przekroczona. Jednocześnie – paradoks! – im większy nacisk ze strony przesłuchujących i im więcej wyznają na swój temat przesłuchiwni, tym mniej Elenę i Diego lubimy. A przecież gdy zaczynała się ta historia, raczej zdawały się oczywiste: niewinni podróżni nękani przez nadgorliwych funkcjonariuszy.

Kolejny niepokojący trop: Jak to się stało, że żyjemy w świecie, w którym państwo wie o nas więcej niż my sami? Niby wiemy, że przy każdym zetknięciu z lewiatanem wypełniamy jakieś świstki, podpisujemy zobowiązania do czegoś tam, rutynowo kwitujemy odbiór, wypełniamy ankietę i nigdy nie pamiętamy, czyśmy się nie pomylili, wpisując dokładną datę podróży sprzed 10 czy 20 lat. To, co jest dla nas tylko uciążliwym rytuałem, gdzieś w przepastnych archiwach lewiatana zamienia się w obszerne akta sprawy przeciwko nam. Nikt nie jest maszyną, nie ma szans na to, żeby wypełniane przez całe życie formularze nie zawierały jakichś pomyłek czy niedokładności – ale każdy taki przypadek w oczach państwa może w dowolnym momencie zamienić się w groźną próbę oszukania systemu. W którym momencie i dlaczego? A to już państwo samo zdecyduje.

NIEPOKOJĄCE DOŚWIADCZENIE

Dla widzów z krajów, które doświadczyły komunizmu, seans „Do granic” stanowi szczególnie niepokojące doświadczenie. Pamiętamy. Papier ważniejszy był od człowieka, na wszystko trzeba było mieć zaświadczenie, ale jednocześnie w dowolnej chwili zawartość każdego, najbardziej nawet niewinnego dokumentu mogła w rękach aparatu państwowego stać się dowodem winy. Dowolność posunięta była dalej: także legalne papiery mogły zostać zakwestionowane. Mechanizm funkcjonuje do dziś w Putinowskiej Rosji, wystarczy wspomnieć opowieści rosyjskich opozycjonistów o tym, jak mili-

cja czy specłużby zatrzymują paszporty czy inne dokumenty z powodu „podejrzenia o fałszerstwo”. Podstaw żadnych nie ma, samo podejrzenie wystarczy. To państwo decyduje, który (i kiedy) papier jest prawdziwy.

Ponadto współczesnemu Polakowi „Do granic” przypomina, że staliśmy się jednym z narodów uprzywilejowanych. Agenci inaczej patrzą na Elenę, bo jest obywatelką Unii Europejskiej. Legitymujący się wenezuelskim paszportem Diego jest podejrzany, bo nie należy do strefy dobrobytu. Tak jak kiedyś Polacy – pamiętam dobrze, jak rzadkim dobrem była dla nas amerykańska wiza, jakie lęki towarzyszyły każdemu lądowaniu w USA. Pierwszy raz podróżowałem do Stanów w 1999 r. na staż dziennikarski w Waszyngtonie. Spoglądano wtedy na nas równie podejrzliwie, jak dziś agenci patrzą na nieszczęsnego Diego: dzikusy w odległym kraju przybywają niby na legalu, ale na pewno coś kombinują.

Ostatecznie zaś „Do granic” staje się także opowieścią o współczesnych związkach: nieważnych, okazjonalnych. Co tak naprawdę łączy Elenę i Diego? Są ze sobą za sprawą miłości czy dlatego, że tak jakoś wyszło? „Skoro ją kochasz, to czemu jej nie poślubiłeś?” – pytają agenci. Odpowiedzi brak. „Czy chcecie mieć dzieci?”. Odpowiedzi brak. Bylejakość zdaje się znakiem firmowym podróżującej pary. Diego kiedyś występował o wizę dla wybitnie uzdolnionych, lecz rząd USA go za takiego nie uznał. Życie przyznało rację rządowi – Diego po studiach żadnej roboty nie znalazł; zarabia, bo rodzice Eleny zatrudnili go na pół etatu w firmie rodzinnej. Elena z dumą twierdzi, że jest zawodową tancerką, ale tak naprawdę jest nauczycielką. Czy aby ten związek nie jest takim samym złudzeniem jak ich przekonanie o własnej wyjątkowości?

Tak czy inaczej, tyle o sobie wiemy, ile nas testowano. W przypadku Eleny i Diego może to być próba o charakterze niszczącym. Pytanie o to, czy wjadą do Ameryki czy nie, staje się drugoplanowe. Najważniejsze jest: Kim jestem i z kim chcę być?

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



REŻ. A. ROJAS,
J.S. VÁSQUEZ
„DO GRANIC”
 („LA LLEGADA”)
HISPANIA 2022

TOMASZ ZBIGNIEWA ZAPERT: Skąd wzięła się tradycja spotkań ludzi kultury przy kawiarnianych stolikach?

JAROSŁAW MOLENDĄ: Siega ona 200–300 lat wstecz. Pierwsze kawiarnie w Europie powstały już w XVII w. i szybko zyskiwały na popularności. Ich właściciele prześcigali się w pomysłach, jak przyciągnąć klientów. Jedni np. zapewniali dostęp do prasy, nawet dzisiaj w niektórych wiedeńskich kawiarniach można spotkać „wieszaki” z gazetami. W innych literaci mieli do dyspozycji materiały piśmienne – na wypadek, gdyby naszło ich natchnienie i musieli zanotować ulotną myśl lub wiersz. W kawiarniach można było też odebrać przesyłkę pocztową, nie wspominając, że miejsca te spełniały rolę dzisiejszego, nie wiem, Facebooka. Można było się spotkać, poplotkować. To jest temat tak rozległy, że starczyło mi materiału na dwie książki, a myślę o trzeciej. Tymczasem odsyłam do „Z espresso przez Europę” i „W 80 filiżanek dookoła świata”.

Żaden z tego typu adresów artystyczno-towarzyskich, międzywojennej Warszawy, dajmy na to Ziemiańska, Zodiak czy Instytut Propagandy Sztuki, nie miał szans na odtworzenie po roku 1945?

Wydaje mi się, że popularność niektórych kawiarni wynikała ze szczęśliwego zbiegu kilku czynników – czasu, miejsca i ludzi. Nie każdy prowadzący kawiarnię chętnie gościł brać literacką, malarską czy muzyczną. Jednak, jeżeli „czuł ducha” kultury, istniała duża szansa, że zagospodaruje u niego artyści. Dlatego, gdy „element ludzki” się wykruszał, samo miejsce nie mogło się obronić. Czasami udawało się przedłużyć żywot czy raczej reanimować jakąś kawiarnię, np. Jamę Michalikową w Krakowie, ale realia socjalistyczne to jednak inna bajka niż II Rzeczpospolita. Po 1945 r. władza chciała kontrolować społeczeństwo, niezbyt łaskawym okiem spoglądała na kawiarnie – wylęgarnie wywrotowców – by przywołać słynną wypowiedź Władysława Gomułki, który w swoim antyinteligentckim zacierzeniu krzychał: „Chłop polski sieje, orze, robotnik pracuje w hucie, a inteligenci schodzą do piwnicy, piją kawę i szydzą!”. Ale idea kawiarnianych spotkań przetrwała, wszak wielu ludzi kultury swoje triumfy święciło w międzywojniu. Kiedy weźmie się pod uwagę trudności mieszkaniowe, kawiarnie były naturalnym



Z Jarosławem Molendą, pisarzem, dziennikarzem, podróżnikiem rozmawia Tomasz Zbigniew Zapert

Kawiarniani inteligenci

Antoni Słonimski (pierwszy z lewej) i Jarosław Iwaszkiewicz (z prawej) w kawiarni Czytelnika, 5 sierpnia 1959 r.

FOT. ANDRZEJ SZYPOWSKI/EAST NEWS



miejszem do spotkań, ale już w „innych okolicznościach przyrody”.

Klubokawiarnię Czytelnika utworzono z inicjatywy córki prezesa ZLP?

Nie tylko, to Maria Iwaszkiewicz zgodziła się poprowadzić ten lokal – przynajmniej tak twierdziła: „Wszystko się zaczęło w moim mieszkaniu w alei Szucha. Mieliśmy zebranie redaktorów działu krajowego. Rok był '56, nastrój taki, że musi się

coś dziać, i nie wiem, kto rzucił pomysł, ale padło, żeby pracowniczą stołówkę przeobrazić na klub i kawiarnię, miejsce spotkań i wydarzeń. Zgłosiłam się na ochotnika, że stanę za bufetem”. I stała tak przez osiem lat. Kawiarnia wzorowana była w zamyśle (bo nie w wystroju przecież) na Caffè Greco w Rzymie czy Café de Flore w Paryżu, gdzie spotykała się grupa ludzi zaprzyjaźnionych ze sobą, twórczych w różnych dziedzinach sztuki, a do ich stolików nie każdy mógł



JAROSŁAW MOŁENDA
„PRZY STOLIKU W CZYTELNIKU”
PRUSZYŃSKI I S-KA

się przysiąc. Powstało miejsce wyjątkowe, kultywujące tradycję kawiarni literackiej. Jeden z pisarzy przytaczał bon mot Jerzego Stanisława Leca: „Zgadzam się, jestem kawiarnianym inteligentem. Ustalmy jednak, z której kawiarni?”.

Na pomysł stałych spotkań twórców w lokalu przy ul. Wiejskiej 12A wpadł Tadeusz Konwicki?

To był raczej – jakby to określiła młodzież – „spontan”, a nie świadoma decyzja. Na pewno to autor „Rojstów” pierwszy zaczął przesiadywać przy stoliku w Czytelniku i w jakiś taki naturalny sposób go zaanektował. Jego współgospodarzem stał się Leopold Tyrmand. Jak i dlaczego tych dwóch różnych ludzi się zgadzało, wyjaśniam w książce. Trzeba tu jeszcze przywołać jedną postać, taką trochę z cienia, ale bez której nie byłoby stolika w takim kształcie. Mowa o Irenie Szymańskiej, wpływowej redaktorce wydawnictwa Czytelnik.

Byli też inni rezydenci: Stanisław Dygat, Gustaw Holoubek, Andrzej Łapicki, Józef Hen, Janusz Głowacki, Jerzy Gruza...

Och, z listy bywalców można stworzyć swoiste who is who polskiej kultury. Bo gdyby pozbierać nazwiska wszystkich, którzy tam przesiadywali, powstałby indeks luminarzy naszej kultury.

Własne miejsce w Czytelniku miał przed dekadą Henryk Berezka, opiniotwórca krytyki literackiej...

Właściwie działało kilka stolików towarzyskich – może dlatego, że do tego najślawniejszego nie dopuszczano każdego. Poza tym pamiętajmy, tam się schodziły wielkie indywidualności – nie każdemu pasowało dowcipkowanie Holoubka i Konwickiego... Pan Henryk prowadził stolik „poważniejszy”, najważniejsza była literatura, co nie znaczy, że panowała przy nim grobowa atmosfera. Mnie zaimponowało jego credo, które mogłoby wziąć sobie do serca szersze grono obecnych recenzentów. Otóż pan Henryk miał zasadę – jeśli jakaś książka mu się nie podobała, to po prostu o niej nie pisał czy nie mówił. Uznawał, że szkoda czasu na słabą literaturę, lepiej opowiadać o dobrych książkach, zamiast wyładowy-

wać swoje frustracje czy leczyć kompleksy...

Mówiliśmy już o ludziach. A co figurowało w czytelnikowskim jadłospisie?

To była taka domowa kuchnia. Tadeusz Konwicki cały czas chodził na swoje klopsiki z sosem koperkowym. Lubił je także Tadeusz Ross, który zapewniał, że woli to miejsce od sejmowej stołówki. Zamawiał też barszcz czerwony, ewentualnie flaki. W menu widniały również pierożki, fasolki, bigosy, a także risotta jarskie, kotlety

z jajek, placki ziemniaczane, pyzy czy naleśniki z różnym farszem. A na deser serwowano keks, sernik albo galaretkę ze śmietaną i z czekoladą. Choć w dawnych czasach w karcie mięso było rzadko, to – zdaniem odpowiedzialnej za kuchnię Janiny Dróżdż – klienci nie narzekali. „Nawet w najtrudniejszych latach sobie radziłam. Potrafiłam karmić gości z artykułów, które nie były na kartki. Robiłam bardzo dużo potraw bezmięsnych i wegetariańskich”.

W Warszawie doby PRL opisany w książce mebel miał konkurencję...

Kawiarnie literackie zdawały się mieć jeden warunek istnienia – były miejscem trochę zakazanym, na przekór systemowi. Nie na wyrost kawiarnianą grupę PIW z czasem zaczęto określać mianem „frontu odnowy”, ponieważ upodobał ją sobie pisarze ze środowiska określonego z czasem mianem rewizjonistów oraz odstawieni na boczny tor politycy i redaktorki. Antoni Słonimski był gospodarzem stolika przy oknie, zwanego „stolikiem starców”. Siadali tu Adam Ważyk czy Stanisław Cat-Mackiewicz, a także młodszy pokolenie Jan Kott oraz Jan Józef Lipski. Ponieważ część bywalców kawiarni była pochodzenia żydowskiego, skrót PIW rozszyfrowywano złośliwie jako Przytułek Izraelitów Warszawskich. Sławę kawiarni przyniósł recytowany w gronie znajomych w prywatnych mieszkaniach poemat satyryczny „Cisi i gęgacze, czyli bal u prezydenta” Janusza Szpotańskiego, w którym lokal został przemianowany na Cafe-Snob. Podobno Jean Paul Sartre, gorliwy zwolennik komunizmu w wydaniu sowieckim, po wylądowaniu w Warszawie natychmiast udawał się do kawiarni, święcie

przekonany, że to miejsce adoratorów bieżącego systemu. Jednak bez względu na światopogląd był gościem wywołującym sensację i dostarczającym licznych powodów do śmiechu. Dygat wspominał, że Sartre po wypiciu kilku kufli piwa entuzjastycznie i hałaśliwie reagował na hasło „komunizm”, nie zauważając epitetu „gówniany”. No cóż, bariera językowa.

Stolikowe rozmowy interesowały Służbę Bezpieczeństwa?

Oczywiście. Stoliki artystyczne nawet ułatwiała tajniakom pracę, bo trudno było o inne takie miejsce, gdzie mieliby pod ręką tyle znaczących postaci. „Czasem, w gorętszych momentach historycznych, zjawiali się jacyś panowie, którzy siadali przy stoliku obok i bardzo ryzykownie odchylali się do tyłu, żeby umieścić głowy mniej więcej na wysokości naszych głów. Myśmy mówili wtedy: »No, ucho«. I dalej robiliśmy to, co robiliśmy” – wspominał Łapicki.

Konwentykle twórcze w gastronomicznej suterenie wydawnictwa Czytelnik należą już do przeszłości?

Na pewno nie ma już tej atmosfery. Oczywiście lokal żyje, nadal zaglądają tam ludzie kultury i polityki, organizowane są spotkania autorskie, ale to nie to. W PRL to był drugi dom wielu artystów, w XXI w. inteligencki charakter tego miejsca zaczął się rozmywać. Zostały szczątki epoki. Tak jak wspominałem, dzisiaj funkcje „stolika” przejął Internet. Zagraniczne „sieciówki” zastępują polskie kawiarnie i restauracje. Nikt nie ma już „prywatnego stolika”, bo właścicielom zależy, aby klientów było jak najwięcej i aby jak najszybciej zjadali i wypijali to, co zamówili. A jak weźmie się na wynos, to może będzie taniej. Na wieść, że stolik w Czytelniku się rozpadł, Kott skonstruował: „W końcu niektóre państwa istniały krócej”.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



Jarosław Mołenda – absolwent filologii klasycznej na Uniwersytecie Poznańskim, pisarz, dziennikarz, podróżnik. Autor ponad 50 książek non-fiction, m.in. „Alfred Szklarski. Sprzedawca marzeń”, „Nienacki. Skandalista od Pana Samochadzika” i najnowszej: „Przy stoliku w Czytelniku”.



FOT. MATERIAŁ PRASOWE



PIOTR GOCIEK

OGLĄDANIE NA ŻĄDANIE



Wyższe racje



★★★★★
MINISERIA
„KTO GO ZABIŁ?”
(„¿QUIÉN LO MATÓ?”)
MEKSYK 2024

wyst. Roberto Duarte, Zuria Vega, Luis Gerardo Méndez

Gwiazdor meksykańskiej telewizji, Paco Stanley, zastrzelony został 7 czerwca 1999 r. przez sprawców, którzy do dziś pozostają nieznani. A prokuratura wykazała się skutecznością, zamykając niewinnych ludzi, wymuszając torturami zeznania i podrzucając mediom fałszywe tropy. Serial „Kto go zabił?” to meksykańska produkcja dla Amazona, której twórcy zastrzegają, że tworzą fabułę, ale opierając się na dokumentach śledztwa.

Powstał emocjonujący thriller spiskowy, w którym każdy z sześciu odcinków prezentuje punkt widzenia (i losy) innego bohatera: od niesłusznie oskarżonych współpracowników gwiazdora do prokuratora prowadzącego (czy raczej: skręcającego) śledztwo.

Pewnych tropów możemy się spodziewać: narkotykowe kartele, pranie pieniędzy. Ale na pierwszym planie pozostają – z korzyścią dla opowieści – toksyczne relacje między Paco i jego otoczeniem. Dla milionów widzów był symbolem lekkiej rozrywki; dla tych, którzy z nim pracowali – tyranem sięgającym po cudze żony i poniżającym tych, którzy na jego sławę harowali. Wielu miało powody, by go nie lubić. Ale kto miał powód, by go zabić?

Recz robi się ponura, bo sprawa jest polityczna. W roku 1999 gubernatorem miasta Meksyk był Cuauhtémoc Cárdenas, którego lewicowa partia PDR liczyła na zwycięstwo w wyborach prezydenckich w 2000 r. W owym czasie krajem

rzadziła nieprzerwanie od 1929 r. (nieraz fałszując wybory) Partia Rewolucyjno-Instytucjonalna, której spin doktorzy natychmiast wykorzystali zabójstwo Paco Stanleya do kampanii przeciw Cárdenasowi – nieskuteczny, toleruje przemoc na ulicach miasta itp. Podległa mu prokuratura musiała się więc szybko wykazać, by zamknąć krytykom usta. I tak w imię słusznej sprawy – odsunięcia od władzy skorumpowanego reżimu – podwładni Cárdenasa posunęli się do rzeczy haniebnych. Stracili podwójnie. Co prawda, PRI przegrała wybory, ale prezydentem został kandydat opozycyjnej prawicy Vicente Fox Quesada. A śledztwa w sprawie zabójstwa Paco nie dało się już dalej skreślać. „W tym kraju nie ma praw człowieka” – mówi jedna z bohaterów serialu. „Nie ma sprawiedliwości” – dodaje druga. Nie można im się dziwić. Zwłaszcza że prawdziwi mordercy mordy z jakiegoś powodu wciąż nie stanęli przed sądem. ©©



NOWE SERIALE: „UZNANY ZA NIEWINNEGO”

Zagrajmy to jeszcze raz. Trzydzieści cztery lata po premierze kinowej wersji powieści Scotta Turowa (reż. Alan J. Pakula) nową wersję dla Apple+ przygotował David E. Kelley („Ally McBeal”, „Boston Public”, ostatnio „Facet z zasadami”). W roli prawnika podejrzanego o morder-

stwo tym razem nie Harrison Ford, lecz Jake Gyllenhaal. Nowa wersja liczy osiem odcinków, a jednym z producentów jest J.J. Abrams. ©©

Piotr Gociek

• **miniserie „Uznany za niewinnego” („Presumed Innocent”), USA 2024**



NA MAŁYM EKRANIE TAKŻE:

- sezon 2 „**Ród smoka**” („**House of Dragon**”, USA 2024)
- reż. Xavier Gens „**Rekiny w Sekwanie**” („**Sous la Seine**”), Francja 2024
- reż. Jean-Stéphane Sauvaire „**Granica mroku**” („**Asphalt City**”), USA 2024

KINO

Nowe szaty château

Lato w pełni, tymczasem w multipleksach zaczynają już wyświetlać pierwsze produkcje okołobożonarodzeniowe. To nieuniknione, zważywszy na rentowność tego segmentu show-biznesu. Kto nakręci film, który na stałe zakotwiczy w grudniowej ofercie telewizji tudzież platform streamin-
gowych, ten nie ma powodu lękać się przyszłości. Wystarczy mu na lekarstwa i pielęgniarke, może nawet na prezenty dla wnuków. Należy jednak pamiętać, że kino świąteczne źle znosi eksperymenty. Choinka, jako symbol rekoncylacji, w finale pojawić się musi. Śnieg niekoniecznie. Dobrze jest umieścić sentymentalno-
-zabawną fabułę w scenerii szeroko pojętego Śródziemnomorza. Tu każdy

rozbitek znajdzie raj na ziemi. Oczywiście nie od razu. Rozkojarzeni tubylcy mogą wziąć przedsiębiorcę z Londynu za lokaja poszukującego pracy. Dzięki serialowi „Downton Abbey” wszyscy wiedzą, że brytyjski majordomus to chodząca doskonałość, więc nie popełnię faux pas, informując, że Mr. Black – zanim sam ze sobą dojdzie do ładu – wyprostuje życiowe ścieżki wszystkich napotkanych zabojadów.



★★★★★
REŻ. GILLES LEGARDINIER
„DO USŁUG SZANOWNEJ PANI” („COMPLÈTEMENT CRAMÉ!”)
FRANCJA 2023

wyst. John Malkovich, Fanny Ardant, Émile Dequen

Malkovich, choć autentyczny frankofil, pasuje tu średnio. Zbyt często wcielał się w obłąkanych łobuzów, byśmy uwierzyli w jego pocziwość. Legardinier zaś, jeżeli naprawdę chce zostać reżyserem, musi zrozumieć, że film to sztuka obrazu, a nie słowa.
©© **Wiesław Chełmiński**



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

GRA TYGODNIA: „SENUA'S SAGA: HELLBLADE II”

Jeśli nie podeszła wam część pierwsza – bo specyficzna, bo liniowa, bo to-porna etc. – to po „Hellblade II”... i tak warto sięgnąć. Choćby dla samych widoków. Gra wygląda fenomenalnie, ale ponawia większość schematów i błędów poprzedniczki. I tak jak ona

jest – ale to już nie zarzut – studium psychozy. Jest to gra krótka, co też odbieram jako atut, bo możliwe, że przy opowieści ciągnącej się dziesiątki czy ponad setkę godzin niedoskonałości gameplayowe sprawiłyby, że nie dotrwałbym do napisów końcowych.

FOT. MATERIAŁY PRASOWE



A tak bawiłem się dobrze, napawając się oprawą. ©© **Radosław Wojtas**
• **Gatunek:** akcji, psychologiczna
• **Platforma:** XSX, PC
• **Producent, dystrybutor:** Ninja Theory wydawca: Xbox Game Studios

K. DOMNIEMANY

arte

Garniak, sztywny kapeluszy i ponura mina. Sto lat po śmierci niemieckojęzyczny Żyd z Pragi nadal jest ikoną literatury, choć nad Wisłą rocznica minęła bez wielkich fanfar. Eksperci wypowiadający się w filmie są pewni, że Kafka to ojciec nowoczesnej prozy. Irytują ich jednak mity, którymi obrosły jego krótkie życie i twórczość. Autor „Zamku” nie przyjaźnił się z Einsteinem i nie przewidział totalitaryzmu (a tym bardziej Holocaustu). Nie miał również skłonności do depresji. Wręcz przeciwnie – uchodził za letkiewicza, a jego twórczość nasączona jest absurdalnym humorem. O ironii, Kafce przypięto łatkę proroka, choć polityką nie interesował się wcale. Znał się za to na technice, ubezpieczeniach i prawie pracy. Z ciekawostek: stosunek Franza do kobiet oscylował między nieufnością i odrazą. Lepiej niż w Pradze czuł się w Berlinie. Turyści obiegający Złotą Uliczkę nigdy tego nie rozumieją. ©©



★★★★★
REŻ. PAVEL ŠIMAK
„CZY ZNASZ KAFKĘ?” („KAFKA”)
CZECHY 2024

NIE UFAJ SĄSIADOM

Gorzka komedia o mieszczańskich kompleksach i tęsknotach. Akcja rozgrywa się w Tel Awiwie, lecz z jej przeniesieniem do polskiego apartamentowca poradziłby sobie nawet scenarzysta debiutant. Swojskie są sytuacja, a także postacie. Meira i Towę, małżonków z 46-letnim stażem, dopadł spóźniony kryzys wieku średniego. W ich żyłach, zamiast krwi, płynie rutyna. Kierunek wyjścia z impasu wskazuje nowy sąsiad – besserwisser i bon vivant. Któż zdoła się oprzeć salonowemu lwu, gdy patrząc prosto w oczy, zapewnia, że jesteś wyjątkowy/wyjątkowa i zasługujesz na więcej, niż masz? Itzik marnuje się w branży reklamowej, w polityce zaszedłby daleko. Dziadersonom tracącym godność i poczucie przyzwoitości w pogoni za modą na „bycie sobą” można jedynie współczuć oraz życzyć, aby się w porę opamiętali. Hollywoodzki remake? Nie tym razem. Twórcy „Karaoke” zanadto zbliżyli się do smutnej rzeczywistości. ©©



★★★★★
REŻ. MOSHE ROSENTHAL
„KARAOKE”
IZRAEL 2022
wyst. Sasson Gabai, Rita Shukrun, Lior Ashkenazi

Wiesław Chełmiński

MOJA PÓŁKA

Jaś nie doczekał



KRZYSZTOF
MASŁOŃ

Niewiele mamy w literaturze polskiej twórców tak zlekceważonych jak Maria Konopnicka, autorka „Roty” – drugiego naszego hymnu narodowego – klasycznych nowel, jak „Miłosierdzie gminy”, „Dym” czy „Mendel Gdański”, tłumaczka ukochanej lektury kilku pokoleń młodzieży „Serca” Amicisa, wreszcie pierwsza postać literatury dziecięcej, spod której ręki wyszły takie wiersze jak „Co słonko widziało” i „Stefek Burcymucha”, a przede wszystkim baśń „O krasnoludkach i o sierotce Marysi”.

W 1910 r., w ostatniej drodze na cmentarz Łyczakowski w Lwowie, towarzyszyło jej 50 tys. ludzi. Powszechnie uznawano ją za wieszczka swojej epoki, głośnym echem odbiła się jej obrona dzieci we Wrześni poddanych brutalnej germanizacji, od narodu otrzymała dworek w Żarnowcu, tak jak Sienkiewicz swój Oblęgorek. Jedynie dla hierarchii kościelnej była czarną owcą, krytykowała bowiem dogmaty i rozmiłowanie Kościoła w przepychu.

Jako że ujmowała się za biednymi, przejmowała dolą Żydów, dążyła do emancypacji kobiet i szeroko pojętego społecznego awansu ludu, w Polsce Ludowej stała się czołową autorką wypisów szkolnych i to jej, niestety, nie pomogło. Lektury obowiązkowe rzadko kiedy są czytane z chęcią, a rozmaite „Nasze szkapki” czy „Wolni najmici” łatwi byli do obśmiania. W efekcie nawet Jan Pietrzak w piosence „Spokojnie chłopie” dworował sobie z utworów Marii Konopnickiej. Literaturoznawcy i za takich się uważający też kręcili nosem na tę „drugorzędną twórczość”, a Antoni Pawlak na łamach „Newsweeka” nawał „Rotę” pieśnią grafomańską.

I tak by pewnie jeżdżono na wierszach i nowelach Konopnickiej

niczym na łysej kobyle, gdyby nie przypomniano sobie o jej lesbijskim związku z Marią Dulębianką, co wyeksponowane zostało przez Krzysztofa Tomasika w jego głośnych „Homobiografiach” (2008). Po nich niemal z dnia na dzień z kiepskiej literatki stała się patronką rodzimego feminizmu, choć – jako żywo – od tego miana zawsze się odżegnywała.

Jednak jest już za późno, czego dowodzi wydana właśnie książka Doroty Ponieńskiej „Dziesięć dni z życia Konopnickiej”. Z tej fabularyzowanej opowieści biograficznej dowiadujemy się, że „patrzac na chłopską krzywdę i poniżenie, a także na utracjuszkowskie, często próżniacze życie własnego męża i różnych panów z sąsiedztwa, Maria gorąco wierzyła w równość między ludźmi, w potrzebę zrównania praw i szans życiowych każdego człowieka [...]”. Rozmawiała o tym często z Dulębianką i dochodziły do wniosku, że organizacja życia społecznego w obecnym kształcie służy głównie mężczyznom z klas wyższych”.

Obie panie prowadziły rzekomo ze sobą takie np. rozmowy. Oto Dulębianka powiedziała:

– Wierzę, że w przyszłości wszyscy ludzie będą mieć jednakowe prawa, zwłaszcza kobiety i mężczyźni [A nie »zwłaszcza« to kto? Zwierzęta? – przyp. K.M.]. To, co jest teraz, to anachronizm. A kluczem do tej równości będzie edukacja, dostępna dla wszystkich.

– No tak, tobie chodzi przede wszystkim o prawa dla kobiet – mówi Maria.

Dulębianka od razu się ożywia, widać w jej oczach błysk zaangażowania i pasji.

– W ruchu kobiecym nie tyle chodzi o uzyskanie przez kobiety specjalnych praw, ile o pozbawienie mężczyzn ich anachronicznych przywilejów – przekonyuje z mocą.

Na szczęście autorka „Dziesięciu dni z życia Konopnickiej” oszczędziła czytelnikom erotycznej fanta-



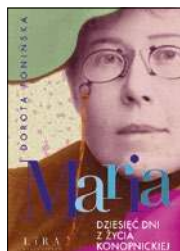
FOT. MICHAŁ WOŹNIAK/EAST NEWS

styki. Osobiste i rodzinne sprawy twórczyni „Roty”, mocno zresztą skomplikowane i dramatyczne, przedstawiła z taktem i empatią. Za to dała się ponieść społecznemu entuzjazmowi utrzymmanemu skądinąd w niepowtarzalnej poetyce lat 50. zeszłego stulecia. I tak czytamy:

Maria przygląda się przyjaciółce, która jest od niej młodsza o pokolenie. Dulębianka i jej koleżanki, feministyczne działaczki – ileż mają w sobie odwagi i bezkompromisowości! Jak bardzo są przekonane o należnych im prawach i o tym, że ich uzyskanie jest tylko kwestią czasu. I jaka to różnica w stosunku do powszechnych przekonań w czasach, gdy ona i Eliza [Orzeszkowa – przyp. K.M.] były młodymi pannami, które bez słowa protestu dały się wydać za mąż za podsuniętych im, zupełnie nieodpowiednich kandydatów. Maria obserwuje, że teraz coraz więcej młodych kobiet znajduje siłę, by odmawiać takiego losu i szukać dla siebie innych dróg. I wie, że i ona sama, i Eliza dały tym kobietom przykład i argumenty, że jest to możliwe.

Maria myśli o czasach, w których rzeczywiście nastanie równość pomiędzy wszystkimi ludźmi: biednymi i bogatymi, kobietami i mężczyznami, szlachtą i gminem. W których każdy będzie miał szansę sięgać po swoje marzenia, tak samo jak inni. Co to będzie za świat? Z równymi prawami dla każdej ludzkiej istoty. I dla każdego narodu. Świat wolności. Chciałaby tego doczekać.

Niestety, nie tylko Jaś nie doczekał. Maria Konopnicka także. A tak pięknie mogłaby zaśpiewać z Kayah i Viki Gabor: „Ramię w ramię”. Z towarzyszeniem orkiestry pod dyrykcją Marii Lempart. ©©



★★★★★

**DOROTA
PONIŃSKA**
„MARIA. DZIESIĘĆ
DNI Z ŻYCIA
KONOPNICKIEJ”
LIRA, WARSZAWA
2024



PIOTR GOCIEK

POCZYTANKI

Sztuki i sztuczki

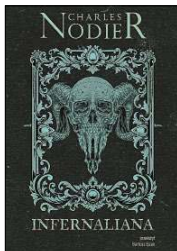
Diable opowieści snuć można z fascynacją diablami sztuczkami, ale można i ku przestrodze. Zapomniany francuski romantyk Charles Nodier kroczył tą drugą drogą. Dziwi się tłumacz i autor wyboru Bartosz Ejzak, że możliwa jest „chrześcijańska weird fiction”. Oczywiście, że jest, potępieni grzesznicy, dzieje pokuty, winy i zasłużona kara – wszystko to w literaturze grozy jest wielce chrześcijańskie i było oczywiście do czasów, kiedy w XX w. zaczął w niej triumfować nihilizm spod znaku Lovecrafta, a w dziełach popkultury taplanie się w krwawych elementach imaginariu zastąpiło poszukiwania morału. Tymczasem u Nodiera, gdy pojawia się duch zakrwawionej zakonnicy, to dlatego, że złamała śluby i oddała się grzesznej cielesnej miłości, a dzieje pewnego dżentelmena ze Śląska, który zapraszał diabły na wieczerze, kończą się dobrze, gdyż w finale został jednak „dobrym i mądrym chrześcijaninem” („Historia o tym, jak roku Pańskiego 1609 przybyły demony i zjawy”).

Polski czytelnik miał okazję zetknąć się z opowiadaniem Nodiera w 1979 r., gdy Joanna Guze przygotowała tom „Wróżka okrucichów”, wydany przez PIW. Dziś Bartosz Ejzak i Wydawnictwo IX zapowiadają edycję

dzieł wybranych francuskiego klasyka, których tomem pierwszym jest zbiór „Infernaliana”. Otwierająca zbiór nowela „Cztery talizmany” to rodzaj modnej w XIX stuleciu opowieści wschodniej, przypominająca trochę biblijną przypowieść o talentach. Ostatnie 150 stron to osiem opowiadań niesamowitych, z których dwa („Pies pana Brisqueta” oraz „Człowiek i mrówka”) pamiętam z „Wróżki okrucichów”. Niegłupia to i urokliwa proza, czasem literatura grozy, czasem bardziej przypowieść.

Pomiędzy tymi atrakcjami kryje się zaś główna część książki, czyli utwór, od którego cały zbiór wziął tytuł. „Infernaliana” to „nie tyle zbiorok opowiadań, ile barokowa kompilacja opowieści znalezionych w różnych pismach (w tym także polskich), przetworzona przez autora i swobodnie zinterpretowana” – podpowiada tłumacz. A ja odpowiem:

fantastyczny lamus ciekawych i zajmujących, przerażających historyjek ku przestrodze i nauce. Niby praca badawcza, bo i naukową pasję do porządkowania i segregowania miał w sobie Nodier (autor licznych prac entomologicznych). Nie spodziewałem się, że ktoś jeszcze w Polsce przypomni sobie o Nodierze. Ale bardzo się cieszę, że tak się stało. ©©



★★★★★
CHARLES NODIER
„INFERNALIANA
I INNE TEKSTY
WYBRANE”
WYDAWNICTWO
IX 2024

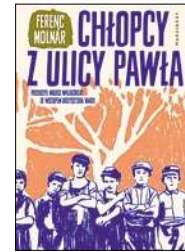
NOWOŚCI KSIĄŻKOWE

Choć odcinał się od literackich korzeni pół wieku temu, to dziś niemiecki reżyser twierdzi, że jego spuścizna literacka jest ważniejsza od filmowej. Plus arcykierowe postowie pióra Moniki Muskały.



WERNER HERZOG
„NOWELE
FILMOWE”
PIW

Rzecz nieco zapomniana, a ważna: „Czym tak naprawdę jest życie, któremu wszyscy służymy, w smutku i radości?”. Nowy przekład (dzieło Miłosza Waligórskiego) powieści „Chłopcy z Placu Broni”



FERENC MOLNÁR
„CHŁOPCY
Z ULICY PAWŁA”
MARGINESY

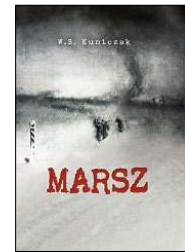
Miało być pięknie, wyszło jak zwykle. Egzotyczny reportaż true crime o parze zakochanych szukających samotnego życia na jednej z wysp Galapagos. Ich śladem poszli inni, a skończyło się krwawo.



JOHN TREHERNE
„ZBRODNIA
W RAJU”
CZARNE

Kluczowa część obszernej trylogii powieściowej o wojennych polskich losach (otwierał ją „Dzień tysiąca godzin”). Zapomniana klasyka polskiej literatury, choć swego czasu przełożona na 17 języków.

recenzuje Piotr Gociek



WIESŁAW S.
KUNICKI
„MARSZ”
KSIEGARNIA
AKADEMICKA

KOMIKS TYGODNIA: „THORGAL. WENDIGO”

Kolejna opowieść z uniwersum Thorgala, która nie należy ani do serii głównej, ani do pobocznych, jest natomiast hołdem dla postaci stworzonej przez duet Jean Van Hamme – Grzegorz Rosiński. Wydawnictwo Lombard zwraca się do wybranych artystów komiksu o stworzenie ich



CORENTIN
ROUGE,
FRED DUVAL
„THORGAL.
WENDIGO”
EGMONT 2024

autorskich wizji, które wzbogacają świat ukochanego przez fanów cyklu.

Piotr Gociek



RADOSŁAW WOJTAS

DO ZOBACZENIA

Polonia bez cenzury 2

Centrum Sztuki Współczesnej Zamek Ujazdowski w takich słowach zaprasza na wystawę malarstwa Ignacego Czwartosa, która miała być eksponowana w Pawilonie Polskim w Wenecji (co unieważnił były minister kultury Bartłomiej Sienkiewicz): „Jeśli jesteście Państwo ciekawi, jak wygląda sztuka szykanowana przez władzę,

jeśli chcecie zobaczyć to, czym artystom zajmować się nie wolno [...] – słowem: jeśli chcecie wiedzieć, dlaczego wenecka wystawa Ignacego Czwartosa wywołała tak wielkie poruszenie – to zapraszam [...]!”. „Zobaczcie, póki wolno” – dodają, a „GW” już donosi, że dni Piotra Bernatowicza na stanowisku dyrektora CSW są policzone.

Prace Czwartosa ostatecznie do Wenecji trafiły, ale poza oficjalnym programem. I jeśli ktoś chce ocenić, czy wystawa „Polonia bez cenzury” padła ofiarą cenzury i czy słusznie została zastąpiona projektem rezerwowym, to nie powinien czekać do finisażu. Nie lekceważyłbym przestrogi „zobaczcie, póki wolno”. ©©

GDZIE? Warszawa, CSW Zamek Ujazdowski
KIEDY? do 18 sierpnia



FOT. CSW ZAMEK UJAZDOWSKI

FOT. MUZEUM NARODOWE W SZCZECINIE



ZE STAREJ SKRZYNI

Sytuację majątkową, profesję, stan cywilny – strój, czyli odświętny ubiór, zdradzał wiele. „Był jednym z nielicznych przejawów ludowej kultury, w którym zaznaczał się zbytek i luksus” – piszą autorzy wystawy „Ze starej skrzyni. Dawne stroje pomorskie”. Na ekspozycję składają się archiwalne fotografie, przedstawienia ikonograficzne, a także oryginalne elementy dawnych strojów pomorskich. ©©

GDZIE? Muzeum Narodowe w Szczecinie – Muzeum Historii Szczecina
KIEDY? do 8 września

NA SŁUCH

Miłość jest jego religią

W lipcu Lenny Kravitz da dwa koncerty w Polsce, na których będzie promował swój 12. album studyjny.

Kiedy w wieku 25 lat zadebiutował w 1989 r. płytą „Let Love Rule”, ilustrowane magazyny natychmiast ogłosiły narodziny nowej gwiazdy. Zabójczo przystojny ciemnoskóry pół-Żyd z wytatuowanym chrześcijańskim krzyżem rzeczywiście robił piorunujące wrażenie. Do tego grał klasyczny rock, którego brzmienie zbudował na mieszanke wpływów Hendrixa i Lennona. Rok później napisał dla Madonny megahit „Justify My Love” i wkroczył do panteonu światowych celebrytów.

Nowy album stanowi nieoficjalne uzupełnienie niedawno opubli-

kowanego pamiętnika Kravitz „Let Love Rule”, w którym opisał swe dorastanie na Manhattanie i marzenia o rockowej sławie. Stylistycznie płyta nie przynosi niczego nowego. To wciąż jest mieszanina rock-funkowych wpływów z przeszłości. Amerykanin radośnie ignoruje zbliżające się 60. urodziny i pozuje na zdjęciach na siłowni. Wierzy w miłość między ludźmi prawie tak samo jak w skórzaną spódnię, rozpiętą do pępka koszulę i przeciwsłoneczne okulary. W zniewieściałym świecie dzisiejszej rozrywki nie ma już takich gwiazd jak on. Jest większy niż życie i odporny na samoświadomość, ale świat potrzebuje niedoręcznych rockmanów. Z głębi serca wykrzykuje na płycie: „Miłość jest moją religią!”. ©©



★★★★★
SŁAWOMIR KULPOWICZ
„CALMNESS AND UNISONO”
GAD

Przedwcześnie zmarły pianista zasłynął z łączenia jazzu i muzyki hinduskiej. Był też wziętym muzykiem sesyjnym. Na płycie zebrano niepublikowane solowe nagrania z sesji radiowych z lat 80. Ekspresyjne, pełne napięć improwizacje.



★★★★★
KAMIL PATER
„WODECKI/PATER”
MYSTIC
Zapis koncertu „Wodecki Twist”

podczas którego młodzi wokaliści, wspomagani przez siostry Przybylsz i Justynę Świąs, wykonują przeboje Zbigniewa Wodeckiego. Pomysłodawcą projektu był producent i instrumentalista Kamil Pater, który mocno przearanżował lubiane evergreeny.



GRZEGORZ BRZOZOWICZ



★★★★★
LENNY KRAVITZ
„BLUE ELECTRIC LIGHT”
BMG

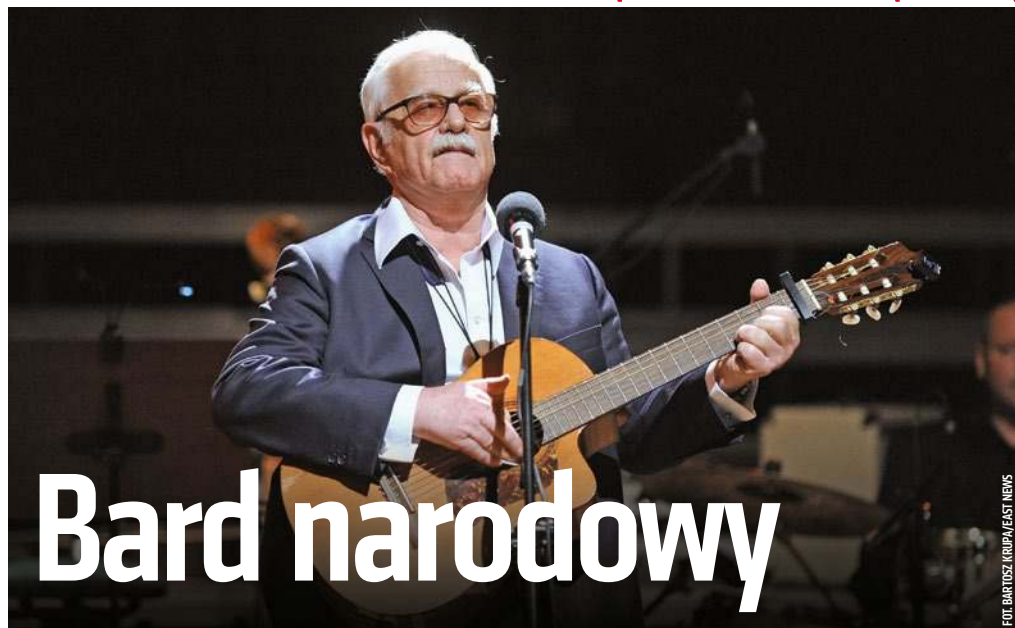


Krzysztof Masłowski

Był i jest człowiekiem instytucją. Zbigniew Herbert, który coś tam widział i słyszał, miał więc jakąś skalę porównawczą, stwierdzał, że „nie udało mu się dotychczas spotkać kabaretu, w którym jak tutaj [w kabarecie Pod Egidą – przyp. K.M.], stare słowa – a bez nich każda opowieść jest efemeryczna i skazana na zatrącenie – stare, ponizane tyle lat słowa – ojczyzna, godność ludzka, sprawiedliwość – brzmią prosto, czysto, niedwuznacznie. Mężny i wzruszający, komiczny i prawdziwy – Jan Pietrzak. Bardzo nam potrzebny”.

Poeta dotknął w tym miejscu niesłuchanie istotnej sprawy. Otóż wielkie słowa bronią się na scenach teatrów dramatycznych, i to nie zawsze, ale już zupełnie nie pasują do estrady. Tymczasem Jan Pietrzak – czy to z towarzyszeniem orkiestry, czy z czasem coraz częściej sam sobie akompaniując („Czy to zima, czy to jesień, ale z gitarą da się przeżyć”) – z olimpijskim spokojem śpiewał o Polsce, o naszej tradycji i historii, nie bojąc się słów największych i najświętszych. Dość będzie przypomnieć tu – poza „Żeby Polska była Polską”, która stała się bez mała jeszcze jednym hymnem narodowym, mniej więcej tak jak „Rota” i „My, Pierwsza Brygada” – takie utwory, jak m.in. „Taki kraj...” czy „Nadzieja”. Ten pierwszy, wykorzystany w filmie o powstaniu wielkopolskim „Męskie sprawy”, warto przywołać, bo rzadko się go przypomina, a piękności jest wyjątkowej:

*Jest takie miejsce u zbiegu dróg,
Gdzie się spotyka z zachodem*



wschód...

*Nasz pępek świata,**Nasz biedny raj...**Jest takie miejsce, taki kraj.*

Dosłownie w tych dniach ukazała się książka „Moje zakazane piosenki” z bez mała setką tekstów Jana Pietrzaka i z grubo ponad setką fotografii, utrwalającą – jak powiada wydawca – główne dokonania artysty, „chłopaka z warszawskiej Pragi, obdarzonego przez Boga talentami, których nie zmarnował, stając się narodowym bardem”. I to jest celne określenie.

Muzykę pisali do jego piosenek Jerzy Wasowski („Ile dziewczyn się marnuje”) i Jan Kanty Pawluśkiewicz („Zaganiany człowiek taki”), Adam Skorupka („Za trzydzieści parę lat”) i Wojciech Karolak („Jedno życie”), no i oczywiście Włodzimierz Korcz, kompozytor „Żeby Polska...”, „Aby do świtu”, „Ale nagorzej”. To z tej ostatniej pochodzą te mocne słowa:

*Żle jest, gdy zmęczą cię ziomale
awanturami i głupotą,
jest nie najlepiej, kiedy dranie
spychają zacnych ludzi w błoto,
ale najgorzej, ale najgorzej,
przykro gadać...
gdy szerzy się w Ojczyźnie zdrada.*

Tak naprawdę jest jednak Jan Pietrzak samowystarczalny, a swego czasu pisywał piosenki i dla Danuty Rinn, i dla Joanny Jeżewskiej, dla Ewy Dałkowskiej i dla Izy Trojanowskiej. Ale niezrównanym interpretatorem jego tekstów był zawsze on sam.

Aktywność publicystyczna i ostrość wychodzących spod jego ręki utworów satyrycznych sprawia, że postrzegany bywa jako twórca polityczny. To nieporozumienie, niemal takie same, jak przypisywanie mu niemal zoologicznego antykomunizmu. Tymczasem ten zacięty wróg komuny zacząć musiał od tego, by się od tej komuny odciąć, bo tkwił w niej po uszy. Zdarzało mu się zresztą w pierwszej fazie twórczości pisywać piosenki dwuznaczne, rzekłbym, w swojej wymowie jak np. „Do Hagi! Pety zbierać!”, w której wszystkich wyjeżdżających na saksy do Anglii, Szwecji czy Francji wysyłał w zdecydowanie bliższe rejony świata: do Małkini, Pyr i Leżajskiej, pod Parczew...

Dla młodych ludzi jest dziś Jan Pietrzak starszym (87 lat!) panem, który śpiewa o Polsce, a komentując wydarzenia polityczne, równo przykłada

ekipie obecnie rządzącej, podobnie jak przed laty komunie. No cóż, jak to dosadnie ujął w jednym ze swoich utworów:

*Mamy niby wolną Polskę,
a nie wiedzieć czemu
rzygać chce się,
rzygać chce się tak jak w peerelu...*

Mało kto zwraca uwagę na jakże liczne i znaczące utwory Jana Pietrzaka poświęcone... ochronie środowiska. A przecież ekologicznym hymnem jest pieśń „Pamiętajcie o ogrodach”. Ależ to Jonasz Kofta – zakrzykną znawcy tematu i nie będą mieli racji. Pod Egidą wykonywał utwór także Pan Janek będący do tego twórcą muzyki „Ogrodów...” – naturalnie do tekstu Kofty. A później tekstów alarmujących o postępującej dewastacji środowiska napisał całe multum. Nie byłby jednak sobą, gdyby tego proekologicznego nurtu swojej twórczości nie połączył z treściami patriotycznymi. Jak w songu „Jasne niebo”:

*Jasne niebo, czysta woda, bujna
zieleni,
Nasz prawdziwy, niewątpliwy, wielki
skarb!
Truć i niszczyć nie pozwólmy polskiej
ziemi!
Ratujmy siebie! Ratujmy nasz kraj!*

© ©

Chłostanie Putinem



Filip Memches

Można jakiemuś politykowi w pewnych kwestiach przyznać rację, a zarazem dostrzegać w nim śmiertelne niebezpieczeństwo dla swojego kraju. Internacjonalistyczna mentalność Orlińskiego chyba takiej możliwości nie ogarnia

W warunkach polskich oskarżenia o sprzyjanie Kremlowi narażają każdego polityka na śmierć cywilną. Tyle że żadnej z dwóch głównych sił na polskiej scenie politycznej – Prawu i Sprawiedliwości oraz Platformie Obywatelskiej – nie można zarzucić, że reprezentuje opcję prorosyjską. Jest jednak między tymi partiami istotna różnica.

PiS przestrzega przed wrogimi zamiarami Władimira Putina względem

Polski od dwóch dekad. Tymczasem PO dokonała zwrotu. Jeszcze kilkanaście lat temu – gdy była w Polsce u władzy po raz pierwszy – jej politycy wykazywali się, przy aplauzie rodzimych opiniotwórczych mediów, ustępliwością wobec Kremla. Traktowano to jako wyraz mądrości dyplomatycznej, piętnowano zaś PiS-owską „rusofobię”. Polsko-rosyjska sielanka dobiegła kresu dopiero wówczas, gdy politycy Platformy przekonali się, że to nic im

nie daje i zmieniła się koniunktura międzynarodowa.

Przy czym trzeba zaznaczyć, że za ukłoniem w stronę Moskwy bynajmniej nie stała jakaś rusofilia. Po prostu w PO doszli do wniosku, że skoro polityczny establishment Zachodu robi reset z Kremlm, to trzeba zachowywać się tak samo.

AMNEZJA TO METODA

Przeszłość jednak dla Platformy i kibicujących jej lewicowo-liberalnych



FOT. KREMLIN.RU

Politycy Platformy postanowili serwować przekaz, że to PiS jest w istocie formacją prokremlowską, tyle że swoje związki z Rosją ukrywa. I w tej kwestii również mogą liczyć na rodzime opiniotwórcze media – te same, które piętnowały niegdyś PiS-owską „rusofobię”. Taka amnezja to metoda

formacją prokremlowską, tyle że swoje związki z Rosją ukrywa. I w tej kwestii również mogą liczyć na rodzime opiniotwórcze media – te same, które piętnowały niegdyś PiS-owską „rusofobię”. Taka amnezja to metoda.

Swoją drogą, gwoili uczciwości, nie można pominąć również tego, że przed katastrofą smoleńską także polityka PiS wobec Rosji była inna, niż jest teraz. Obóz Jarosława Kaczyńskiego prowadził dialog z Kreml, co się wydaje obecnie czymś kompletnie niemożliwym. Czymś wymownym jest to, że Lech Kaczyński – który jako prezydent Polski nie był już wprawdzie członkiem Prawa i Sprawiedliwości, ale pozostawał z tą partią politycznie związany – przyjął zaproszenie od Rosjan, aby w towarzystwie Wojciecha Jaruzelskiego wziąć udział w uroczystościach 65. rocznicy zakończenia drugiej wojny światowej w Moskwie. Co nie zmienia tego, że postawa Lecha Kaczyńskiego wobec Kremla rzecz jasna różniła się od polityki wschodniej Donalda Tuska jako ówczesnego szefa rządu.

Jednym z publicystów lewicowo-liberalnej „bańki”, cieszących się w niej autorytetem i komentujących spór o to, kto w Polsce zasługuje naprawdę na miano „ruskiej onucy”, jest Wojciech Orliński. Niedawno zamieścił on na swoim profilu facebookowym wpis, który jest o tyle ciekawy, że zrywa z amnezją jako metodą. Może to być cenna instrukcja obsługi dla polityków PO i wspierających to ugrupowanie środowisk, jak atakować prawicę bez zaprzeczania temu, że to rząd Platformy uprawiał reset.

Otóż Orliński zdobył się na uczciwość intelektualną i stwierdził, że „nie mamy na szczęście w głównym nurcie żadnej partii otwarcie prorosyjskiej”. Ale na tym równe traktowanie obu głównych sił politycznych w Polsce się kończy.

Ponadto publicysta słusznie przypomniał, że reset wdrożył Biały Dom za prezydentury Baracka Obamy i polski rząd poszedł w ślady Amerykanów. „Była to ostatnia już próba złagodzenia relacji Zachodu z Rosją” – czytamy w notce Orlińskiego, który dodał, że biorąc pod uwagę ówczesną wiedzę (z roku 2009), prawdopodobnie warto było taką próbę podjąć.

Tyle że publicysta na tym nie poprzestał. Postanowił bowiem dowiedzieć, że prawdziwej zbrodni dopuścili się polscy prawicowcy. Dlaczego? Dlatego, że o ile byli oni przeciwnikami resetu, o tyle zarazem – zdaniem Orlińskiego – zachowywali się „ideologią” Kremla, czyli tym, co Putin mówił i wciąż mówi „o zachodniej dekadencji, o prawach LGBT, o »ideologii woke«”.

Żeby już zupełnie pograżyć polską prawicę, publicysta sięgnął po historyczną analogię. Otóż – według Orlińskiego – postawa Platformy podobna była do polityki premiera Wielkiej Brytanii Neville’a Chamberlaina wobec III Rzeszy. W roku 1938 polityk ten zgodził się na aneksję przez Niemcy należących do Czechosłowacji Sudetów, bo miał nadzieję, że tak się uda uratować pokój w Europie.

Chamberlain – uważa publicysta – wykazał się naiwnością, ale czymś dużo gorszym od niej – twierdzi – była działalność Oswalda Mosleya. Chodzi o lidera brytyjskich faszystów, który z pobudek ideologicznych sympatyzował z Benitem Mussolinim i Adolfem Hitlerem. „Tusk w najgorszym wypadku jest jak Chamberlain, ale oni [polscy prawicowcy] wtedy są jak Oswald Mosley” – podsumował swój wpis Orliński.

ROSJA – TRENDSETTER „ZACHODNIEJ DEKADENCJI”?

Żeby zilustrować ten wywód, publicysta powołał się na mój tekst, który się ukazał w „Rzeczpospolitej” w roku 2013 i zatytułowany został „Putin ma rację”. Trzeba przyznać, że już sam ten tytuł – dla wielu moich oponentów „memiczny” – aż się prosi, by go wykorzystać do podparcia tezy Orlińskiego o ideologicznym pokrewieństwie polskiej prawicy z Kreml.

salonów pozostaje kłopotliwa. To Donald Tusk – a nie Jarosław Kaczyński – ma zdjęcia z Putinem na Westerplatte i w Smoleńsku. Reset jest obecnemu premierowi Polski wypominany nie od dziś.

Trudno jednak po politykach Platformy oczekiwać przyznania się do błędnej polityki wschodniej. Byłoby to przecież z ich strony okazanie słabości. Dlatego postanowili serwować przekaz, że to Prawo i Sprawiedliwość jest w istocie

■ Zresztą publicysta wielokrotnie w różnych miejscach to czynił – m.in. gdy dwa lata temu na łamach „Gazety Wyborczej” perorował o tym, że polscy konserwatyści „jak Putin” upatrują w mniejszościach seksualnych „kolektywnego Antychrysta”.

Tymczasem w swoim tekście z 2013 r. pisałem ze zrozumieniem o wprowadzonej wówczas w Rosji ustawie zakazującej „propagowania nietradycyjnych relacji seksualnych wśród nieletnich”. Byłem bowiem przekonany, że każde państwo ma prawo stawiać tamę moralnej deprawacji społeczeństwa. A ustawy zakaz osławiania dzieci i młodzieży z bezwstydem tęczowej subkultury nie oznaczają jeszcze prześladowania mniejszości seksualnych.

Tyle że ruchy LGBT (czyli te, które polityzują życie intymne osób „nieheteronormatywnych”) i ich sojusznicy pokroju Orlińskiego każde niespełnienie takich żądań, jak „związki partnerskie”, „małżeństwa” jednopłciowe, adopcja dzieci przez pary jednej płci, tęczowa edukacja w szkołach, przedstawiają jako brutalną represję równą okrutnej przemocy fizycznej i psychicznej, a tej żaden cywilizowany człowiek przecież nie będzie bronić. To ich strategia szantażu moralnego i psychologicznego.

Wracając do inkryminowanego tekstu, wyraziłem w nim przypuszczenie, że rosyjska ustawa nie była przejawem konserwatywnego (czy jakiegokolwiek innego) projektu ideologicznego, lecz populistycznej gry obliczonej na to, że skoro większość Rosjan opiera się nowinkom obyczajowym (a więc i tęczowej agendzie), to trzeba na takich nastrojach społecznych bazować. To taktyczna zachowawczość Kremla, a nie jego konserwatywna ideologia.

Szczególnie że jeśli popatrzy się na Putinowską Rosję wielowymiarowo, wtedy się okaże, że pod pewnymi względami owo państwo jest spadkobiercą wzorców obyczajowych epoki sowieckiej, a w rezultacie – trendsetterem „zachodniej dekadencji”. Świadczą o tym choćby tamtejsze wysokie statystyki wykonywanych aborcji (jak najbardziej przecież legalnych) i przeprowadzanych rozwodów. Z tych względów Rosja powinna się Orlińskiemu jawić jako progresywna arkadia swobód obyczajowych.

Ostatecznie jednak polityków poznajemy po owocach tego, co robią,

a nie po szumnych deklaracjach, które składają. I często punkt widzenia zależy od punktu siedzenia.

Przykładem może być Platforma Obywatelska z lat 2021–2024. Gdy była w opozycji, jej politycy w sprawie ochrony granicy polsko-białoruskiej przemawiali jednym głosem z Agnieszką Holland i „Gazetą Wyborczą”. Powielali fejkowe opowieści o okrutnym, motywowanym rasizmem gnębieniu przez polskie służby mundurowe imigrantów z Azji i Afryki, których reżim Aleksandra Łukaszenki wysyła do Polski. Parlamentarzyści PO głosowali przeciw specjalnej ustawie o budowie zapory na tej granicy – byle tylko uderzyć w PiS.

Putin woli mieć za wrogów na Zachodzie państwa słabe niż silne. I dlatego u siebie ruchów LGBT nie toleruje, lecz po cichu na Zachodzie im kibicuje. Dlatego Orliński, popierając je, być może mimowolnie Putinowi sprzyja

Wystarczyło jednak, że Platforma znowu się znalazła u władzy, a wykonała zwrot o 180 stopni. Teraz jej politycy są za budową zapory i generalnie za twardym kursem wobec nielegalnych imigrantów przybywających z Białorusi. Dlaczego? Ponieważ wiedzą, jakie są w Polsce nastroje społeczne, i się do nich dostosowują. A Donald Tusk jest przede wszystkim populistą – tyle że liberalnym – a nie „antypopulistycznym demokratą”, którego udaje.

Z WROGIEM MOŻNA SIĘ ZGADZAĆ

Jeśli zaś chodzi o Putina, to swoją drogą zdarza mu się z jakichś przyczyn wygłosić coś, z czym trudno komuś, kogo rażą gnilne procesy na Zachodzie, się nie zgodzić, a co zarazem kontrastuje z rosyjską rzeczywistością społeczną. Niegdyś w polskich mediach szerokim echem odbiło się wystąpienie prezydenta Rosji na posiedzeniu Klubu Wałdajskiego, które się odbyło jesienią 2021 r.

Tuż potem publicysta i były polityk Jan Rokita w wywiadzie udzielonym

Marcinowi Mamoniowi na łamach „Dziennika Polskiego” skomentował tamto wydarzenie następująco: „Przeszło sto lat temu [Piotr] Stołypin [premier Rosji w latach 1906–1911] słusznie przestrzegał przed nadchodzącą groźbą nihilistycznej rewolty, która podpali świat. A jednocześnie kazał wieszać na stokach warszawskiej Cyta-deli polskich patriotów od Piłsudskiego. I co? Czy dlatego, że był wizjonerem, gdy idzie o niebezpieczeństwo bolszewizmu, to mieliśmy stać się wasalami carskiej tyranii?”

Następnie powiedział: „Teraz jest dokładnie tak samo. Parę tygodni temu Putin wygłosił świetną mowę [...]. Ironizował, iż Rosja miała już swoją rewolucję bolszewicką, więc dobrze wie, do czego prowadzi to wszystko, co dzieje się teraz na Zachodzie: agresywne wymazywanie własnej historii, odrzucenie religii, próba zmiany sensu takich rzeczy jak rodzina, ojcostwo, macierzyństwo, a nawet płeć. Czy Putin ma rację? Oczywiście, że ma. Ale czy z tego powodu mamy się stać wasalami agresywnej putinowskiej tyranii? Przecież to jawny absurd”.

W świetle powyższych słów Rokity widać, jak bałamutna i demagogiczna jest argumentacja Orlińskiego. Jeśli poczynił on analogię między Mosleyem a współczesną polską prawicą, to trafił kulą w płot. Lider brytyjskich faszystów chciał ideologicznego sojuszu Wielkiej Brytanii z III Rzeszą, czego efektem byłoby uczynienie imperium brytyjskiego – jak dziwnie by to brzmiało – właśnie wasalem Niemiec. Stosunek polskiej prawicy – tej, którą miał na myśli Orliński – do Putinowskiej Rosji jest zaś zgoła odmienny – taki, jak to celnie ujął Rokita.

Można bowiem jakiemś politykowi w pewnych kwestiach przyznać rację, a zarazem dostrzegać w nim śmiertelne niebezpieczeństwo dla swojego kraju. Tyle że internacjonalistyczna mentalność Orlińskiego chyba takiej możliwości nie ogarnia.

A już tak w ogóle mniemam, że Putin woli mieć za wrogów na Zachodzie państwa słabe niż silne. I dlatego u siebie ruchów LGBT nie toleruje, lecz po cichu na Zachodzie im kibicuje. Dlatego Orliński, popierając je, być może mimowolnie Putinowi sprzyja.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



Wojciech Golonka

Dzisiejsi globaliści w podejściu do człowieka niewiele różnią się od elit z epoki oświecenia

Myśl oświeceniowa, której przypisuje się zazwyczaj, wedle zresztą jej nazwy, nimb światłości, jest od dekad traktowana jako niepodważalny fundament współczesnej demoliberalnej polityki i gwarancja dojrzałości rządzących elit (te ostatnie raczej gorszyłyby się na myśl, że są cokolwiek dłużne mrocznym wiekom średnim chrześcijańskiej cywilizacji, kiedy to notabene rozkwitły w Europie uniwersytety i bezpłatne szpitale). Jednak z postępem demoliberalnym i jego piewcami bywają notorycznie problemy w postaci dystorsji nienadążającej za nimi, nieufnej i nieoświeconej w ogóle ludzkości, co, ma się rozumieć, rodzi frustrację tychże elit, dość podobną do rozgoryczenia ludzkością XVIII-wiecznych filozofów. Podobieństwa te, choćby w wydaniu współczesnych nam globalistów, są na tyle zbieżne, że rzeczywiście warto się zastanowić, czy przypadkiem sam ten fundament nie jest nośnikiem pewnej pierwotnej skazy, a myśl oświeceniowa – zbyt usakralizowanym mitem zasłaniającym nie tak znowu piękną rzeczywistość.

Zacznę od pewnego prostego porównania, które moim zdaniem bardzo dobrze ilustruje właśnie kwestię mitu światłości o niepoznanym dotąd znaczeniu. Otóż mój ulubiony Paryż, ville des lumières – miasto światła, jak mawiają, miasto oświecenia – zdobi w jednym, jakże symbolicznym miejscu, na placu Bastylli, kolumna zwieńczona „aniołem niosącym światło”, wyzwolonym ze swych kajdanów, będącym łącznikiem niebios i ziemi (monument upamiętnia rewolucję lipcową z 1830 r., obalającą rządy Burbonów na rzecz monarchii orleańskiej i burżuazji). Otóż etymologicznie rzecz ujmując, anioł niosący światło to Lucyfer, „wyzwolony” zresztą z odwiecznego porządku Bożego przez swe „non serviam” – „nie będę służył!” –

co już samo w sobie w przypadku tego zabytku zaskakuje. Ale zdziwienie to staje się o wiele głębsze i rodzi dalsze pytania o właściwe znaczenia tego symbolu, a może i rzeczywistego anioła, kiedy pomyślimy, że to właśnie patriarcha myśli oświeceniowej, Wolter, pisał do swych współbraci, tytułując: „Do moich braci w Belzebubie”; „Niech Belzebub ma cię w swej świętej pieczy, mój drogi markizie”; „Bracie, me bratnie wnętrzności, które dają o sobie znać, zmuszają mnie do pozdrowienia cię w Belzebubie”; „Pamiętaj o świętej przysiędze, którą sobie złożyliśmy w grobowcu Lucyfe-

aniołem światłości warto było przytoczyć obszerniej, biorą się z obfitującej w zaskakujące wątki pracy Xaviera Martina pt. „Wolter niepoznany. Ukryte strony oświeceniowego humanizmu (1750–1850)” (Andegavenum 2023). Francuski profesor z Uniwersytetu w Angers został w zasadzie zmuszony przez swe własne zdziwienie, które nastąpiło u niego na skutek zestawienia mitu o oświeceniu z tekstami źródłowymi, do poświęcenia całej swej kariery naukowej badaniu myśli oświeceniowej w obfite, acz nieznanne ogółowi źródła, jak niezmiernie płodna korespondencja głównych bohaterów

Piekielny Wolter i jego współczesne dzieci

ra”, a w końcu, myśląc o swej śmierci: „Gdybym nie był tak bliski odwiedzenia Szatana, naszego wspólnego ojca, i gdybyśmy mogli spotkać się w jakimś zakątku tego innego piekła nazywanego ziemią, przekonałbym waszą diabelską dostojałość o moim szczerym i niezmiennym oddaniu. Przecież potępieniec może czasem solidnie trzepnąć swego współbrata ogonem, kiedy tenże współbrat się szamoce i pali go w du. ie rozgrzane do czerwoności żelazo; otóż prawdziwi i dobrzy potępienicy mają wgląd w serce swego bliźniego”.

Te osobliwe piekielne cytaty, które z racji porównania właśnie z paryskim

tego okresu, zapisy posiedzeń parlamentarnych w dobie rewolucji czy komisji jurystów w czasach napoleońskich.

POGARDA I NIENAWIŚĆ

Francuski badacz konkluzję swych dociekań wyraził następująco: „Panuje powszechne przekonanie, że francuskich filozofów osiemnastowiecznych popychała do działania wielka troska o bliźnich – zarówno współziomków, jak i braci-ludzi bez względu na ich narodowość. Ten stan ducha i umysłu, przysparzający im chwały, doskonale współgrał z ideałami tolerancji, równości i wolności, które z uporem umieli promować i uświetniać, co

■ również wobec nich budzi podziw [...]. Czy tak rzeczywiście było? Kiedy konsekwentnie zaczynamy badać ich twórczość, odsłania się przed nami nieco inny obraz. Pogarda czy nienawiść wyzieraają z ich pism niezwykle często, są zatem wpisane w ich mentalność i w sposób decydujący ukierunkowują ich myślenie, jednak na ten aspekt zazwyczaj spuszcza się zasłonę milczenia”. Osobliwy dysonans między deklarowaną na zewnątrz filantropią a dość wyraźnym przedmiotowym podejściem do człowieka... w każdym razie wyzierające z pracy Martina podobieństwo ze współczesnymi globalistami jest zbyt uderzające, by nie chcieć się dowiedzieć nieco więcej na temat mitu założycielskiego tej jasno-mrocznej jutrzenki współczesności.

W rzeczy samej obraz Woltera prześlędzony pod kątem mianownika pogardy i nienawiści jest nad wyraz posępny, chwilami brutalny i makabryczny, ukazujący przede wszystkim dwulicowość głównej ikony oświecenia, a chwilami i jego kompanów. Nie żeby te wątki były zupełnie nieznanymi specjalistom; u Martina jednak nie ma prób wybielenia, pomniejszania czy w ogóle cenzurowania samego „Woltera”, jak zrobił to jego towarzysz Condorcet, przygotowując pierwsze pośmiertne wydanie jego listów, ochoczo w nie ingerując, gdy zachodziła taka potrzeba. Xavier Martin po prostu pozwala na kartach swej książki mówić swej postaci, mówić bez cenzury (którą tenże tak nienawidził i kochał zarazem, o czym za chwilę) i być szczerym aż do bólu (na ile szczerostwo jest możliwe w przypadku człowieka kpiącego ze wszystkiego i ze wszystkich).

Zapomnieć trzeba o obrazie człowieka przepełnionego tolerancją i gotowego umrzeć za wolność słowa, wedle rzekomego cytatu Woltera, na którego nie ma poparcia w źródłach: „Nie zgadzam się z panem, ale umarłbym, aby mógł pan głosić to, co głosi”. Otóż rzeczywistość była zgoła odmienna, zwłaszcza kiedy to ktoś był odmiennego od Woltera zdania i odważył się piórem krytykować jego pisma. Wolter, pozostający w konszachtach z urzędnikami cenzury królewskiej, nie tylko sam dość zręcznie unikał z nią

konfrontacji, lecz także potrafił poruszyć z diabelską wręcz energią swe kontakty, aby swych literackich wrogów zsłać, bez wyroku sądu, na zasadzie królewskiego zabezpieczenia, do lochów pokroju Bastylli czy właśnie samej Bastylli.

Wolter, apostoł tolerancji, zwolennik zniesienia statusu chłopów pańszczyźnianych, chełpił się swymi dochodami jako pan na Fernay i inwestował swe oszczędności w Kompanię Indyjską, która trudniła się handlem niewolników. Jego wulgarny i radykalny rasizm, skierowany głównie przeciw Arabom i Żydom (nie tylko tym biblijnym, jak chcieli argumentować jego obrońcy, lecz także mu współczesnym), ma o tyle pewne wytłumaczenie kontekstowe, że z największą pogardą traktował również

swych krajan Francuzów i ogół rodzaju ludzkiego. Oddajmy tu na chwilę głos Martinowi:

„Wolter nieustannie wyraża pogardę dla zbiorowości swoich bliźnich, dla masy, którą tworzą. A przede wszystkim niespecjalnie ich traktuje jako swoich bliźnich. Ów szczegół dotyka sedna problemu. W liście do pani du Deffand będzie zachwalał «szlachetną przyjemność posiadania odmiennej natury niż głupcy» – otóż to, odmiennej natury. A przecież głupcy tworzą legion. Wielokrotnie powtarza, iż ludzie niemyślący stanowią miazdzącą większość. »W przypadku wielu narodów stosunek prymitywnych bydląt nazywanych ludźmi do tych nielicznych, którzy potrafią myśleć, wynosi przynajmniej sto do jednego« [...]. Zatem jeden procent. Przy czym chodzi o liczbę



FOT. MUSÉE CHARENTAIS

przeznaczoną do publikacji. W prywatnej korespondencji te szacunki okazują się jeszcze bardziej surowe”.

Zainteresowanych szczegółami – naprawdę wartymi poznania – odsyłam do wspomnianego dzieła francuskiego historyka prawa, którego błyskotliwe, acz subtelne ironie ułatwiają nieco wy-
magającą lekturę tekstu, uzupełnionego w konkluzji o frapujące paralele między poglądami Woltera a erupcją nienawiści, w tym uroczystych „ślubów nienawiści” względem wrogów Republiki, podczas późniejszej rewolucji. Tu chodzi mi szczególnie o to, że i w naszej współczesności spotykamy elity kierujące się podobnymi uwarunkowaniami mentalnymi, z dość nieskrywaną pogardą do formatu człowieka, który jeszcze nie tak dawno temu był normą – człowieka wartościującego rodzinę i potomstwo, uznającego pewne niepodważalne prawa Boże i przyrodzone, pewne oczywiste prawdy; człowieka cieszącego się szerokim nieskrępowaniem w swych wyborach materialnych i gospodarczych; innymi słowy – człowieka stworzonego na Boży obraz i podobieństwo.

STEROWANIE SPOŁECZEŃSTWEM

Otóż w swej innej głośniejszej pracy, „Rewolucja Francuska a natura ludzka. Od wieku Oświecenia po Kodeks Napoleona”, Martin ukazuje elity polityczno-prawne doby rewolucji i czasów napoleońskich, święcie przekonane, że to ich oświecona elita ma sterować społeczeństwem, gdyż wie lepiej i w zasadzie wie, co i jak, jako jedyna, stąd należy po prostu sprawić, aby ludzie myśleli, iż są wolni, ale sterować nimi wbrew ich wiedzy wedle odpowiednich praw. Jest to kolejny element oświeceniowego mitu – jeśli znany francuski historyk Michelet dostrzegał w rewolucji „początek świętej epoki, kiedy człowiek stał się pełnoletni; początek ery pełnoletności człowieka”, to Martin w swej źródłowej pracy wykazuje zgoła odmienny obraz trwałej infanty-
lizacji człowieka, traktowania go (a tym bardziej kobiety!) jako osobę permanentnie niedorosłą, a wszystko to niezależnie od różnic rywalizujących ze sobą nurtów myśli oświeceniowej, jako że summa summarum w tej kwestii zgodni byli zarówno skrajni materialiści pokroju Helwecjusza i Holbacha, jak i spirytualiści pokroju Rousseau.

„Antropologia uprawiana w czasach Oświecenia wymaga wielkiej czujności z naszej strony. W rzeczy samej, propaguje ona pod sztandarem nauki przekonanie o czystej i zwykłej bierności natury człowieka, którym w razie potrzeby – bez szkody moralnej i bardzo łatwo pod względem technicznym – można by manipulować i, jeśli to możliwe, manipulować bez jego wiedzy, w celu zapewnienia społeczeństwu stanu szczęśliwości. Ponieważ zostałem uformowany w taki sposób, żeby głosić zgoła odmienne zasady, i zawsze robiłem to aż do bólu, zdaję sobie w pełni sprawę, że człowiek może buntować się przeciwko takiemu podejściu do niego i nie chce przyjąć tego faktu do wiadomości. Niemniej jednak, pewnego dnia musiałem w końcu przyznać, że takowe przekonanie zagościło w Oświeceniu na dobre” – zauważył Martin. Ma się rozumieć, fanatyczne próby uszczęśliwienia ludzkości na siłę, stworzenia od zera nowego człowieka wolnego od przywar przeszłości, mogą być pokusą dla każdej epoki i każdego rodzaju ideologów, sęk jednak w tym, że nasza epoka wprost odwołuje się do oświecenia jako mitu założycielskiego współczesnych demokracji i towarzyszącego im „postępu”, którego kolejne rewolucyjne odłony i formatowanie kolejnych typów prawidłowego, szczęśliwego obywatela odbywają się na naszych oczach.

na ich czyny oraz myśli”. Martin puentuje zatem w kwestii konkordatu Napoleona: „Jeśli wszystko sprowadza się do materii i mechaniki, jeśli zatem człowiek ani nie jest wolny, ani nie ponosi odpowiedzialności, to znaczy, że »użyteczność wyznacza wszystkie granice« i można zrobić cokolwiek, byleby tylko spełnić to kryterium, albo coś jeszcze innego, również byle co, cały czas mając na uwadze kryterium użyteczności. Tak więc Bonaparte stawia czoła problemom jako wirtuoz konkretnego, a czyni to z elastycznością, na którą ideologom nie pozwala ich gorset mentalny. Wolter i Diderot, jeśli chcemy ograniczyć się tylko do nich, przyklasnęliby Konkordatowi z tego prostego powodu, że »sprowadzał kapłanów do poziomu istot pożytecznych oraz uzależnionych«”. Co do zasady reguły dekonstrukcji świata chrześcijańskiego zostały wyłożone ponad 200 lat temu, choć ich autorzy nie musieli przewidzieć ich wszystkich potencjalnych konsekwencji w wydaniu swych mentalnych spadkobierców.

W ostateczności oprócz wyważania spuścizny oświeceniowej, z jej atutami i bolączkami, ale z dala od sakralizacji, odkłamywanie podobnych mitów pozwala właśnie zrozumieć podstawy ideowe i przywary mentalne wciąż toczącej Zachód rewolucji, tym razem w wydaniu globalistów, którzy najwyraźniej ex officio przejęli od swych duchowych ojców

Kiedy ktoś był odmiennego zdania, Wolter potrafił poruszyć swe kontakty, by literackich wrogów zysłać do lochów

Ba, oświeceniowi ideolodzy potrafili nawet religię, w tym wypadku katolicką, poddać instrumentalnemu wykorzystaniu w ich zarządzaniu społeczeństwem, czego wyraźne reminiscencje widać i u globalistów, zręcznie wpłatających Kościół katolicki, a raczej jego hierarchię, w swe agendy – ekologiczne, zrównoważonego rozwoju, obyczajowe etc. Jak zauważał napoleoński jurysta Portalis, dzięki religii nawet ludzie niewierzący są powiązani z „pewnym rodzajem ducha ogólnego, który ich unosi wbrew ich woli i który do pewnego stopnia pozytywnie wpływa, bez udziału ich świadomości,

pochodnię światłości postępu ludzkości. Te mające jakże niskie i dehumanizujące mniemanie o człowieku elity nie cofną się przed manipulacją i socjotechniką, przy wsparciu o wiele potężniejszych dziś narzędzi od tych, które mieli do dyspozycji ideolodzy i prawnicy doby oświecenia, roszczący sobie ongiś prawo do „modelowania ludzkich osobowości”, do „rządu dusz, bez ich wiedzy”, by przytoczyć konkluzję ze znakomitych prac prof. Martina. A wszystko to najwyraźniej pod okiem, z „błogosławieństwem” i w imię Belzebuba, będącego im wszystkim ojcem.



Jan Parys

Czy urzędnicy byłego MSWiA powinni blokować budowę małych reaktorów jądrowych w Polsce?

Artykuł Piotra Ciompy opublikowany w tygodniku „Do Rzeczy” (10 czerwca) mnie nie zdziwił. Ministerstwo Spraw Wewnętrznych i Administracji w ostatnich latach nieraz kwestionowało duże projekty inwestycyjne Orlenu. Jak widać, osoby tam zatrudnione, mimo że odeszły ze stanowisk, chcą czynić to nadal. Mam wrażenie, że uzurpują sobie prawo do decydowania zamiast zarządu spółki i jej akcjonariuszy o kierunkach rozwoju tej firmy.

W swoim tekście pt. „Mały atom duża sprawa”, opublikowanym w tygodniku „Do Rzeczy” 6 maja, przedstawiłem stanowisko instytucji Unii Europejskiej w sprawie budowy SMR-ów [małe reaktory modułowe – przyp. red.]. Wskazywałem także na szansę, którą są inwestycje w SMR-y. Nie atakowałem żadnej osoby ani żadnej instytucji. Mimo to pojawiła się polemika ze strony byłego dygnitarza MSWiA.

Z tekstu polemiki wynika, że zwolennicy budowy SMR-ów dawniej w spółce Orlen, a teraz w Synthos Green Energy, wystawiają na hazard bezpieczeństwo energetyczne kraju i realizują jakieś iluzje. Jak wynika z tekstu Ciompy, Państwowa Agencja Atomistyki jest niekompetentna. Niekompetentni są także decydenci w Banku Gospodarstwa Krajowego, Funduszu Ochrony Środowiska, PKO BP, Banku Pekao S.A. i oczywiście w spółce Synthos Green Energy. Niemądrzy mają być również przedstawiciele Unii Europejskiej, którzy wspierają budowę SMR-ów w dokumentach zarówno Parlamentu Europejskiego, jak i w Komisji Europejskiej. Bardzo podejrzane są intencje senatorów USA, którzy zmieniali ustawodawstwo swego kraju, tak by umożliwić kredytowanie technologii nuklearnych. Złe intencje mają dyplomaci – autorzy programu z Phoenix w USA, który dąży do wspierania niezależności

energetycznej od Rosji państw flanki wschodniej przez zbudowanie energetyki nuklearnej opartej na SMR-ach. Jedynymi ludźmi, którzy znają się na atomistyce, są osoby zatrudnione w MSWiA! Nikt w Polsce poza tym resortem nie rozumie ani energetyki, ani bezpieczeństwa kraju. Jednak jakoś nie słyszałem ich głosu oburzenia, gdy zatrzymywano budowę elektrowni atomowej w Żarnowcu ani gdy ślimaczyły się prace przy projektach atomowych przed 2015 r. Odezwali się natychmiast wtedy, gdy ktoś w Polsce wziął się do roboty. Dziś sytuacja naszego kraju wygląda tak, że wszystkie kraje sąsiednie, nawet te dużo mniejsze, jak

Słowacja czy Białoruś, mają elektrownie jądrowe, a my nie posiadamy żadnej.

URZĘDNICZA KRYNICA MĄDROŚCI?

W Polsce mamy zjawisko, które się nie zdarza w żadnym demokratycznym państwie prawa. U nas MSWiA nie tylko opiniuje, lecz także chce decydować o rozwoju energetyki i o tym, który biznes jest właściwy oraz opłacalny. U nas jedynymi osobami, które rozumieją interesy i bezpieczeństwo państwa, mają być ludzie z MSWiA. Każdy, kto myśli inaczej niż oni, nie ma racji i jest podejrzany. To w tym resorcie są krynica mądrości

Atomowa niezgoda



Ludzie dawnego MSWiA nadal wkładają wiele wysiłku, by zablokować projekt Synthos Green Energy

technologii. Po prostu postanowiono wspierać inne firmy energetyczne. Jest to związane z wieloletnim uprzedzeniem do aktywności niektórych polskich menedżerów i polskich biznesmenów, którzy ośmielają się działać bez wcześniejszego porozumienia z ludźmi z MSWiA. Czy w Polsce każdy duży projekt ma się zaczynać od wysługiwania się ludziom z tego resortu? Kto im dał monopol na decydowanie o tym, jak rozumieć gospodarkę i bezpieczeństwo kraju? Czy rzeczywiście nikt inny nic w tej sprawie nie ma do powiedzenia? Czy naprawdę w Polsce nie ma innych ważnych instytucji ani lepszych ekspertów?

W swoim tekście nie odmawiałem żadnej firmie w Polsce prawa do stosowania jakiejkolwiek technologii. Proponowałem jedynie, by obok innych była możliwość stosowania również tej technologii, którą proponuje Synthos Green Energy. Zatem nie postulowałem, by komukolwiek zamykać drogę do innych rozwiązań. Proponowane przez Synthos Green Energy inwestycje i technologie nie mają istnieć zamiast lecz obok innych.

Obecnie ludzie dawnego MSWiA nadal wkładają wiele wysiłku, by projekt Synthos Green Energy zablokować, chociaż dobrze wiedzą, że inni inwestorzy w tej dziedzinie w Polsce są mało aktywni. Blokowanie tego projektu oznacza zatem de facto wstrzymanie budowy małych reaktorów, czyli zahamowanie ważnej części transformacji naszej energetyki. Mam poważne wątpliwości, czy taka postawa rzeczywiście dobrze służy polskiej racji stanu. Polska potrzebuje ludzi zdolnych coś budować, a nie takich, których cała energia koncentruje się na blokowaniu inicjatyw ludzi aktywnych. Bo przy takiej postawie energetyka jądrowa w Polsce nigdy nie powstanie.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

i prawo do decyzji. I biada komuś, kto te pozakonstytucyjne uprawnienia do wiedzy i władzy naruszy.

Uważam jednak, że nie po to obalano komunizm, by teraz wracać do czasów PRL, kiedy to MSW kontrolowało wszystkie dziedziny życia, decydowało, kto rządzi i kto ma prawo w co inwestować. W czasie ostatnich ośmiu lat Orlen nie działał pod dyktando MSWiA i dlatego osiągał duże zyski, a gdyby mu nie przeszkadzano, to byłyby one o wiele miliardów większe.

Autor polemiki z moim tekstem napisał, że nasz kraj nie ma kadr w dziedzinie

energetyki jądrowej.

Zatem wyjaśniam, że dopóki nie ruszą programy inwestycyjne w tej dziedzinie, dopóty ich nie będzie miał. Bo po co kształcić kadry, skoro nie ma dla nich miejsc pracy? Synthos Green Energy nie tylko przygotowuje inwestycje w SMR-y, lecz także zawarł porozumienia z kilkoma uczelniami wyższymi o uruchomieniu specjalności w tej dziedzinie.

LOBBING W MINISTERSTWIE

Z tekstu polemiki wynika jednoznacznie, że MSWiA ma najlepszych ekspertów na świecie w dziedzinie atomistyki, bankowości i biznesu. Dzięki nim odkryto spisek wielu sił, które chcą budować w Polsce SMR-y złego typu i w ten sposób działają na szkodę naszego państwa. Prawda jest zupełnie inna. W MSWiA nie ma żadnych ekspertów w wymienionych dziedzinach. Tam uprawia się po prostu lobbying związany ze stosowaniem innych

W Polsce MSWiA nie tylko opiniuje, lecz także chce decydować o rozwoju energetyki



Ekumenizm zamordowany



Paweł Chmielewski

Sześćdziesiąt lat po zadekretowaniu w Kościele dialogu ekumenicznego Franciszek... położył mu kres. Owszem, papież utrzymuje bliskie kontakty z liberalnymi protestantami, ale jedną radykalną decyzją całkowicie storpedował dialog z tymi chrześcijanami, z którymi był on sensowny

FOT. GREGORZ GAŁĄZKA/MONDADORI PORTFOLIO/GETTY IMAGES

23 maja prefekt Dykasterii Nauki Wiary kard. Victor Manuel Fernández odwiedził Kair. Cel jego wizyty był prosty: uratować dialog z Koptyjskim Kościołem Ortodoksyjnym, który pół roku wcześniej... sam zniszczył. Co takiego się stało? Koptowie nie stanowią przecież wielkiej wspólnoty: na całym świecie żyje ich tylko kilka milionów, w większości w Egipcie. Od Rzymu oddzielili się na skutek sporów chrystologicznych jeszcze w starożytności, dziś uchodzą za relatywnie bliskich katolikom.

W 1973 r. papież Paweł VI i koptyjski patriarcha Szenuda III podpisali wspólną deklarację, w której wyznali tę samą wiarę w Tróję Świętą. Otworzyło to nowy rozdział we wzajemnych kontaktach. Co więcej, w ostatnich latach Koptowie zostali szczególnie ostro dotknięci przez dżihad, co jeszcze bardziej zbliżyło ich do katolików. Wszyscy pamiętają wstrząsające obrazki z Libii znad brzegu Morza Śródziemnego: 21 chrześcijan w jaskrawych pomarańczowych ubraniach więźniarskich klęczących przy uzbrojonych w noże terrorystach. Zostali brutalnie

zamordowani przez bojowników Państwa Islamskiego za to, że nie chcieli przejść na mahometanizm. Wszyscy byli Koptami.

To m.in. w kontekście ich śmierci papież Franciszek mówił wiele razy o „ekumenizmie krwi”. W 2023 r. zdecydował się na niespotykany gest, włączając pomordowanych do Martyrologium Romanum, oficjalnego spisu świętych i błogosławionych Kościoła. Papież myślał też o ustaleniu z Koptami wspólnej daty świętowania Wielkanocy, co miało umocnić świadectwo wiary chrześcijańskiej wobec mahometan.

Nic z tego nie będzie. Koptowie, tak jak wielu innych chrześcijan na świecie, uznali, że Kościół katolicki... odszedł od Ewangelii w sprawie oceny homoseksualizmu. Bardzo źle przyjęli opublikowaną w grudniu 2023 r. deklarację doktrynalną „Fiducia supplicans” o błogosławieniu par jedнопłciowych i nieregularnych. Poprosili o wyjaśnienia, a wreszcie 7 marca tego roku wydali oświadczenie, w którym ogłosili zawieszenie trwającego ponad 50 lat dialogu z Rzymem. W krótkim dokumencie zamieścili też własną ocenę aktów i związków homoseksualnych, zresztą

całkowicie zgodną z prawem naturalnym i Tradycją samego Kościoła katolickiego.

KOPTOWIE POTRAFIĄ CZYTAĆ

Dla papieża i Fernándeza był to potężny cios wizerunkowy. Kardynał podjął dłatego próbę załagodzenia sytuacji. Jak podały oficjalne media watykańskie, 23 maja spotkał się z Teodorem II w dobrej atmosferze. Miał zapewnić patriarchę Koptów, że Rzym wyznaje w pełni chrześcijańską wiarę i ma dokładnie te same przekonania odnośnie do homoseksualizmu co Koptowie. „Fiducia supplicans” – miał mówić Fernández Teodorowi – pozwala tylko na spontaniczne błogosławienia, bez żadnej formy aprobaty dla jedнопłciowego związku; nie pozwala też błogosławić par homoseksualnych „jako takich”. Po spotkaniu zamieszczono kilka miłych zdjęć, mających podkreślać, że wszystko jest w jak najlepszym porządku. Cóż, nie jest. Komunikat zamieszczony na oficjalnej stronie Koptów nie pozostawia tu złudzeń: Teodor II wprawdzie wysłuchał zapewnień Fernándeza, ale przywrócenia dialogu nie będzie. Koptowie potrafią czytać. „Fiducia supplicans” jest dostępna na stronie Watykanu

i każdy może sam zobaczyć, że dokument pozwala na błogosławienie par homoseksualnych, po prostu i bez żadnego „nie jako takie”. Franciszek i Fernández przejdą niewątpliwie do historii jako ci, którzy po prostu zepsuli relację z wiernymi Ewangelii Koptami.

SPÓR DOKTRYNALNY

W stanie agonalnym znajduje się obecnie również dialog z rosyjskim prawosławiem. Nie chodzi tylko o wojnę. Owszem, o nią też. Konflikt w oczywisty sposób utrudnił relacje Watykanu z Moskwą, ale w długiej perspektywie o wiele większym problemem jest ponownie... „Fiducia supplicans”. Kłopoty polityczne ostatecznie mogłyby zostać rozwiązane po ewentualnym zawarciu porozumienia przez Rosję i Ukrainę. Tymczasem spór doktrynalny o ocenę homoseksualizmu pozostanie żywy przez lata. Fakt kompletnego zignorowania przewidywanej reakcji prawosławnych przy ogłaszaniu dokumentu o LGBT jest zaskakujący. Franciszek od 2013 r. wielokrotnie wyrażał się przychylnie o prawosławiu. W 2016 r. na lotnisku w Hawanie doszło do pierwszego w historii spotkania papieża z patriarchą Moskwy, zwieńczonego przyjęciem wspólnej deklaracji wyrażającej wolę współpracy i dialogu. Franciszek dbał też o dobre relacje z metropolitą Hilarionem, przez lata szefem wydziału spraw zagranicznych patriarchatu Moskwy, od 2022 r. metropolity Budapesztu. Jeszcze w 2023 r. Hilarion wyrażał się o Jorge Mario Bergoglio w samych superlatywach. Zdarzało się też, że Watykan rezygnował z podejmowania progresywnych decyzji w obawie przed reakcją Cerkwi, np. w sprawie interkomunii z protestantami. Miano nadzieję na zacieśnianie kontaktów. Progejowska „Fiducia supplicans” wszystko to zniszczyła. Kilka dni po jej ogłoszeniu Hilarion ogłosił, że w obecnej sytuacji nie ma sensu mówić o zjednoczeniu prawosławia z Rzymem. 20 lutego komisja teologiczna patriarchatu Moskwy stwierdziła z kolei, że „Fiducia supplicans” stanowi zerwanie z tradycją chrześcijańską. To ciężkie oskarżenie. Ale czy nieadekwatne? W kwietniu Franciszek wykonał nieoczekiwany gest: przywrócił w swojej tytulaturze historyczny tytuł „patriarchy Zachodu”, z którego w 2005 r. zrezygnował Benedykt XVI. Odczytano to jako chęć nawiązania do tradycji prawo-

sławnej i próbę załagodzenia kryzysu w dialogu z Moskwą. Efektów jednak nie widać, w obliczu zgorszenia „Fiducia” jeden historyczny tytuł to doprawdy za mało.

Franciszek to papież, który o ekumenizmie mówił bardzo wiele. W najważniejszych dokumentach swojego Synodu o synodalności pozwalał albo nakazywał wpisywać tysięczne zapewnienia o głęboko ekumenicznej przyszłości Kościoła. Zapowiadał nawet reformę samego papieństwa, tak by pogłębić dialog. A jednak to właśnie on wyrzucił dialogowi ekumenicznemu gigantyczne szkody. Ciekawe, że właśnie w tym roku, 21 listopada, minie 60 lat od przyjęcia przez Sobór Watykański II słynnego dekretu „Unitatis redintegratio” o ekumenizmie. Dla historyków chrześcijaństwa ta data będzie stanowić ważną cezurę: będzie być może tożsama z kresem epoki powszechnego dialogizmu. Franciszek postawił na „wyłączenie” kontaktów z ortodoksyjnymi chrześcijanami, kontynuując współpracę jedynie z tymi, którzy zgadzają się z dogmatami liberalizmu. Papieżowi jest najbliższe do anglikanów, których regularnie zaprasza do sprawowania nabożeństw w rzymskich kościołach. Problem w tym, że anglikanie są dziś coraz dalsi od... Ewangelii, ze względu na kwestie dyscyplinarne (kapłaństwo kobiet), moralne (homoseksualizm) i doktrynalne (cała masa spraw, od Eucharystii poczynawszy). Naprzód pędzi też dialog z liberalnymi protestantami – w takich krajach jak Niemcy, Holandia albo Belgia różnice pomiędzy nimi a katolikami już praktycznie nie występują, wszyscy spotykają się na wspólnych celebracjach kościelnych nastawionych na „upamiętnianie Jezusa” i kulturowanie jedności. Ekumenizm nigdy nie miał większego sensu, na ogół „dialog” sprowadzał się do przebudowywania Kościoła katolickiego w duchu oczekiwany przez schizmatyków i heretyków, czego najlepszym przykładem są reformy liturgiczne wdrożone w życie przez papieża Pawła VI. Dzisiaj – w wydaniu Franciszka – nie ma już sensu dosłownie żadnego.

Nie chodzi o to, by zrywać kontakty katolików z innymi chrześcijanami. Na pewnym poziomie ekumenizm może przynosić wiele dobrego w takich obszarach jak Bliski Wschód czy Afryka, gdzie wyznawcy Chrystusa spotykają się z brutalną przemocą. Trudno jednak nazwać go „dialogiem ekumenicznym” w sensie,

który nadało temu pojęciu środowisko liberalnych katolików forsujących je po Soborze Watykańskim II. To raczej zwykłe relacje międzyludzkie, odkładanie na półkę trudnych zagadnień doktrynalnych czy jurysdykcyjnych w obliczu cierpienia i wspólnego świadectwa wiary w Chrystusa aż do śmierci. Taki „ekumenizm” ma niewątpliwie przyszłość, inny – nie.

W związku z Franciszkowym storpedowaniem dialogu z częścią chrześcijan, a także przy okazji 60. rocznicy „Unitatis redintegratio” warto w najbliższych miesiącach na poważnie przemyśleć przyszłość ekumenizmu w Polsce. W naszym kraju – przede wszystkim z racji na nikłą obecność protestantów – nie był nigdy szczególnie zaawansowany. Mówiąc szczerze, prawie nikogo to nie interesuje. Po co zajmować się dialogiem z tymi, których niemal nie ma? Mały zapal ekumeniczny Kościół w Polsce był zawsze solą w oku części grup progresywnych, a także tych hierarchów, którzy z mniej lub bardziej oczywistych przyczyn lubią zachowywać wysoką „poprawność eklezyjalną”. Ostatnio z dziwną inicjatywą wystąpił np. bp Jacek Jezierski, ordynariusz Olsztyna, w Episkopacie Polski zajmujący się właśnie ekumenizmem. Zaproponował intensyfikację obchodów tzw. Tygodnia Modlitw o Jedność Chrześcijan. Nie w tym sensie jednak, by katolicy modlili się albo pościli w intencji nawrócenia schizmatyków. Chodziłoby raczej o... „ogólnopolską transmisję centralnego nabożeństwa ekumenicznego” odprawianego w tym „Tygodniu”. W jakim celu? Czy katolicki biskup powinien dbać o to, by jak największa grupa Polaków widziała w jednej świątyni księży modlących się razem ze schizmatykami, w dodatku ustawionych tak, jakby wszyscy byli sobie równi? To przecież wyłącznie promocja relatywizmu, Polsce, szczególnie dziś, doprawdy niepotrzebna. Można mieć nadzieję, że takich pomysłów nikt nie podejmie, tym więcej – prawdziwych problemów nie brakuje. W Polsce mieszka przecież ogromna rzesza prawosławnych chrześcijan z Ukrainy. Czekają na to, by odkryć katolicyzm, i przemyślana strategia Episkopatu mogłaby im w tym pomóc. Oczywiście pod warunkiem, że uda się ich przekonać do zignorowania deklaracji „Fiducia supplicans”. Bez tego apostolat może być trudny...



Filip Obara

Książka Denikina to kronika, a także próba udzielenia odpowiedzi na dramatyczne i do dziś aktualne pytania: Czy cywilizacja stoi ponad narodowością i czy powinniśmy odłożyć na bok dawne konflikty i krzywdy, by bronić tego wyższego dobra, bez którego wszyscy będziemy wydani na pastwę barbarzyństwa?

Cygara dla pana generała. Kubańskie – powiedział krępy, wysoki mężczyzna, niestary, lecz o wejrzaniu zdradzającym bagaż ciężkich ponad wiek doświadczeń.

– Bóg zapłać – odrzekł spod sumiastego wąsa Denikin i, uśmiechając się dobrotliwie, przyjął pudełko z cedrowego drewna zdobione hiszpańskimi napisami.

Stanęli naprzeciwko siebie. Nie musieli nic mówić. Ich oczy spotkały się w pełnym zrozumienia spojrzeniu. Dawniej towarzysze broni, dowódca i podkomendny, dziś – zrównani przez los jako wygnańcy z dala od ojczyznej ziemi. Oficer zaszalutował, a na twarzy generała znów pojawił się uśmiech. Z szacunkiem podniósł palce do czoła, a jego pierś uniosła się delikatnie i zastygła. Żołnierz oddalił się, a Denikin powoli wypuścił powietrze. Zamyślił się i wrócił do pracy.

Po chwili dał się czuć charakterystyczny aromat tytoniu, przywodzący na myśl czasy, gdy jako dowódca Armii Rosyjskiej pochylał się nad mapą w towarzystwie swego sztabu. Czara wspomnień przelała się nad biurkiem pełnym kajetów i luźnych notatek. Pióro poszło w ruch...

Taki obrazek przyszedł mi do głowy na marginesie pracy nad tłumaczeniem „Białej Armii” Antona Denikina. Rzecz, choć zmyślona przez piszącego te słowa, działa się w Londynie, gdzie legenda ruchu antybolszewickiego faktycznie przygotowywała nowe wydanie swego monu-

Z drugiej strony piekła



Generał Anton Denikin

FOT. DOMENA PUBLICZNA

mentalnego opracowania poświęconego rewolucji w Rosji – tym razem streszczone dla zagranicznych czytelników.

Anton Iwanowicz Denikin – notabene pół-Polak (z matką rozmawiał wyłącznie po polsku) – był generałem Armii Imperium Rosyjskiego. W przededniu rewolucji bolszewickiej poparł tzw. pucz Korniłowa, za co został osadzony w obozie w Bychowie. Uwolniony przez polskie stráže i posługując się fałszywymi papierami, dotarł do wojsk rosyjskich formujących się pod komendą generałów Korniłowa i Aleksiejewa. Współtworzył Armię Ochotniczą, a po śmierci obu wspomnianych generałów przejął dowodzenie. Po zamordowaniu przez bolszewików adm. Kołczaka Denikin skupił w swoich rękach całą władzę wojskową i cywilną, do tytułu naczelnego wodza dodając godność Wielkorządcy Państwa Rosyjskiego. Kierował ruchem antybolszewickim do roku 1920, kiedy to przekazał dowodzenie na ręce gen. Piotra Wrangla. Na emigracji prowadził działalność pisarską, społeczną i wykładowczą, jednocząc środowiska emigracji rosyjskiej i – ze względu na szacunek, którym darzono go na świecie – przekonywał Zachód o konieczności zdławienia ruchu bolszewickiego, który nie zamierza utrzymać swojej ekspansji wyłącznie w granicach Rosji.

DRAMATYCZNE PYTANIE

„Biała Armia” ukazuje się w Polsce po raz pierwszy. Ktoś mógłby powiedzieć, że moment jest niewłaściwy. Trwa przecież wojna na Ukrainie, a na całym świecie słychać utyskiwania na temat odrodzenia się rosyjskiego imperializmu. Ale czy możemy sprowadzić tę kartę historii do kłisz powtarzanych przez media? Otóż i tak, i nie...

Tak – ponieważ właśnie wtedy ważyły się losy Rosji i świata, a dziś Rosja powinna zadać sobie pytanie, do czego jej bliżej: do dziedzictwa pisanego bohaterską krwią przez ruch białych czy też do tej drugiej czerwieni – bolszewickiej, dzikiej i lekceważącej wszelkie zasady. Nie – gdyż „Biała Armia” skrywa w sobie znacznie więcej, niż mogłoby się zmieścić w formatach telewizyjnych, prasowych czy youtube’owych.

Książka Denikina to kronika, a także próba udzielenia odpowiedzi na drama-

tyczne i do dziś aktualne pytanie: Czy cywilizacja stoi ponad narodowością i czy powinniśmy odłożyć na bok dawne konflikty i krzywdy, by bronić tego wyższego dobra, bez którego wszyscy będziemy wydani na pastwę barbarzyństwa?

Nie mniej dramatyczna jest odpowiedź, której udziela autor. Opisuje on, z jaką obojętnością i krótkowzrocznością ówczesne elity polityczne reagowały na sytuację w Rosji. Słyszymy o szumnych obietnicach bez pokrycia (które tak dobrze znamy z własnej historii), podczas gdy po cichu państwa ententy – a z drugiej strony Niemcy – zacierały ręce na

i uzbrojenia – z heroicznym poświęceniem odniosła pierwsze zwycięstwo nad 10-krotnie liczniejszą Armią Czerwoną w tzw. pierwszej kampanii kubańskiej. Niejeden wątek z książki wprost nadawałby się na film, i to na spektakularną oraz trzymającą w napięciu produkcję z Mattem Damonem – jak choćby dzieje charyzmatycznego płk. Drozdowskiego, który na piechotę, ignorując polecenia przełożonych, przeprowadził swój oddział z rumuńskiego frontu, by w decydującym momencie wesprzeć rosyjskich ochotników stawiających czoła czerwonemu terrorowi.

Niejeden wątek z książki wprost nadawałby się na film, i to na spektakularną oraz trzymającą w napięciu produkcję z Mattem Damonem

myśl o korzyściach, które przypadną im w udziale, gdy biali z czerwonymi pogrążą kraj w chaosie.

Niemiała rola w sprawie przypadła też Polsce. Denikin opisuje rozmowy z Polską Misją Gospodarczą i Wojskową w Taganrogu, która zapewniała o chęci wspólnej walki z bolszewikami, gdy tymczasem w skrytości zapadło porozumienie pomiędzy marszałkiem Józefem Piłsudskim a Włodzimierzem Leninem.

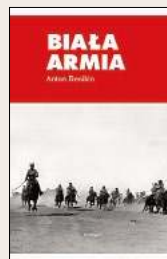
Biali oskarżali nas, że wycofując się z frontu antybolszewickiego w roku 1919, a potem dogadując się z bolszewikami w roku 1921, sprawiliśmy, iż wszystkie siły czerwonych zostały rzucone przeciwko nim. My bronimy się, że sami byliśmy słabi (próbując scalić ziemie i ludność trzech zaborów), a dowództwo białych nie chciało uznać Polski większej niż w granicach Królestwa Kongresowego.

GORZKA LEKCJA

„Biała Armia” to doskonały przyczynek do pogłębienia dyskusji na ten temat, a do tego kawał dobrej literatury, szczególnie gdy czytamy o początkach Armii Ochotniczej, która w siarczystym mrozie – bez należytego ekwipunku

Jednocześnie gen. Denikin ma tę zdolność, która jest właściwa tylko wprawnym pisarzom, aby z natłoku skomplikowanych faktów uczynić spójną narrację. Opowieść jest strawną dla czytelnika i porywa uwagę, nawet jeżeli nie posiadamy szerokiej kontekstualnej wiedzy na temat epoki. Choćby z tego względu warto dać głos „drugiej stronie” i posłuchać, co ma do powiedzenia na temat piekła, które na rosyjskiej ziemi zgotowali bolszewicy, zanim zawładnęli lwiałą częścią Europy. Zwłaszcza gdy rozważymy słowa Denikina, dla niektórych być może kontrowersyjne: „Nie można zrównywać ZSRR z Rosją, władzy radzieckiej z narodem rosyjskim, kata z ofiarą”.

Dziś wiemy, jak skończyła się ta historia. Kalkulacje Zachodu, w tym naszych polityków, spaliły na panewce. Bolszewizm nie upadł „samoistnie”, lecz rozszerzył się po Europie, a ideologicznie – nawet poza jej granicami. Mentalność, która pozostała nam po przeoraniu przez ten reżim, do dziś daje się we znaki. Dlatego warto poznać historię tych, którzy położyli swoje życie na szali, by ratować świat przed nieszczęściem komunizmu. Gorzka lekcja z ich tragicznie zakończonej walki pozostaje bowiem niepokojąco aktualna. © Wszelkie prawa zastrzeżone



**ANTON DENIKIN,
„BIAŁA ARMIA”
PRZEKŁAD
Z JĘZYKA
ANGIELSKIEGO:
FILIP OBARA,
WARSZAWA 2024,
WYDAWNICTWO
DEREGGIO**



LESZEK ŻEBROWSKI

KOMUCHOŻERCA

„Sprawa szwedzka”

To jedno z najbardziej bulwersujących do dziś wydarzeń z czasu okupacji niemieckiej. Gdyby nie konkretny meldunek Delegatury Rządu (z 12 stycznia 1943 r.), zapewne już dziś nie byśmy o niej nie wiedzieli. A było tak: Polonia amerykańska zbierała fundusze na pomoc okupowanej Polsce, przeznaczone dla jej uciśnionych obywateli. Za pieniądze można było przecież załatwić prawie wszystko. Był tylko podstawowy problem: jak dostarczać zebrane fundusze do kraju.

Sposób się znalazł dzięki zaprzyjaźnionym obywatelom Szwecji, kraju neutralnego, który miał swe przedstawicielstwa handlowe i przemysłowe w okupowanej Polsce. Sven Norrman, oficjalnie dyrektor firmy ASEA, był potajemnie kurierem, który dostarczał do Warszawy pieniądze, korespondencję i dokumenty dla podziemia. W tę akcję włączeni byli przez niego również jego pracownicy. Po stronie polskiej byli to funkcjonariusze Delegatury Rządu na Kraj. Polacy dostarczali im m.in. dokumentację trwającego już wówczas Holokaustu Żydów.

W lipcu 1942 r. Niemcy wpadli na ślad tej „przestępczej” działalności, aresztując zarówno wielu Szwedów, jak i ok. 100 Polaków. Sprawa zatoczyła szerokie kręgi i nie bardzo było wiadomo, co było przyczyną potężnej wyspy. Wyjaśnia to wspomniany meldunek DR. Zbierane w USA fundusze na pomoc dla

polskich obywateli dzielono na dwie części (według ustalonego wcześniej rozdzielnika): na organizację niepodległościową i ich działalność, na pomoc więźniom politycznym i ich rodzinom, a część przeznaczano na pomoc dla getta. Według tego meldunku Żydzi zaczęli żądać większych kwot, szantażowali komitet dysponujący pieniędzmi, wreszcie zadunucjowali go Niemcom. Rozpoczęły się aresztowania. Około 30 osób przewieziono do Berlina.

Ożycie aresztowanych Szwedów zabiegał król. Zapadły wyroki śmierci, ale jego interwencja uratowała im życie. Na skutek skomplikowanych operacji (dostarczanie przez Szwecję łóżysk kulkowych) zostali odesłani do Szwecji. O Polaków nikt nie mógł się upomnieć. Stąpali oni przed sądem wojennym Rzeszy i otrzymali kary śmierci „za zdradę stanu”. Skazani Polacy odrzucili możliwość starania się o łaskę (zresztą i tak nie mieli na nią żadnych szans). Prosimi tylko o jedno – aby nie powiadamiać rodzin przed wykonaniem wyroku. Ich egzekucja według meldunku miała miejsce w grudniu 1942 r.

Wielu innych trzymano na Pawiaku i skazano na obozy koncentracyjne, gdzie (jako szczególnie niebezpieczni wrogowie Rzeszy) nie mieli szans przeżyć.

Sven Norrman nie jest w Polsce upamiętniony, jak również polskie ofiary tej drastycznej sprawy. ©©



SŁAWOMIR KOPER

HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

Skandaliczni rockmani PRL

O członkach kapel rockowych zawsze mawiano, że nie wylewają za kołnierz, i także w grupie Lady Pank alkohol łął się strumieniami. Regularne sięganie po trunki uważano zresztą za rodzaj ochrony psychicznej, gdyż w pierwszym roku działalności zespół zagrał aż 368 (!) koncertów. Pewien dziennikarz wręcz określił ich trasy koncertowe „fabryką małp”. Andrzej Mogielnicki skrzętnie wykorzystał tę frazę w 1983 r., pisząc jedną z piosenek do pierwszego longplaya i nawet nadając jej taki tytuł.

„Myśmy w trasie dziczeł – przyznawał lider, Jan Borysewicz. – Było dużo alkoholu, szliśmy pełnym ogniem, w totalnym szwungu zabawowym. To nie było tak, że jedziemy na koncert, wracamy wieczorem, wypijemy sobie po jednym piwku, idziemy spać, bo rano znowu wyjeżdżamy. W ogóle nie było spania. Z jednego koncertu jechaliśmy na drugi, cały czas balując. Gdy wracaliśmy do Warszawy i mieliśmy kilka dni przerwy, mieszkaliśmy w hotelu Forum i tam przyjeżdżali do nas różni muzycy, artyści. Balanga trwała non stop”.

Nikt nie myślał o konsekwencjach zdrowotnych, inna sprawa, że na trasie zawsze czekali umówieni lekarze, którzy co kilka dni podłączali członków grupy do „szybkich kroplówek, które stawiały na nogi”. Nie zmienia to jednak tego, że czasami muzycy Lady Pank przesadzali z alkoholem

nawet przed koncertami. Basista Paweł Mściśławski zniknął kiedyś tuż przed występem, a gdy go odnaleziono w jakimś barze, nie był w stanie wyjść na scenę. Grupa zagrała w czwórce, a Borysewicz z drugim gitarzystą, Edmundem Stasiakiem, zamieniali się instrumentami. Raz jeden z nich grał na gitarze prowadzącej, podczas gdy drugi na basie, a potem odwrotnie. Natomiast perkusistę Jarosława Szlagowskiego zabrała kiedyś z hotelu karetka, „bo już nie dawał rady z przemęczenia balangowaniem”.

Zczasem wódkę zastąpiła whisky, muzycy zarabiali wystarczająco dużo, by robić zakupy w pewek-sach. Po dużych dawkach alkoholu dostawali jednak małego rozumu i zachowywali się skandalicznie. Pobili w windzie hotelowej członków forum ekonomicznego, załadowali tortem buty przypadkowego uczestnika libacji, wyrzucali telewizory przez okna, wyrwali szklane drzwi z zawiasów. Nic zatem dziwnego, że Lady Pank zaczęto uważać za najniebezpieczniejszy zespół w Polsce.

Mimo to, gdy 20 czerwca 1983 r. ukazał się debiutancki album grupy, sześć pochodzących z niego utworów zajęło pierwsze miejsca na Liście Przebojów Programu Trzeciego Polskiego Radia. Nigdy wcześniej ani później żadne polskie wydawnictwo płytowe nawet nie zbliżyło się do tego rezultatu. ©©

HISTORIA
DO RZECZY

NAJNOWSZY NUMER JUŻ W SPRZEDAŻY!



ZATRUTE OWOCE '68

Szał na ulicach Paryża – Zrewoltowani studenci domagali się odrzucenia „starego świata” i wszelkich autorytetów. Ich postulaty w ogromnej mierze trafiły po latach do mainstreamu

Czerwone pacyfki – W czasie zimnej wojny „obrońcy pokoju” na Zachodzie dużo chętniej krytykowali militarystykę amerykańską niż sowiecką

Rewolwer zamiast megafonu – Fala czerwonej przemocy zalała Niemcy i Włochy. Lewacy terroryści wzięli tam na celownik wielki biznes i instytucje państwowe

Holenderski oprawca Rzeczypospolitej – Ogromny wpływ na gospodarczy, a w konsekwencji również polityczny upadek państwa Polaków i Litwinów miały Niemcy

Niewolnicy Waszyngtona – Pierwszy prezydent Stanów Zjednoczonych był plantatorem i właścicielem kilkuset Murzynów. Czy zostanie strącony z cokołów?

Zatruty puchar królowej – Bona zgromadziła w czasie pobytu w Polsce wielki majątek. Bogactwo sprowadziło na nią ostatecznie nieszczęście

I WIELE, WIELE WIĘCEJ
CZYTAJ TAKŻE NA **HISTORIA.DORZECZY.PL**

Marine Le Pen u progu władzy



FOT. STEPHANE DE SAKUTIN/AP/EAST NEWS



Olivier Bault

Wybory do Parlamentu Europejskiego pokazały, że Francuzi zwracają się ku prawicy. Prezydent postawił na rozwiązanie parlamentu i wcześniejsze wybory. Jaka będzie przyszłość nad Sekwaną?

Francja jest zawsze bardzo dobrym wskaźnikiem przyszłości Europy, ponieważ to zwykle we Francji wszystko się zaczyna – czy to rewolucja francuska, czy cokolwiek innego. Myślę więc, że pod wieloma względami Francja jest prekursorem. Niewiele jest krajów europejskich, w których kryzysy gospodarczy, instytucjonalny i migracyjny przybrały tak zaawansowaną i problematyczną postać, a to, że duża część Francuzów jest już gotowa życzyć sobie silnego człowieka, męża opatrnościowego, jest, jak sądzę, wskaźnikiem tego, co będzie się działo coraz częściej w innych

krajach europejskich”. Te słowa wypowiedział w kwietniu belgijski historyk David Engels, specjalista od starożytnego Rzymu, w rozmowie ze mną na temat podobieństw między późnym okresem Republiki Rzymskiej a dzisiejszą Unią Europejską (całość rozmowy można znaleźć na kanale YouTube Instytutu Ordo Iuris pt. „Na drodze do imperium – UE jak Republika Rzymska w I wieku p.n.e.”).

W I w. p.n.e. Republika Rzymska pogrążała się w ciągłym kryzysie z przyczyn zaskakująco podobnych do dzisiejszych bolączek Europy (masowa imigracja, kryzys tożsamości, upadek

religijności i obyczajów, deficyt urodzeń, itp., itd.). W końcu przyszła konserwatywna rewolucja pierwszego cesarza Augusta, a rzymskie imperium zostało zachowane. Doznało nawet dalszej ekspansji, ale już bez dawnego ustroju demokratycznego, co wielu Rzymian przyjęło z ulgą.

OBIECUCJĄ PORZĄDEK

Mówiąc o poszukiwaniu „silnego człowieka, męża opatrnościowego”, prof. Engels odnosił się w tej rozmowie do sondażu z lutego br. Wynikało z niego, że 34 proc. Francuzów chciałoby mieć na czele kraju silnego człowieka, który nie musiałby zwracać sobie głowy parlamentem czy wyborami, a 23 proc. chciałoby, aby krajem rządziła armia.

Nie powinno więc dziwić, że partia, która obiecuje, iż przywróci porządek i bezpieczeństwo oraz zatrzyma masową imigrację, cieszy się rosnącym poparciem pomimo całej narracji o tym, że jest groźną dla demokracji „skrajną prawicą”. Ta narracja przestała po prostu przekonywać, a wyniki wyborów do Parlamentu Europejskiego we Francji okazały się zgodne z prognozami. Przy wysokiej jak na te wybory frekwencji – na poziomie 51,5 proc. (najwięcej od 30 lat) – Zjednoczenie Narodowe (RN), startując samodzielnie, otrzymało ponad 31 proc. głosów. Centrowa koalicja prezydencka, składająca się z pięciu partii, w tym Renaissance (Odrodzenie) Emmanuela Macrona, z trudem zdołała zachować drugie miejsce z ostatnich wyborów, ale z wynikiem już poniżej 15 proc., przed Partią Socialistyczną (niecałe 14 proc.) oraz przed skrajną (islamo)lewicą Mélenchona (poniżej 10 proc.), centroprawicową partią Republikanie (trochę ponad 7 proc.), Zielonymi (5,5 proc.) i partią Rekonkwisty Zemmoura, lokującą się na prawo od RN (niecałe 5,5 proc.).

W wielu krajach Europy Zachodniej prawica konserwatywna, suwerennościowa, a czasem i nacjonalistyczna wyraźnie poprawiła swoje wyniki sprzed pięciu lat. W kilku krajach – we Francji, Włoszech, Belgii i Austrii – takie ugrupowania otrzymały najwięcej głosów. W największym kraju Unii, Niemczech, Alternatywa dla Niemiec (AfD), pomimo brutalnej wojny, którą wytaczają przeciwko niej pozostałe partie wraz

z głównymi mediami kraju, uplasowała się na drugim miejscu po centroprawicowej CDU, z wynikiem niemal 16 proc. głosów. Nawet relatywnie słaby wynik hiszpańskiej partii VOX (niecałe 10 proc.) jest i tak o połowę lepszy, niż uzyskany w poprzednich wyborach do Parlamentu Europejskiego.

W Parlamencie Europejskim wiele to jednak nie zmieni. Największa frakcja, centroprawicowa Europejska Partia Ludowa, polepszyła swój stan posiadania o 10 europosłów i nadal będzie miała większość, choć mniejszą niż do tej pory, w koalicji z liberałami i socjalistami. Okazuje się więc, że Ursula von der Leyen ma szansę zostać wybrana na drugą kadencję, pomimo krytyki, i to nawet ze strony przewodniczącego Rady Europejskiej Charles’a Michela, który na początku miesiąca skarżył się na to, że obecna komisja była zbyt upolityczniona i nie przestrzegała traktatowego wymogu bezstronności w stosunkach z państwami członkowskimi, co zdaniem Michela wzmocniło argumenty przeciwników większej integracji UE (której jest zwolennikiem).

ZAGRYWKA MACRONA

To, co może natomiast istotnie zmienić sytuację w Brukseli, to nie lży liberalnego premiera Belgii, gdy podał się do dymisji tuż po ogłoszeniu wyników exit poll, ale zagrywka prezydenta Francji. Ten 9 czerwca wieczorem, reagując na upokarzającą porażkę swojego obozu, ogłosił rozwiązanie Zgromadzenia Narodowego i rozpisanie przyspieszonych wyborów na 30 czerwca i 7 lipca. Porażka w wyborach europejskich była tym bardziej bolesna dla Emmanuela Macrona, że eurofederalizm i zastąpienie francuskiej suwerenności bliżej nieokreśloną „suwerennością europejską” to istotny element jego programu. Przyczynił się on zresztą w niemałym stopniu do uruchomienia w listopadzie ubiegłego roku procesu głębokiej reformy traktatów europejskich, w której to sprawie alarmował w Polsce zwłaszcza europoseł Jacek Saryusz-Wolski.

Czy partia Marine Le Pen będzie zatem rządziła Francją po 7 lipca, a jej młody przewodniczący Jordan Bardella stanie się nowym premierem, kładąc kres projektowi tworzenia europejskiego

superpaństwa? W niedzielę 9 czerwca RN pobiło bowiem kolejne rekordy, wprowadzając do europarlamentu największą grupę posłów ze wszystkich krajów (30, czyli o jednego więcej niż niemiecka CDU). Razem z pięcioma europosłami Rekonkwisty Zemmoura (frakcja EKR) na 81 europosłów Francja będzie teraz miała 35 o zabarwieniu wyraźnie suwerennościowym.

Dzień po wyborach Philippe Olivier, szwagier Marine Le Pen i jeden z jej najbliższych doradców, a także europoseł, wyjaśniał w rozmowie z Radio Courtoisie, że trzy największe priorytety francuskiego RN w nowym Parlamencie Europejskim to: zmiana paktu migracyjnego, aby zamiast relokacji była skuteczna walka z nielegalną imigracją na granicach zewnętrznych Unii (RN chce jednocześnie przywrócić kontrole na francuskich granicach i ograniczyć swobodę przemieszczania się do obywateli krajów UE), głęboka zmiana Zielonego Ładu oraz zablokowanie toczącej się reformy traktatów europejskich.

W Parlamencie Europejskim francuskie RN nie będzie jednak w stanie nic zrobić. Natomiast jeśli partia Marine Le Pen wygra przyspieszone wybory, które prezydent Macron rozpiął po ogłoszeniu wyników, to sytuacja będzie zgoła inna.

Wybory te odbywają się w systemie większościowym w 577 jednomandatowych okręgach wyborczych. Jeśli w pierwszej turze żaden z kandydatów nie otrzyma poparcia co najmniej 50 proc. głosujących, to wtedy organizowana jest druga tura. Może w niej brać udział każdy kandydat, który otrzymał w pierwszej turze poparcie co najmniej 12,5 proc. uprawnionych do głosowania. Dlatego też w drugiej turze może być więcej niż dwóch kandydatów, a nawet czasami więcej niż trzech. W tej sytuacji ważne są sojusze zawarte przed każdą z tur, jako że partie mogą wycofać swoich kandydatów i popierać kandydatów innej partii, często na zasadzie wzajemności, w zależności od tego, którzy z kandydatów mają największe szanse w poszczególnych okręgach wyborczych.

Do tej pory udawało się ograniczać do minimum obecność partii Le Penów w Zgromadzeniu Narodowym, choć w wyborach z 2022 r., pomimo tego

■ (już słabnącego) kordonu sanitarnego, Zjednoczenie Narodowe zdobyło po raz pierwszy aż 89 mandatów poselskich.

Dziś jednak sytuacja jest zupełnie inna. Tak zwany front republikański, czyli polityczny kordon sanitarny we francuskim wydaniu, przestał funkcjonować. Wśród najważniejszych przyczyn można wymienić: powagę sytuacji w oczach wielu zwykłych Francuzów, a także dziennikarzy i polityków, jeśli chodzi o niekontrolowaną imigrację (odnotowano kolejny rekord w 2023 r., na poziomie pół miliona nowych imigrantów), obecność w koalicji, którą lewica uformowała pod znamieną nazwą „Front Ludowy” nazajutrz po rozpisaniu wyborów, radykalnej islamolewicy Jeana-Luca Mélenchona oraz – last but not least – topnienie centroprawicy, które powoduje, że Zjednoczenie Narodowe ugruntowało swoją pozycję głównej partii na prawicy we Francji.

Warto też zwrócić uwagę na to, że słabym punktem RN zawsze był jego program gospodarczy, cechujący się brakiem spójności. Natomiast w sytuacji, gdy rządzący liberałowie doprowadzili do największego zadłużenia państwa w historii V Republiki, na poziomie ponad 110 proc. PKB przy deficycie finansów publicznych na poziomie 5,5 proc. PKB w ubiegłym roku, co przyczyniło się do obniżenia oceny Francji przez agencje ratingowe w tym roku, argument ten – wymierzony przez obóz władzy w Zjednoczenie Narodowe – jest obosieczny. Tym bardziej że rosnące pod rządami Emmanuela Macrona zadłużenie Francji nie przekłada się – wręcz przeciwnie – na widoczne polepszenie infrastruktury i usług publicznych.

ZWIASTUN SZEROKIEGO POPARCIA

Dwa dni po rozpisaniu wyborów przewodniczący partii Republikańskie (LR), Éric Ciotti, ogłosił chęć współpracy z RN Marine Le Pen. To gest bez precedensu. I choć Ciotti został szybko zdezawuowany przez pozostałych liderów partii, to badania opinii publicznej pokazują, że idea współpracy ze Zjednoczeniem Narodowym ma szerokie poparcie wśród wyborców i szeregowych członków LR. Przewodniczący RN Jordan Bardella w tym samym dniu potwierdził, że zawarto z LR układ,

na którego mocy nie zostaną wystawieni kandydaci RN przeciw kandydatom LR, którzy zapowiedzą wsparcie ewentualnej przyszłej koalicji rządowej dowodzonej przez partię Le Pen.

I tak najbardziej prawdopodobny scenariusz, który rysował się dwa dni po wyborach do europarlamentu, czyli w momencie pisania tego tekstu, to podział centroprawicy na tych, którzy postanowią wejść do koalicji ze Zjednoczeniem Narodowym, oraz na tych, którym jest jednak bliżej do centrum Emmanuela Macrona.

Jeśli Zjednoczenie Narodowe uzyska większość, to Macron będzie pod ogromną presją, by podać się do dymisji

Trwały też rozmowy z Marion Maréchal, siostrzenicą Marine Le Pen i wiceprzewodniczącą partii Rekonkwista Érica Zemmoura, choć ze względów personalnych Le Pen i Bardella wykluczali porozumienie z samym Zemmourem. Mówi się przy tym o rosnącym podziale między Zemmourem, który optował w kampanii wyborczej do Parlamentu Europejskiego za ostrymi atakami na Zjednoczenie Narodowe, a Marion Maréchal, która była temu przeciwna, patrząc na partię swojej ciotki nie jak na przeciwnika, lecz zwykłego konkurenta. Ostatecznie już trzy dni po wyborach doszło między nimi do otwartego rozłamu i Zemmour ogłosił wykluczenie z partii nie tylko Marion Maréchal, lecz także trzech innych świeżo wybranych europosłów, choć wcześniej Zemmour zapewniał, że zrobi wszystko, aby prawica szła do wyborów zjednoczona, gdyż takiej okazji do ratowania Francji nie można zmarnować.

Jak zwracają bowiem uwagę przeciwnicy masowej imigracji, przyspieszone wybory, o ile wygra je obóz narodowy, mogą zaoszczędzić Francji dodatkowe półtora miliona imigrantów. Nie jest to jednak takie proste, bo nawet jeśli po 7 lipca Zjednoczenie Narodowe miałoby mieć zapewnioną bezwzględną większość w Zgromadzeniu Narodowym i swojego premiera, to dopóki Emmanuel Macron będzie prezydentem, dopóty raczej nie

pozwoli on na rozpoznanie referendum w sprawie imigracji. A takie referendum, od dawna obiecane Francuzom przez Le Pen, ma być sposobem na ignorowanie bardzo twórczej w ostatnich latach proimigranckiej wykładni Konstytucji ze strony Rady Konstytucyjnej (francuskiego trybunału konstytucyjnego). Ma też pozwolić na zawieszenie stosowania prawa unijnego i jego równie twórczej interpretacji ze strony sędziów TSUE siedzących w Luksemburgu, gdyż bez tego żaden kraj Unii nie zatrzyma skutecznie nielegalnej imigracji. Centroprawica francuska również żąda takiego referendum oraz zawieszania prawa unijnego w tym zakresie, podobnie oczywiście jak partia Zemmoura.

Kwestia imigracji nie jest zapewne jedyną dziedziną, gdzie ewentualna koabitacja ewentualnego rządu premiera Bardelli z prezydentem Macronem byłaby bardzo trudna. Większość komentatorów jest zdania, że decyzja Macrona o rozwiązaniu Zgromadzenia Narodowego to próba użycia fortelu. Prezydent Francji miałby liczyć na to, że nawet jeśli Zjednoczeniu Narodowemu uda się uzyskać większość w Zgromadzeniu Narodowym, to rządzenie w tak trudnych warunkach może tylko tę partię osłabić przed kolejnymi wyborami prezydenckimi w 2027 r. Zwraca się też uwagę, że nowy rząd powstanie tuż przed rozpoczęciem igrzysk olimpijskich w Paryżu, które we francuskich warunkach XXI w. są ogromnym wyzwaniem pod kątem porządku i bezpieczeństwa. Gdyby doszło do zamachów czy innych poważnych incydentów w czasie trwania igrzysk, to czy nowy rząd nie zostałby obciążony odpowiedzialnością na miejscu starego, który je zorganizował?

Jeśli jednak Zjednoczenie Narodowe uzyska wystarczającą większość, to należy się spodziewać, że prezydent Macron będzie pod ogromną presją, aby podać się do dymisji. A jeśli nie uzyska tej większości, to Macronowi będzie jeszcze trudniej rządzić niż do tej pory – po utracie bezwzględnej większości w wyborach z 2022 r. Tak czy owak, w niedziele 9 czerwca mieliśmy dopiero pierwszą falę sejsmiczną politycznego trzęsienia ziemi z epicentrum w Paryżu. Spodziewamy się więc kolejnych fal, które mogą być dużo silniejsze. © Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest dyrektorem Centrum Komunikacji Instytutu Ordo Iuris.

W kwietniu śledczy Narodowego Biura Antykorupcyjnego Ukrainy wraz z funkcjonariuszami polskiej policji przeprowadzili przeszukania w Polsce i na Ukrainie w sprawie możliwego zakupu uzbrojenia po zawyżonych cenach w okresie między kwietniem 2022 a lutym 2023 r. „Stało się to możliwe dzięki współpracy NABU i SAP [Specjalnej Prokuratury Antykorupcyjnej – przyp. red.] z Ministerstwem Obrony Ukrainy oraz Wydziałem do walki z Terrorem Kryminalnym i Zabójstw Komendy Stołecznej Policji w Warszawie w ramach mechanizmu międzynarodowej pomocy prawnej” – poinformowała służba prasowa NABU. Celem przeszukań były „ujawnienie łańcucha dostaw uzbrojenia zagranicznego oraz weryfikacja informacji o możliwym sztucznym zawyżeniu wartości (uzbrojenia) poprzez udział firm-pośredników, zarejestrowanych poza granicami Ukrainy”.

Komunikat nie precyzował, kto konkretnie znalazł się pod lupą śledczych. Z informacji „Newsweeka” wynika jednak, że mogło chodzić o 16 firm, w tym m.in. Alfę – jedną z największych w Polsce firm zajmujących się obrotem specjalnym, czyli dostawami broni. Od początku inwazji rosyjskiej firma ta dostarczyła na Ukrainę sprzęt wart setki milionów euro. Najwyraźniej ukraińscy śledczy nie znaleźli żadnych dowodów, bo dwa miesiące po przeszukaniach wciąż nie wiemy nic o ich ewentualnych rezultatach. Możliwe zatem, że prawdziwym celem akcji było stworzenie wrażenia, że za nieprawidłowości w dostawach broni odpowiadają nie tyle skorumpowani ukraińscy urzędnicy czy politycy, ile polskie firmy zbrojeniowe.

OBWINIANIE POLSKI

Dwa i pół roku po inwazji degeneracja elit rządzących nad Dnieprem jest faktem tak oczywistym, że można o nim mówić bez obawy przed posądzeniem o prorosyjskie sympatie. Kijów wypowiedział wojnę korupcji, ale na razie albo tę wojnę przegrywa, albo kolaboruje z wrogiem. Gdzieś zaginęło 40 tys. sztuk broni, które Amerykanie przekazali Ukrainie. Zamiast na front prawdopodobnie trafiły w ręce zorganizowanych grup przestępczych, w tym do albańskiej mafii. Waszyngton

postawił warunek dalszej pomocy w tym zakresie: audyt dotychczasowych dostaw oraz weryfikacja, ile pieniędzy i broni zaginęło w drodze na Ukrainę.

Kijów wziął się do roboty, szukając jednak winnych w krajach zachodnich sojuszników. Oprócz Polski również w Bułgarii, Rumunii i Czechach. Ukraińcy zwrócili się do służb tych krajów o pomoc w zabez-

nać „kompromat” na Alfę. „Pieniądze na krwi. Jak niepozorna polska firma zabrała dziesiątki miliardów Siłom Zbrojnym Ukrainy” – pisał pod koniec sierpnia ubiegłego roku Roman Romański z „Ukraińskiej Prawdy”. Dziennikarz udawał, że Alfa nie wywiązała się ze swoich zobowiązań wynikających z kontraktu zawartego z Ministerstwem

W co Kijów wrabia sojuszników



Maciej Pieczyński

Na Ukrainie co rusz wybuchają kolejne skandale łapówkarskie. Również wokół dostaw broni, która często zamiast na front trafia na sprzedaż. Ukraińskie władze teoretycznie walczą z korupcją. W praktyce jednak szukają winy za nieprawidłowości u sojuszników

pieczeniu komputerów i innych nośników danych firm, związanych z dostawami broni. Pomoc była w tych wypadkach konieczna. Ukraińscy funkcjonariusze mogą dokonywać w Polsce przeszukiwań jedynie za zgodą i przy asyście polskich funkcjonariuszy. Odmowa w tym wypadku byłaby zrozumiała. Chodzi przecież o to, że służby obcego (teoretycznie zaprzyjaźnionego, ale jednak obcego) państwa mogłyby wejść w posiadanie tajemnic sektora zbrojeniowego państwa NATO. Jak pisze Radosław Omachel z „Newsweeka”, odmówiły ABW, CBA i większość prokuratur, zgodziła się natomiast Prokuratura Okręgowa w Warszawie.

Kwietniowe przeszukanie to nie pierwszy raz, gdy Ukraińcy próbują

Obrony Ukrainy. Według doniesień 11 tys. z 16 tys. hełmów dostarczonych przez firmę nie nadawało się do użytku. Resort obrony nie zraził się tym i dalej kupował u Alfę sprzęt. Z podobnie złym skutkiem. Za drugim razem hełmy miały w ogóle nie dotrzeć nad Dniepr, a zakupione kamizelki kuloodporne jakoby nie przeszły prób balistycznych. Generalnie, według „Ukraińskiej Prawdy”, Alfa jest dłużna Kijowowi ok. 95 mln dol. Ponadto Alfa miała też pośredniczyć w zakupie bułgarskiej amunicji przez ukraińską państwową spółkę Prohres, zajmującą się importem broni. Amunicja ta miała być kupowana po zawyżonych cenach.

Polska firma stanowczo odpięła zarzuty. Przedstawiciele Alfę zapewнили,

■ że ukraińscy dziennikarze nie zadali sobie trudu, aby się z nimi skontaktować i poznać ich wersję. Opowieść o podejrzanym interesach Kijowa z polskim przedsiębiorstwem została wielokrotnie i bezkrytycznie powielona przez media – najpierw nad Dnieprem, następnie nad Wisłą. Co więcej, wielce prawdopodobne, że Ukraińcy mijają się z prawdą. Twierdzą bowiem, że Alfa nie dostarczyła hełmów. Tymczasem według doniesień polskich mediów ukraińskie Ministerstwo Obrony zamówiło i zapłaciło za 20 tys. hełmów, ale ich nie odebrało. Ponoć nie jest to odosobniony przypadek. Alfa jest jedną z trzech firm, które o podobnych sytuacjach opowiedziały „Newsweekowi”. Ukraińcy mieli sugerować, że problemy da się rozwiązać za drobną opłatą.

DUCH ŁĄPÓWKARSTWA

Możliwe, że Alfa stała się ofiarą dezinformacji, której celem było zdyskredytowanie ukraińskiego resortu obrony. Taką wersję przedstawiło zresztą samo ministerstwo. Z jednej strony, rzeczywiście portal, który sprawę opisał, jest raczej opozycyjnie nastawiony do ekipy Żelenskiego.

Z drugiej strony, każdy tutaj toczy własną grę. Opozycyjne media szukają afer na szczytach władz. I znajdują bez trudu. Bo Ministerstwo Obrony co do zasady dysponuje ogromnymi środkami i sporymi możliwościami utajniania wydatków z uwagi na interes państwa. A już szczególnie w czasie wojny i na tradycyjnie przeżartej korupcją Ukrainie. Ołeksij Reznikow stracił stanowisko szefa resortu właśnie dlatego, że nie potrafił zapanować nad łapówkarstwem podwładnych. Bezpośrednią przyczyną dymisji był skandal związany z zakupem kurtek wojskowych od tureckiej firmy po zawyżonych cenach. Podobnego rodzaju afery wybuchały już wcześniej. Pierwsza awantura wokół Reznikowa wybuchła właśnie po tym, jak jego ludzie kupowali podejrzanie drogą żywność dla wojska.

Niegospodarność, przejawiająca się w przepłacaniu za zakupy dla wojska, to tylko część szerszego obrazu patologii, która toczy ten newralgiczny resort. Pod koniec stycznia Służba Bezpieczeństwa Ukrainy wykryła proceder, polegający na kradzieży ok. 1,5 mld hrywien (ok. 40 mln dol.). Były to pieniądze



Ukraińscy żołnierze rozładują transport amunicji. Obwód doniecki, 30 maja 2024 r.

FOT. GLOBAL IMAGES UKRAINE/GETTY IMAGES

z budżetu państwa, przeznaczone na zakup amunicji. W komisjach lekarskich szerzy się łapownictwo. Wystarczyło zapłacić od 3 do 15 tys. dol., żeby otrzymać orzeczenie zwalniające ze służby w wojsku. Rzecz jasna, skandale korupcyjne dotyczą nie tylko resortu obrony. Minister rolnictwa Mykoła Solski został aresztowany pod zarzutem nielegalnego nabycia gruntów państwowych wartych ok. 7 mln dol. I został zwolniony z aresztu po zapłaceniu kaucji w wysokości 75,7 mln hrywien (ok. 7,5 mln zł) ... Tyle dobrego, że Polska dzięki temu zyskała

pretekst, aby zawiesić rozmowy z Kijowem w sprawie zboża.

Wróćmy jednak do Ministerstwa Obrony. Po Reznikowie resort objął Rustem Umierow, uważany za jednego z niewielu ukraińskich polityków, wokół których nie wybuchł nigdy żaden skandal z machinacjami finansowymi w tle. Nowy minister, co zrozumiałe, wymienił kadry w strukturach odpowiedzialnych za najbardziej korupcjogenną sferę zakupów dla wojska. W efekcie zaostrzono procedury przetargowe. Warunki stały się jednak na tyle wymagające, że trudne do spełnienia dla zachodnich kontrahentów. Potencjalny sprzedawca broni musi teraz ujawnić dość wrażliwe szczegóły, np. zdradzić, skąd i za ile kupił części do sprzętu, który zamierza sprzedać Ukraińcom. Jak opisuje „Newsweek”, w branży, w której liczy się dyskrecja, takie podejście nie działa. Za to dużo łatwiej spełnić wymogi firmom państwowym. Takim jak wspomniany Prohres. I dlatego często właśnie za ich pośrednictwem zachodnia broń trafia na Ukrainę.

Potencjalny sprzedawca broni musi teraz ujawnić dość wrażliwe szczegóły, np. zdradzić, skąd i za ile kupił części do sprzętu, który zamierza sprzedać Ukraińcom



Ukraina radzi sobie o wiele gorzej niż na froncie zewnętrznym, z agresją rosyjską. Klęski z wrogiem wewnętrznym demotywują tych, którzy bronią kraju przed wrogiem zewnętrznym. Żołnierze w okopach, do których nie dociera zachodnia broń, bo po drodze jest rozkradana przez nieuczciwych urzędników, mogą w pewnym sensie uznać, że nie warto ryzykować życia w obronie tak funkcjonującego państwa. Dlatego też, z perspektywy władz, korzystne jest przerzucenie części odpowiedzialności nie tylko na wrogów zewnętrznych, lecz także na „przyjaciół zewnętrznych”. Czyli na sojuszników. To zresztą Ukraina ma już przećwiczone. Od pierwszych miesięcy wojny Zełenski publicznie zawstydział i ostro krytykował przywódców tych państw, którzy w jego odczuciu zbyt mało wspierali Kijów. Teraz Kijów może próbować przekonać świat, że również korupcja na Ukrainie jest winą Zachodu.

PATOLOGIA NIE DO POKONANIA?

Warto przy tym jednak podkreślić, że opozycyjne media ukraińskie nie oszczędzają swoich rządzących. Dziennikarz „Ukraińskiej Prawdy” Mychajło Tkacz już w pierwszych miesiącach pełnoskalowej wojny, po serii tekstów demaskujących korupcję na szczytach władz, apelował do Zełenskigo, aby wraz z mediami stanął do walki z wewnętrznym wrogiem. Co rusz to właśnie rodzime media nad Dnieprem nagłaśniały kolejne nadużycia władzy. I czasem odnosiło to skutek w postaci dymisji lub postępowania przeciwko skorumpowanemu urzędnikom czy politykom. Nie byłoby dymisji w MON, gdyby nie dziennikarskie śledztwa. Wydaje się, że w odpowiedzi na tę aktywność ciekawskich dziennikarzy ukraińskie służby postanowiły poszukać kompromatów również na zachodnich partnerów biznesowych.

Z jednej strony, coraz więcej Ukraińców zdaje się rozumieć, że bez zwalczania korupcji nie da się ani wygrać wojny, ani utrzymać na dłuższą zaufania zachodnich sojuszników. Z drugiej strony, władze, świadome nierozwiązywalności problemu, próbują najwyraźniej odwrócić uwagę od ukraińskich patologii i skupić ją na patologiach w krajach sojuszników. Z trzeciej strony, wciąż pojawiają się nad Dnieprem opinie, takie jak ta wyrażona

parę miesięcy temu przez byłą minister ochrony zdrowia Ulianę Suprun. W jednym z wywiadów przyznała, że Ukraińcy sami są sobie winni, że Zachód nie daje im broni. Ciekawe jest jednak to, jakich konkretnie Ukraińców miała na myśli. Otóż zdaniem Suprun winni są nie tyle skorumpowani urzędnicy, ile antykorupcyjni aktywiści, którzy psują wizerunek Ukrainy na świecie.

Kijów rzuca pod adresem zagranicznych kontrahentów oskarżenia, których zasadność trudno udowodnić

Była urzędniczka przypomniała, jak jeszcze przed wybuchem wojny różni działacze organizacji pozarządowych jeździli na Zachód, w tym do Waszyngtonu, gdzie opowiadali, jak to w ich kraju szaleje korupcja. I za swoją działalność otrzymywali zachodnie granty. Zdaniem Suprun owi aktywiści w ten sposób tylko wzmacniali przekaz rosyjskiej propagandy, która była przez wiele lat prowadzona na Zachodzie i kształtowała nieufność wobec Kijowa. „A kiedy wybuchła pełnoskalowa wojna, to ci sami ludzie jadą do Waszyngtonu i proszą o pomoc. I słyszą w odpowiedzi: »Czekajcie, przecież jesteście najbardziej skorumpowanym krajem, sami nam kazaliście nie ufać waszym rządzącym, a teraz chcecie, żebyśmy im zaufali?«” – opowiada Uliana Suprun w rozmowie z dziennikarką Julią Borysko. Ponadto zauważa, że „w amerykańskich think tankach jest pełno ludzi, którzy ukończyli sowieckie czy rosyjskie studia”, a zatem są przesiąknięci moskiewską ideologią.

Reasumując, zdaniem byłej minister ochrony zdrowia zachodni partnerzy ograniczają pomoc dla Ukrainy z dwóch powodów: pod wpływem Rosji oraz antykorupcyjnych aktywistów. I mówi to zupełnie poważnie... Biorąc jednak pod uwagę skalę korupcji na Ukrainie, można zaryzykować tezę, że nie ma większej różnicy, czy Zachód wysyła broń Kijowowi czy nie, skoro ta broń i tak niekoniecznie trafia na front... © Wszelkie prawa zastrzeżone

Kijów rzuca pod adresem zagranicznych kontrahentów oskarżenia, których zasadność trudno udowodnić. Niełatwo przecież dowieść, że sprzedawca zawyża cenę swojego produktu. W sytuacji, gdy państwo kupuje sprzęt wojskowy od prywatnej, do tego zagranicznej firmy, należy przede wszystkim patrzeć na ręce państwu właśnie. Sprzedający chce zarobić, kupujący, jeśli jest nim państwo, wydaje nie swoje pieniądze. I to na bardzo niewralgiczny cel.

Jednak ukraińskie służby nieprzypadkowo szukają winnego po stronie polskiej. Próżno liczyć na to, że jakiekolwiek zmiany kadrowe w Ministerstwie Obrony przyniosą szybkie i ostateczne zwycięstwo nad korupcją. Kolejne skandale z pewnością będą wybuchać. Ukraińskie społeczeństwo, ukraińska klasa urzędnicza, ukraińskie państwo są przeżarte duchem łapówkarstwa na wskroś. Można zaryzykować stwierdzenie, że na froncie wewnętrznym, czyli w walce z łapówkarstwem i nadużyciami finansowymi,



Z prof. dr. hab. Jakubem Politem,
historykiem
rozmawia Tomasz D. Kolanek

Przyszłość należy do Azji?

FOT. ADRIAN STOK

TOMASZ D. KOLANEK: Czym naprawdę jest Azja? Czy Azja jest „tylko” największym kontynentem zamieszkanym przez największą liczbę ludności?

PROF. DR HAB. JAKUB POLIT: Na to pytanie można odpowiedzieć na wiele sposobów. Azję „wymyślił” Herodot, a konkretnie rzecz ujmując, nie tyle „wymyślił”, ile poinformował o niej świat.

Dziejopis z Halikarnasu głosił, że istnieją trzy części świata. Wszystkie noszą imiona żeńskie i nazywają się Europa, Azja i Afryka. Jeśli ktoś był mieszkańcem świata helleńskiego, czyli siedział np. na Morzu Egejskim, to z perspektywy np. Krety Europa, Azja i Afryka były tak samo odległe. Można było o nich rozmawiać mniej więcej w jednakowy sposób.

Specjalnie wracam do Herodota, gdyż Azjaci nie wiedzieli o istnieniu Azji. Dokładniej rzecz biorąc, nigdy nie uważali siebie za jakąś całość zamieszkującą odrębną część świata.

W gruncie rzeczy jest to sztuczna konstrukcja. Z czysto geograficznego punktu widzenia można mówić jedynie

o Eurazji i w takim razie wrócić do złośliwej definicji Mao Zedonga, który mówił o Europie jako o „tym małym półwyspie na zachodzie”.

Oczywiście kulturalnie Europa jest czymś zupełnie innym niż Azja. Europie jedność nadało chrześcijaństwo ok. X w., czyli w tym czasie, kiedy Europy Środkowa i Północna – kraje słowiańskie i skandynawskie – zostały schryścianizowane. Być może przez przypadek zbiegło się to z naturalną śmiercią ostatnich chrześcijańskich biskupów w krajach Afryki Północnej, gdzie chrześcijaństwo wygasło.

Tymczasem Azja nigdy nie miała takiego jednego ośrodka, nigdy nie miała spajających jej religii, kultury czy alfabetu. Na marginesie dodam tylko, że wszystkie wielkie religie, które powstały na naszym globie, narodziły się w Azji. Oczywiście także chrześcijaństwo.

Dopiero Europejczycy, podporządkowując sobie politycznie znaczną część Azji, a cywilizacyjnie właściwie całość, uświadomili jej mieszkańcom, że ci

są Azjatami, czyli że mają ze sobą coś wspólnego.

Czym w związku z tym jest współczesna Azja? Nie będzie chyba żadnym nadużyciem powiedzieć, że dla większości obecnie Azja to Chiny...

Nie jestem przekonany, że dla większości Azja to Chiny. Być może patrzy pan na ten problem przez „amerykańskie okulary”. U Amerykanów Azjaci w powszechnym rozumieniu to w zasadzie jedynie mieszkańcy Dalekiego Wschodu, reprezentujący – mimo że na rasowe definicje patrzy się dzisiaj niechętnie – mongoloidalny typ człowieka. Z kolei Hindusów w zasadzie w USA nie tyle nikt nie nazywa Azjatami, ile nie przychodzą oni w pierwszej kolejności do głowy, kiedy pada hasło „Azjata”. Natomiast w USA już zupełnie do Azjatów nie zalicza się Arabów.

Oczywiście krąg konfucjański, krąg hinduistyczny, krąg islamski to kręgi mniej więcej porównywalne liczebnie, które łączy przede wszystkim mniejsza lub większa opozycja do świata zachodniego. Jednym tchem można tutaj dorzucić kolej-

ną kwestię, zaskakująco rzadko dostrzeżaną. Mianowicie: jeśli idzie o kilometry kwadratowe, to jedna trzecia Azji jest obszarem pod panowaniem rosyjskim.

Ale z drugiej strony niemal połowa ludności Azji to Indie i Chiny...

To prawda, ale tutaj trzeba zwrócić uwagę na bardzo znamienne tendencje demograficzne. Przypomnę, że na początku XX w., czyli nie tak strasznie dawno, jedną czwartą ludności naszego globu stanowili Europejczycy, a gdyby wliczyło się do tego ich potomków w obu Amerykach i w Australii, to byłoby ich znacznie więcej.

Obecnie jest diametralnie inaczej. Wpływy europejskie zostały w dużej mierze wyrugowane z Azji, natomiast nie tyle Azjaci, ile Afrykanie osiedlają się masowo w Europie.

Powtórzę jednak raz jeszcze: Azjaci nie mają jakiegos poczucia wspólnoty. To my – Europejczycy i Amerykanie – patrzymy na nich w ten sposób. Rosjanie chcą wprawdzie skonstruować strukturę polityczną, rozszerzając sławne ugrupowanie BRICS – czyli Brazylia, Rosja, Indie, Chiny oraz Afryka Południowa – ale, jak widać, nie jest to ugrupowanie czysto azjatyckie. Ostatnio mówi się o przyjmowaniu do niego również nowych państw Ameryki Południowej, a więc należących niewątpliwie do cywilizacji łańciskowej.

Wiek XVIII to czas europeizacji świata. Wiek XIX to okres amerykanizacji świata. Czy obecnie wchodzimy w epokę azja... azjaizacji?

Sam pan widzi, że nawet trudno jest utworzyć przymiotnik. Możemy więc mieć pewne wątpliwości, czy takie spojrzenie jest słuszne.

Powiem inaczej: można twierdzić, że starożytność to okres Morza Śródziemnego. Średniowiecze w zasadzie również. Jeżeli wraz z początkiem epoki nowożytnej punkt ciężkości przeniósł się na Ocean Atlantycki, a obecnie przenosi się on na Pacyfik, to oczywiście chodzi nie tylko o Azję.

Azja to największy i najludniejszy kontynent, więc z całą pewnością to właśnie tamtejsze wydarzenia będą przysięwały naszą uwagę. Powtórzę jednak jeszcze raz: nie ma niczego takiego jak Azja jako całość. Przełomowe wypadki mające tam miejsce, bardzo zresztą

Jeśli idzie o kilometry kwadratowe, to jedna trzecia Azji jest obszarem pod panowaniem rosyjskim

ważne, są wynikiem w dużym stopniu degradacji Europy.

Chciałbym zaakcentować jeszcze raz wątek rosyjski: mało kto zdaje sobie sprawę – a już na pewno nie sami Rosjanie – że obecność Rosjan na bardzo znaczącym, choć słabo zaludnionym obszarze Azji jest niejako reliktem czasów kolonialnych. Już Roman Dmowski, przewidując, że do końca XX w. na kontynencie azjatyckim nie pozostanie żadna europejska kolonia, miał na myśli także Rosjan i prawdopodobnie usunięcie ich z tamtych obszarów jest tylko kwestią czasu.

Z jednej strony, zachodnia część Azji jest jednym z największych na świecie producentów paliw węglowodorowych. Z drugiej strony, wschodnia część Azji – czyli Chiny i Indie – tworzy wiele produktów pierwszego użytku na świecie. Z trzeciej strony, Azja jest obecnie największym konsumentem technologicznym produktów wytwarzanych przez USA i Europę. Czy nie jest tak, że w chwili próby Arabom byłoby dużo łatwiej dogadać się z Chińczykami niż z Europejczykami i Amerykanami?

Miałbym co do tego wątpliwości. Obecnie tak, ale tylko w jednym kontekście – dogadaliby się na podstawach negatywnych, czyli na gruncie wspólnej nienawiści do Zachodu. Na takiej zasadzie udało się dogadać niemieckim narodowym socjalistom z Japończykami w latach 40. w dobie drugiej wojny światowej, kiedy obie strony nic miłego nie miały sobie nawzajem do zaproponowania i w gruncie rzeczy się nie rozumiały, ale miały wspólnego wroga.

Nie jest to bowiem takie proste. Należałoby Chiny rozpatrywać osobno, Indie osobno, świat muzułmański osobno. Tutaj od razu można zauważyć, na czym polega problem. Kiedy pan i ja mówimy „Chiny i Indie”, to mamy na myśli zarówno pewne cywilizacje, jak i ogromne państwa. Z kolei kiedy mówimy „świat muzułmański”, to mamy na myśli obszar, gdzie nie ma żadnego widocznego lidera,

co jest zresztą nieszczęściem całego tego kręgu kulturowego. Nie ma państwa muzułmańskiego, które byłoby ośrodkiem tej cywilizacji, bo kandydaci, którzy – jak się wydaje – mogliby pretendować do tego miana – jak Iran czy Indonezja – są z góry wykluczeni. Iran jako kraj szyicki, czyli heretycki; Indonezja jako kraj peryferyjnie położony i niekojarzony zwykle z islamem. Tutaj widać pewnego rodzaju pięć achillesową światła islamskiego.

Islam wydaje się nam niezwykle dynamiczną potęgą i w jednej tylko sferze – sferze religijnej – taką potęgą zapewne jest. Ale poza wszystkimi innymi względami jest to cywilizacja, która obecnie poniosła fiasko. Nie jest to zresztą jedynie moja własna opinia. W Niemczech publikuje znany egipski analityk Hamel Abdel-Samad. Dlaczego w Niemczech? Ponieważ w państwach muzułmańskich w zasadzie nie można sobie pozwolić na prezentowane przez niego dywagacje, w których pokazuje, że świat islamski poniósł klęskę na każdym polu – technologicznym, gospodarczym, naukowym, intelektualnym, kulturowym. Nawet wewnętrznie świat muzułmański ulega rozkładowi, czego nie widać z jednego bardzo charakterystycznego powodu: ponieważ na zewnątrz prezentuje on agresję.

Nie mamy tutaj powodu się chlubić, bo świat chrześcijański też ulega rozkładowi, łącznie z Kościołem katolickim. Niemniej na pewno nie jest on w fazie ekspansji i na pewno nie jest on agresywny.

Poza tym nie bardzo wiadomo, co islam mógłby nam zaoferować. W sferze doraźnej jest on groźny, ale w tym sensie, że owa cywilizacja ze swoją dynamiką pojawia się w Europie, która nie potrafi się jej przeciwstawić. Biorąc to wszystko pod uwagę, nie wydaje się, żeby przyszość ludzkości mogła się tam ulokować. Patrzymy raczej na Chiny i Indie. Przy czym mało kto z nas o tym pamięta – ale pamiętają o tym mieszkańcy tych dwóch krajów – że Indie w roku 2023 wyprzedziły Chiny jako najludniejsze państwo świata.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



prof. dr hab. Jakub Polit
– pracownik Instytutu Historii UJ,
zajmujący się historią powszechną
XX w., zwłaszcza historią Chin
i Japonii.

URZĄD DO ZMIANY MĘŻCZYZN

Premier stanu Victoria w Australii, Jacinta Allan, stworzyła nowy urząd – sekretarza do spraw zmiany zachowań mężczyzn. Pierwszym takim sekretarzem został poseł Tim Richardson. Czym się zajmie? „Osoba, która będzie piastowała to stanowisko, skupi się na wpływie Internetu i mediów społecznościowych na postawy chłopców i mężczyzn wobec kobiet oraz budowanie relacji opartych na szacunku” – zakomunikowała Allan.



OGLĄDALI, JAK SIĘ TOPI

Internetowi influencerzy zrobili już w sieci tyle strasznych rzeczy, że trudno sobie wyobrazić, iż stać ich wciąż na coś gorszego. A jednak... Niejaka Natalie Reynolds, streamerka na platformie Kick, którą obserwuje blisko 5 mln ludzi, zapłaciła 20 dol. kobiecie, by ta wskoczyła do jeziora Lady Bird w Teksasie. Potem wszyscy widzowie oglądali szamocącą się w wodzie panią, która nie umiała pływać i prosiła o pomoc. Na szczęście nie utonęła. Dwudziestopięcioletnia streamerka stwierdziła, że ludzie „za tydzień i tak o tym zapomną”.

APLIKACJA NA RZECZ DZIETNOŚCI

Podczas gdy w Polsce próbowano zwiększyć dietę programem „500+” (obecnie „800+”), bez powodzenia, w Japonii władze Tokio postanowiły zadziałać inaczej. Uruchomiły urzędową aplikację randkową. Jest obecnie w fazie testów. System dobierania partnerów oparty będzie w niej na sztucznej inteligencji. Urzędnicy liczą, że w ten sposób uda się im zaaranżować więcej małżeństw i dzięki temu na świat przyjdzie więcej dzieci. ©

Łukasz Zboralski

BISKUPIE CUDA W KASYNIE

Kasyna w Zimbabwie zakazały wstępu do nich Emmanuelowi Mutumwie, arcybiskupowi chrześcijańskiego Kościoła apostołskiego w tym kraju. Duchowny wygrał w kasynie 30 tys. dol.

i został oskarżony o oszustwo. Uznano, że... Bóg podpowiada mu, jak ma obstawiać. Sam arcybiskup przekonuje, że doznaje objawień w tej sprawie. Zakaz wstępu odebrał jako niesłuszną karę i podkreślał, że całą wygraną z kasyna przeznaczył na opłacenie chętnego za dzieci niektórych członków swojego Kościoła, a innym pomógł rozwinąć własne działalności gospodarcze.

GLOBALNE OCHŁODZENIE

Bankructwo propagandy



JACEK PRZYBYLSKI

Lewicowa prasa, nawet jeśli jej autorzy zdobywają „prestżowe” nagrody za prawomówność czy poprawność polityczną, bardzo źle się sprzedaje – odkrywają z przerażeniem amerykańscy inwestorzy.

Nie pomagają tak genialne zdaniem aktywistów działania, jak wyrzucanie z kierowniczych stanowisk białych mężczyzn, pisanie o złej policji, dobrych migrantach etc.

Okazuje się, że nawet w „obudzonej Ameryce” ideały rewolucji ideałami rewolucji, ale kasa musi się zgadzać. Wydawca „Los Angeles Times”, dzielnie krzyczącemu

liberalne idee, wyrzucił już na bruk jedną piątą pracowników tylko z tak błahego powodu, że mało kto chce płacić za lewicowe brednie. Zmian zażądał także właściciel „The Washington Post” i to tylko dlatego, że od 2020 r. liczba czytelników spadła o 50 proc., a strata tylko w 2023 r. wyniosła 77 mln dol.

Naczelną „The Washington Post” Sally Buzbee, pierwsza kobieta na tym stanowisku, na początku czerwca złożyła więc rezygnację, a załódze przedstawiono nowego szefa. To były redaktor naczelny „The Wall Street Journal” Matt Mur-

ray, znakomity reporter i redaktor, który obejmie tę funkcję mimo oczywistych dla lewicy wad. Pięćdziesięcioośmioletni biały facet (za co nie przeprosi!) nie dość, że nie pochodzi ze środowiska LGBTQI, to nawet nie jest rozwodnikiem. Ma jedną żonę i córkę, a do tego napisał książkę o swoim tacie pt. „Ojciec i syn”. Co gorsza, gdy kilka lat temu media bez wyroku sądu grzmiały o mordcach Floyda, kierowany przez Murraya „WSJ” próbował obiektywnie relacjonować sprawę śmierci naćpanego kryminalisty...

Czy rzetelne dziennikarstwo dostanie szansę na uratowanie mediów? Miejmy nadzieję... ©

PREMIERA
w każdy poniedziałek
na kanale



@Telewizja_Republika

MIŁOSZ KŁECZEK
W RUCHU



Z Andrzejem Sadowskim,
prezydentem Centrum
im. Adama Smitha
rozmawia Tomasz Cukiernik

Przywrócić wolność gospodarczą

TOMASZ CUKIERNIK: Firma Levi Strauss zamyka fabrykę w Płocku, wskutek czego pracę straci prawie 800 osób. Michelin likwiduje zakład w Olsztynie, gdzie pracuje 430 osób. Fabrykę w Nowej Wsi Lęborskiej zamyka amerykańska firma TE Connectivity Industrial i pracę straci 140 osób, a produkcja przenoszona jest do Maroka. Firma produkująca łopaty do turbin wiatrowych Goleniów LM Wind Power Blades zwalnia 200 osób. Również 200 pracowników ma zostać zwolnionych w krakowskim oddziale PepsiCo, a dwa działy firmy są przenoszone do Indii. Decyzję o zwolnieniach grupowych ogłosiły także fabryka mebli Forte i firmy motoryzacyjne Volvo we Wrocławiu, Scania w Słupsku i Stellantis w Bielsku-Białej, a w Warszawie

banki ING i PNB Paribas. W pierwszym kwartale obecnego roku w 12 wojewódzkich urzędach pracy ponad 90 firm zgłosiło zamiar zwolnienia niemal 8 tys. pracowników. Jaka jest przyczyna zwolnień grupowych?

ANDRZEJ SADOWSKI: Do listy z międzynarodowych koncernów zwalniających pracowników dołączyła Tesla, redukująca zatrudnienie w Polsce i na świecie. Coraz częstsze informacje o zamykaniu fabryk i zwolnieniach mają wspólny powód, którym jest cały czas rosnąca cena energii w Polsce. Jest to przeszkoda nawet dla takiej fabryki, jak ta należąca do Levi Strauss, która działała nieprze-

rwanie w Płocku od 1993 r. Rosnące ceny energii i groźby blackoutów są skutkiem monopolizacji produkcji energii w rękach oligopolów, spółek należących do rządu, co prowadzi do sytuacji, w której energia staje się nieprzezwycięzalną barierą w rozwoju przemysłu w Polsce i przyczyną postępującej deindustrializacji naszego państwa.

Wzrosty cen energii to również skutek unijnego podatku ETS.

Powoływanie się wyłącznie na ETS ma dawać pełne alibi, a przecież te pieniądze pobiera rząd danego państwa.

stwa, który powinien przeznaczać je na inwestycje w infrastrukturę energetyczną. Jak widać po rachunkach, które dostajemy za energię, najwyższą pozycją nie jest bynajmniej cena za nią, tylko opłata przesyłowa i inne składniki. Firmy energetyczne, podobnie jak inne, są tylko poborcami podatków od konsumentów, których próbuje się przekonać, że cała odpowiedzialność spada wyłącznie na Unię Europejską i jej regulacje.

Ale ta cena ETS nie jest jakaś niska, bo w granicach 70 euro za tonę wyemitowanego dwutlenku węgla...

Dopisywanie do rachunków kosztów tzw. polityki klimatycznej w sytuacji, kiedy zarówno rządy Chin, jak i Indii postanowiły przeprowadzić największe inwestycje związane z uruchomieniem elektrowni, opierając się na węglu, jest rzeczą w kategoriach czysto logicznych niezrozumiałą i będzie prowadziło do tzw. ubóstwa energetycznego obywateli. Jak Unia Europejska – której powierzchnia obejmuje 4 mln km kw., a samych lądów na naszej planecie z Unią jest 149 mln km kw. – chce doprowadzić do oczyszczenia i poprawy klimatu, prowadząc tak restrykcyjną politykę wobec tylko siebie w sytuacji, w której dwa mocarstwa atomowe, Indie i Chiny, rozwijają największe inwestycje w energetykę węglową?

Unia, zanim doczeka się poprawy klimatu na świecie, już doświadcza na własne życzenie daleko posuniętej deindustrializacji na swoim obszarze. Nie nałoży cel i nie ustanowi kontyngentów wwozowych na powietrze z Indii, Chin, Pakistanu i innych państw, które rozwijają swój przemysł i energetykę, co skutecznie niweluje coraz dalej idące plany wyrzeczeń dla obywateli w imię ochrony globalnego klimatu. Jak Unia, mając średnio dwa-trzy razy większe ceny energii niż USA i Chiny, ma być konkurencyjna dla przemysłów nowych technologii? W Polsce nadal możemy doprowadzić do demonopolizacji i tym samym do uwolnienia produkcji energii, co spowodowałoby jej nadprodukcję i dzięki temu jej cena zaczęłaby spadać. Tania energia jest dziś podstawą działalności przemysłów nowych technologii, jak produkcja półprzewodników czy centra obliczeniowe AI, które bardzo dużo jej zużywają. Dotacje, które rządy

dawały na uruchomienie fabryk w Polsce, wystarczają na coraz krótszy okres. Koncerny, kierując się czystą kalkulacją kosztów, nie mają żadnych zahamowań przed zamknięciem jednego dnia działalności w Polsce i przeniesieniem jej do Rumunii czy do Maroka. Rządy w Polsce znów stały się zakładnikami branżowych grup interesów, które doprowadziły do monopolizacji wytwarzania energii, co ma zgubny wpływ na rozwój społeczny i gospodarczy oraz będzie jednym z głównych źródeł kryzysu w naszym państwie. Podobnie polityczne decyzje o administracyjnych podwyżkach ceny pracy, które są niszczące, zwłaszcza dla dla sektora mikro- i małych firm oraz rolnictwa w Polsce. Sektor MŚP powinien być uznany za element infrastruktury bezpieczeństwa gospodarczego państwa polskiego. Jak można przez ponad trzy dekady nie zauważać, że to przede wszystkim mikro- oraz małe przedsiębiorstwa wytwarzają ok. 60 proc. polskiego PKB? Niepojęta jest postępująca dyskryminacja tego sektora, który gwarantuje bezpieczeństwo ekonomiczne i społeczne w Polsce. Jeżeli polityka jest oparta na wiedzy, to co uczynił poprzedni rząd, kiedy z publicznego raportu wynikało, że mikrodziałalność w Polsce jest proporcjonalnie bardziej obciążona podatkami niż zachodnie koncerny?

Jak podał „Puls Biznesu”, w 2023 r. z polskiego rynku zniknęła najwyższa w historii liczba firm – aż 220 tys. Zawieszonych działalności gospodarczych było również najwięcej, bo aż 372,5 tys.

Łącznie w ciągu tylko jednego roku nie prowadzonych działalności mamy blisko 600 tys. Przyczyna tego stanu jest łatwa do zidentyfikowania, bo jest nią tzw. Polski Ład. W przeciwieństwie do patriotycznej nazwy Polski Ład przyznawał gwarancje stałości prawa i niskich podatków wyłącznie międzynarodowym korporacjom. Dostały gwarancje stabilności funkcjonowania, a polskim firmom rząd zaordynował drenaż podatkowy, który do tej pory prowadzi do zatrzymywania ich działalności. Zauważmy, że w Wielkiej Brytanii, która ma nieporównywalnie lepszą sytuację gospodarczą niż Polska, mikrodziałalność jest niezwykle nisko opodatkowana. Dla tej najmniejszej działalności roczny podatek socjalny wynosi

tylko, ile w Polsce miesięczna płatność tego podatku, zwanego składką ZUS.

Jako przyczyna zamykania działalności jest też wskazywany wzrost płacy minimalnej w ostatnich latach w Polsce.

Nie używajmy błędnej nazwy, bo to nie jest płaca minimalna, tylko urzędowa, którą otrzymują dwie trzecie zatrudnionych w całym sektorze przedsiębiorstw i ok. 80 proc. zatrudnionych w mikrofirmach. Decyzjami rządu w ciągu pięciu lat liczba pracowników z wynagrodzeniem na poziomie płacy minimalnej wzrosła 100 razy! W innych obszarach rządy różnicowały m.in. dopłaty do metra kwadratowego mieszkania, uznając, że mamy do czynienia z różnym poziomem dochodów w zależności od regionu Polski i tym samym z różnymi kosztami życia. W przypadku wynagrodzenia ustanowiono jedną cenę pracy w Polsce w sytuacji, w której nie ma jednego rynku pracy, tylko są lokalne rynki pracy. Nadal mamy takie miejsca w Polsce, gdzie bezrobocie jest dwucyfrowe, a nie jednocyfrowe. Gdyby miała obowiązywać płaca urzędowa, powinna być zróżnicowana regionalnie.

W takim razie jak duży wpływ na problemy, o których rozmawiamy, ma płaca urzędowa?

Przyśpieszoną zagładę firm w Polsce uruchomił tzw. Polski Ład. Polityka minionego rządu zakładała administracyjne podnoszenie wynagrodzenia urzędowego, bo w pierwszej kolejności oznacza to większe wpływy podatkowe do budżetu. Pracownik otrzymuje tylko część podwyżki, bo sporą część zabiera rząd. W pierwszej połowie 2024 r. z wynagrodzenia urzędowego wynoszącego 5110,76 zł brutto pracownik dostaje 3222 zł na tzw. rękę. Podnoszenie płacy urzędowej w pierwszej kolejności służy zwiększeniu wpływów podatkowych. Poza tym wynagrodzenia urzędowe są już ponad możliwości mikro- i małych przedsiębiorstw. Stąd rozpoczął się proces zamykania m.in. lokalnych i wiejskich sklepików, które, gdyby miały płacić wynagrodzenie zgodnie z przepisami, z przychodów nie byłyby w stanie opłacić wynagrodzenia urzędowego i pokryć kosztów swojej działalności. Po kolejnych podwyżkach wynagrodzenie urzędowe otrzymywać będzie 4 mln obywateli.

■ Czy grozi nam gwałtowny wzrost bezrobocia?

W wyniku skokowego podwyższenia opodatkowania pracy związanego z wielką kapitałową reformą emerytalną w 1998 r. dotychczasowe malejące bezrobocie, które wynosiło ok. 9 proc., poszybowało w ciągu kilku lat do ok. 20 proc. i uznano ten stan rzeczy za dramat społeczny. Bezrobocie jest konsekwencją błędnych decyzji, zależy przede wszystkim od decyzji zapadających w naszym państwie. Politycy mają wybór i powinni zacząć dokonywać wyborów, które zatrzymają zbliżającą się kumulację konsekwencji złych decyzji poprzedniego rządu. Mimo takich bezprecedensowych oraz dramatycznych danych związanych z upadkiem firm w Polsce odkładanie decyzji przynajmniej o powrocie do status quo sprzed wprowadzenia tzw. Polskiego Ładu zwiększa ryzyko i przyspiesza kryzys w naszym państwie.

Czy kończyć się rynek pracownika? To chyba dobrze dla biznesu.

Jest to fałszywe podejście z tego względu, że rynek pracownika będzie zawsze wtedy, kiedy są tak wysokie transfery socjalne, które pozwalają na niepodjęcie aktywności na rynku pracy, bo wysokość różnych świadczeń stanowi arbitraż dla pracy. Zauważono już to zjawisko w latach 90., kiedy różnica pomiędzy ówczesnym zasiłkiem dla bezrobotnych a urzędowym wynagrodzeniem była na tyle niewielka, że nie skłaniała on do szukania regularnej pracy.

Czy w takim razie Polska przestaje być krajem dla przedsiębiorców (jeśli kiedykolwiek była), a staje się krajem dla ludzi pobierających socjał?

Polska, jak USA, była dość długo atrakcyjna dla ludzi ciężko pracujących, co w ostatnim czasie zaczęło się zmieniać, czego symbolem jest m.in. renta alkoholowa wypłacana przez ZUS, a wynosząca 1780,96 zł w przypadku całkowitej niezdolności do pracy ze względu na alkoholizm beneficjenta tego świadczenia. Nadal jeszcze obywatele mają motywację do pracy i ryzyka. Nawet w czasach Polski Ludowej, kiedy system był jawnie agresywny wobec prywatnej działalności gospodarczej, Polacy dla poprawy swojego losu jednak podejmowali się jej oficjalnie. Zauważmy, że każdy praktycznie turysta w tamtych czasach był nielicencjonowa-

Polski Ład przyznawał gwarancje stałości prawa i niskich podatków wyłącznie międzynarodowym korporacjom

nym jednoosobowym biurem handlu zagranicznego, który jadąc na wakacje, przewoził w jedną i drugą stronę tzw. deficytowe towary. Polacy są nadal najbardziej przedsiębiorczym społeczeństwem w Unii, a jeśli warunki dla działalności gospodarczej jeszcze bardziej zostaną pogorszone, to będą ją kontynuować poza własną ojczyzną. Politycy w Polsce od dekad nie doceniają rodzimych przedsiębiorców. Przed przyjęciem w 2004 r. Polski do Unii Europejskiej obawiali się, że nie podołają niemieckiej konkurencji. Rządzący tym państwem mieli właściwą ocenę naszych możliwości i wystąpili o setki milionów euro pomocy dla swoich przedsiębiorców z landów wschodnich, aby ich przystosować do konkurencji ze strony polskich przedsiębiorców. Po 2004 r. to przedsiębiorcy z Polski zaczęli „kolonizować” stolice państw Unii Europejskiej. Przed pojawieniem się ich w Londynie na podłączenie pralki czy zmywarki czekało się miesiąc, a usługa kosztowała równowartość zakupionego sprzętu – potem termin skrócił się do kilku dni, a cena spadła do kilkudziesięciu funtów.

Biznes woli Maroko czy Indie od Unii Europejskiej. Czyli Unia z tym jej mitycznym wspólnym rynkiem nie jest rajem obiecany dla przedsiębiorców?

Miała być w strategii lizbońskiej, która zakładała w 2000 r. wygranie konkurencji gospodarczej z USA, ale w 2010 r. ją porzucono i jest dziś miarą postępującego zacofania Unii, czego dowodem jest zeszłoroczny raport samej Komisji Europejskiej o innowacyjności. Przyznano się w nim do rosnącej przepaści w tym obszarze już nie tylko wobec USA, lecz także Korei Południowej. Skoro porzucono strategię lizbońską, to jej miejsce zajęły idee Altiera Spinello, włączone do dokumentów Unii Europejskiej oraz umieszczone nad wejściem do Parlamentu Europejskiego. Wystarczy czytać ze zrozumieniem.

Czy możemy się spodziewać jeszcze większej ucieczki kapitału zagranicznego z polskiego rynku?

Nie przejmowałbym się tak bardzo kapitałem zagranicznym, tak jak to robią kolejne rządy, które nieustannie pochylają się nad jego losem w Polsce, zapominając, że – jak popatrzymy na oficjalne dane Ministerstwa Finansów – tenże kapitał zagraniczny ma mocno ograniczony wkład w podatkach naszego państwa. Przy przychodach idących w dziesiątki miliardów płacony przez nie podatek CIT ma nader symboliczny charakter, dlatego że jest w Polsce od dawna podatkiem dobrowolnym. Kiedy jedna z zagranicznych sieci handlowych zapłaciła go w ciągu roku na poziomie kilkuset milionów złotych, w przeciwieństwie do pozostałych, ówczesny rząd nadał dyrektorowi generalnemu tej sieci odznaczenie państwowe, bo taki był to ewenement w dziejach całej III Rzeczypospolitej. Poza tym opieranie rozwoju państwa na przywilejach dla inwestycji zagranicznych już dawno okazało się być ślepą uliczką, o czym przekonali się państwa Ameryki Łacińskiej. Skoro polityka ma się opierać na wiedzy, to najwyższy czas wyciągnąć z niej wnioski. Dramatycznie dochodzą do nich zwłaszcza w gminach, które uważały, że jedna zagraniczna fabryka rozwiązuje im problem zatrudnienia. Kiedy jednak znikła ta jedna wymarzona fabryka, a w tym czasie wyeliminowano już małe, lokalne przedsięwzięcia, to bezrobocie przybiera rozmiar klęski żywiołowej.

Czyli działania polityków powinny iść w kierunku ułatwienia prowadzenia działalności gospodarczej...

Żadnego ułatwiania, tylko przywrócenia wolności gospodarczej. Skoro dziś można ułatwiać działalność, to jutro można ją utrudniać. Konstytucja gwarantuje wolność gospodarczą, a ponadto nasza obecność w Unii nie przeszkadza w przywróceniu ustawy Wilczka, o czym powiedział przedstawiciel Komisji Europejskiej na konferencji zorganizowanej w 20. rocznicę jej wprowadzenia. Zwiększy się tylko lista ustaw, które przestaną obowiązywać. Wolność gospodarcza powinna być dla wszystkich, dlatego rządzący powinni z marszu zrównać polskie firmy w prawach wcześniej przyznanych międzynarodowym koncernom.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



PIOTR GABRYEL

PROSTO ZYGAKIEM

Tusk z zabawką Morawieckiego

To prawda – czasami naprawdę dużo się musi zmienić, żeby wszystko zostało po staremu. Czasami w tym celu musi powstać całkiem nowa większość rządząca Polską, a z nią nowy rząd, z nowym – choć akurat w tym wypadku starym – premierem; premierem Tuskiem. I wraz z jego powstaniem musi zostać zdecydowanie – w całości – odrzucone wszystko, co może się choćby tylko kojarzyć z poprzednim rządem.

Muszą zatem zostać przejęte przy pomocy „silnych ludzi” państwowe telewizja i radio. Wieczorne wiadomości TVP muszą zyskać nową nazwę i odmienną oprawę graficzną, zmienić się też muszą wszyscy prowadzący wszystkich programów telewizyjnych i radiowych. Muszą zostać obaleni wszyscy prokuratorzy i sędziowie minionego reżimu i powołani na ich miejsca nowi. Muszą zostać wyrzuceni wszyscy członkowie wszystkich rad nadzorczych i wszyscy członkowie zarządów wszystkich spółek Skarbu Państwa. Muszą zostać wyrzucone na nice podstawy programowe przedmiotów poprzez wyrugowanie z nich wstępczego, co niesłuszne.

Lecz oczywiście – po zmianieniu tego wszystkiego i wymienieniu tych wszystkich – założony przez premiera Morawieckiego i osobiście przez niego zarządzany, od kilku lat koncertowo demolujący przejrzystość polskich finansów publicznych Fundusz

Przeciwdziałania COVID-19 nie może się zmarnować i dlatego nadal służyć będzie demolowaniu przejrzystości finansów publicznych Polski – tyle że tym razem już przez rząd premiera Tuska i przez niego osobiście.

Mimo że przed przejściem władzy – w trakcie kampanii przedwyborczej – politycy ekipy Tuska nie zostawiali na owym Funduszu Przeciwdziałania COVID-19 ani jednej suchej nitki, przedstawiając go – jak najbardziej słusznie – jako wcielenie zła i żywy symbol wyprowadzania z legalnego budżetu państwa i spod kontroli jego posłów i senatorów – i to całymi dziesiątkami miliardów złotych – ogromnych sum pieniędzy, zapisywanych po stronie długu RP, który w całości będą musieli spłacić polscy podatnicy.

No i, przechodząc do szczegółów, w tym roku Tusk, choć rząd Morawieckiego obalił w roku ubiegłym, zamierza użyć tego dewastującego przejrzystość finansów publicznych Polski funduszu do przepompowania przezeń – poza budżetem państwa i kontrolą Sejmu i Senatu – kolejnych miliardów złotych. I to nie aż 40 mld zł – jak planował Morawiecki – a aż 60 mld zł. A w przyszłym roku – panie premierze Tusk – ile to będzie miliardów?

Cóż, zepsuć coś – tak, jak to zrobił premier Morawiecki – jest łatwo, lecz znaleźć w sobie wolę i umiejętność, by to naprawić – znacznie trudniej. ©©



ŁUKASZ WARZECHA

NOTATNIK MALKONTENTA

Antifa w Parlamencie Europejskim

Wśród europosłów X kadencji w grupie Zielonych zasiadzie osoba, której miejsce powinno być na lata za kratami, a nie w instytucji stanowiącej europejskie prawo. To Ilaria Salis, Włoszka zatrzymana w Budapeszcie w pierwszej połowie 2023 r. Media głównego nurtu piszą o zdobyciu przez nią mandatu w tonie triumfu. Wyrażały też oburzenie, gdy do sądu na Węgrzech była wprowadzana w specjalnych kajdankach dla groźnych przestępców, oraz zachwycając się tym, że wybór

pesztu specjalnie po to, żeby bić. Jej celem byli uczestnicy demonstracji z okazji Dnia Honoru (rocznica nieudanej próby wyrwania się niemieckich i sprzyjających im węgierskich oddziałów z sowieckiego okrążenia w Budzie w 1945 r.). Dzień Honoru nie jest w żaden sposób powiązany z węgierską władzą, a w 2022 r. demonstracja została nawet zakazana.

Antifowcy nie byli jednak w stanie zidentyfikować uczestników demonstracji, zaczęli więc bić na ulicy przypadkowych ludzi. Potraktowali tak dziesięć osób, w tym starszego człowieka. Niektórzy ledwo uszli z życiem. W sieci można znaleźć filmy pokazujące niektóre z pobic – robią przerażające wrażenie. Salis policja zatrzymała z teleskopową pałką w kieszeni.

Zieloni, wstawiając terrorystkę na listę we Włoszech, doskonale wiedzieli, co robią. Chcieli jej w ten sposób załatwić immunitet. O tym przypadku milczą ci, którzy się oburzają, że podobny był cel PiS, gdy na listach umieszczał panów Wąsika, Kamińskiego i Obajtka. Nawet jeśli w ich przypadku też tak było, to w przypadku Salis mamy do czynienia z czymś znacznie drastyczniejszym: ze sfantazyzowanym bandytą, który w imię lewicowej ideologii gotów jest bez mrugnienia okiem używać brutalnej siły. Wstyd i hańba. ©©

Zieloni, wstawiając terrorystkę na listę we Włoszech, doskonale wiedzieli, co robią

na europośła wymusił na Węgrzech zwolnienie pani Salis. Zapominają opisać dokładnie, za co Włoszka znalazła się w areszcie i za co miała odpowiadać.

Ta skrajnie lewacka aktywistka, która w swoim kraju była już karana m.in. za nielegalne zajmowanie nieruchomości oraz napaść, jest jednocześnie aktywistką lewackiej organizacji terrorystycznej – Antify – która standardowo stosuje siłę. Z grupką swoich kolegów przyjechała do Buda-

Wymarzone wakacje

Plany wakacyjne ma już 63 proc. Polaków – wynika z badania Holiday Barometer 2024 zrealizowanego przez IPSOS w 21 krajach na zlecenie Europ Assistance. Większość Polaków chce wyjechać na rodzinne wakacje (87 proc.) lub odpoczywać ze swoją partnerką lub partnerem (71 proc.). Z dziećmi na letni wypoczynek wybierze się 47 proc. pytanym, a z przyjaciółmi 18 proc. Z mody niemal zupełnie wyszły za to podróże singli i singielek. W pojedynkę na tegoroczne wakacje chce wybrać się zaledwie 8 proc. Polaków. Aż 58 proc. pytanym uważa bowiem, że idealne wakacje to takie, które spędza się z rodziną lub przyjaciółmi. Dla 71 proc. doskonały urlop jest wówczas, gdy poznaje się nowe kultury i całkowicie zmienia otoczenie, a dla 65 proc. respondentów idealne wakacje to prostu czas odpoczynku i wyciszenia.

„PRACOWAKACJE” I POWOLNA TURYSTYKA

Tradycyjnie najczęściej planujemy dwutygodniowy urlop (36 proc.). 31 proc. respondentów zamierza na wakacje przeznaczyć jeden tydzień, a 14 proc. deklaruje, że zaplanowało aż trzytygodniowy wypoczynek. Dwa tygodnie urlopu to również europejska średnia. Minimalnie dłuższy letni odpoczynek planują jedynie Francuzi i Szwajcarzy. Nieco krócej niż przeciętny Polak zamierzają z kolei odpoczywać mieszkańcy Wielkiej Brytanii, Portugalii i Włoch. W tegorocznym badaniu pojawiło się też nowe zjawisko wśród Polaków: workation, czyli łączenie wakacji z pracą zdalną. Co prawda, większość Polaków nadal woli oddzielić czas wypoczynku od pracy, ale 36 proc. respondentów zadeklarowało, że połączy wakacje z pracą zawodową w taki sposób, że najpierw będą wyłącznie wypoczywać, a następnie zostaną w danym miejscu, aby w urlopowej scenerii wykonywać obowiązki zawodowe.

Tegoroczny raport pokazał również, że coraz popularniejsza w Polsce staje się tzw. powolna turystyka (slow tourism czy slow travel), która podobnie jak idea slow food polega na tym, że zamiast błyskawicznie odhaczać na liście kolejne zabytki do obejrzenia i robić setki zdjęć na Instagrama, smakuje się lokalne życie,



FOT. ADDBESTOCK



Jacek Przybylski

Podobnie jak w zeszłym roku większość Polaków planuje wyjechać na dwutygodniowe wakacje. Najchętniej wyruszymy nad polskie morze lub na wakacje zagraniczne, np. do Hiszpanii, Włoch, Chorwacji czy Grecji. Niemal co piąty Polak tegoroczny urlop spędzi jednak w domu. W tym roku pojawiły się również w Polsce nowe trendy jak „pracowakacje” czy podróże w powolnym rytmie

smakuje tradycyjne potrawy, poznaje historię oraz kulturę. Zainteresowanie tego typu turystyką wykazało w tym roku aż 75 proc. Polaków. Równie wysoko uplasował się wyjazd do mniej turystycznych miejsc (na ten wariant wskazało 77 proc. respondentów).

Część Polaków w tym roku nie planuje jednak żadnego wyjazdu. Z badania

Barometr Providenta, którego wyniki ogłoszono w ubiegłym tygodniu, wynika, że niemal co piąty Polak (19,3 proc.) tegoroczny urlop spędzi w domu. Ponad połowa Polaków w najnowszej edycji badania Providenta zadeklarowała, że powstrzymuje się przed podróżami ze względu na niewystarczające środki finansowe. 23 proc. pytanym to zaś po

prostu urlopowi domatorzy, którzy nie planują dalekich wypadów, ponieważ najlepiej odpoczywają w zaciszu własnego domu. Podobny odsetek zostanie w domu ze względów zdrowotnych, a 12 proc. nie wyjedzie na wakacje, ponieważ brakuje im towarzysza lub towarzysza wycieczki. 10 proc. nie może wyruszyć na urlop ze względu na obowiązki rodzinne, a 3,9 proc. zamiast wypoczywać na wakacjach, woli przeznaczyć wolny czas na przeprowadzenie remontu lub inne aktywności.

BAŁTYK ZAWSZE W MODZIE

Gdzie Polacy spędzą tegoroczne wakacje? W różnych raportach z badań opinii publicznej opublikowanych w ostatnich dniach niezmiennie w czołówce pojawiają się wakacje nad Bałtykiem. Według badania Holiday Barometer 2024 najczęściej wskazywanymi kierunkami krajowych wyjazdów są morze (65 proc., wzrost o 4 punkty procentowe) oraz góry (32 proc., spadek o 2 punkty procentowe).

39 proc. respondentów zadeklarowało z kolei, że wyjedzie za granicę. Najczęściej wskazywanymi przez Polaków kierunkami zagranicznymi były Hiszpania (10 proc.), Włochy (8 proc.) oraz Grecja (7 proc.). O wyborze właśnie tych krajów decyduje klimat i gwarancja dobrej pogody (stwierdziło tak 42 proc. respondentów, wzrost aż o 16 p.p. w porównaniu z ubiegłym rokiem), a także to, że respondenci już tam byli i czują się w tych krajach bezpiecznie (30 proc. odpowiedzi).

Z badania Visa CEE Travel and Payment Intentions Study 2024 wynika z kolei, że Polacy, którzy wyruszą za granicę, najchętniej odwiedzą w tym roku Włochy, Chorwację i Grecję. Ci zaś, którzy wolą wakacje poza Starym Kontynentem, wyruszą do Egiptu, Maroka albo Tunezji.

Większość Europejczyków ankietowanych w ramach badania Holiday Barometer 2024 ma bardzo podobne do Polaków preferencje wakacyjne. Z badania przeprowadzonego przez IPSOS wynika, że podobnie jak nasi rodacy 64 proc. ankietowanych mieszkańców krajów Starego Kontynentu preferuje odpoczynek nad morzem. Polacy bardziej od innych nacji lubią za to letnie wędrowki po górach. W Europie góry jako wymarzone miejsce wypoczynku wskazało średnio tylko

22 proc. pytanym (choć np. Czesi byli już blisko polskiego wyniku, bo 29 proc. z nich chce latem zdobywać szczyty).

Z kolei z Barometru Providenta wynika, że 31 proc. w tym roku chce wyjechać na zagraniczne wakacje, 28 proc. wybrało odpoczynek nad Morzem Bałtyckim, a w polskie góry zamierza wyruszyć co szósty Polak. Na wycieczkę do innego polskiego miasta wyjedzie co 10. ankietowany, a 8,8 proc. pytanym zamierza odpocząć na wsi lub na Mazurach (6,9 proc.).

DROŻEJ NIŻ PRZED ROKIEM

Raporty publikowane przed wakacjami różnią się co prawda średnią kwotą, którą Polacy planują wydać na tegoroczne wakacje, ale jeden trend widać wyraźnie: na urlop w 2024 r. chcą wydać więcej niż rok wcześniej.

Najnowszy Barometr Providenta pokazuje, że średnia kwota, którą Polacy przeznaczą na wyjazd w tym roku, wynosi 3713 zł, czyli o 513 zł więcej niż rok temu i niemal 1 tys. zł więcej niż w roku 2022. Na szczęście Polacy w większości bardzo rozsądnie podchodzą do finansowania wakacyjnych eskapad. Niemal połowa z nich skorzysta w tym celu z oszczędności, a 39 proc. wystarczą środki z bieżących dochodów. Tylko niespełna 2 proc. osób zrobi użytek z karty kredytowej lub zdecyduje się na pożyczkę – wskazała rzeczniczka prasowa Provident Polska Karolina Łuczak. Wnioski te potwierdzają wyniki badania „Polaków Portfel Własny: Wiosenne wyzwania” Santander Consumer Banku. Wskazują one, że prawie 60 proc. Polaków planuje wybrać się na wakacyjny wyjazd, dysponując budżetem wynoszącym do 3 tys. zł na osobę. 22 proc. respondentów planuje przeznaczyć na urlop między 1001 a 2000 zł na osobę, 18 proc. chce zmieścić się w widełkach 2001–3000 zł, a co 10. ankietowany chce na wakacje wydać nie więcej niż 900 zł.

Z Barometru Providenta wynika, że 38,2 proc. Polaków pieniądze potrzebne na wakacje odkłada przez pół roku lub mniej, a 35,4 proc. pytanym na zgromadzenie odpowiedniej kwoty na urlop potrzebuje od siedmiu do dwunastu miesięcy.

Z kolei badanie Holiday Barometer 2024 pokazało, że na tegoroczne wakacje Polacy planują przeznaczyć średnio

7040 zł, czyli o 1550 zł więcej niż rok wcześniej. Ze skutkami inflacji i wysokich cen, które niepokoją 74 proc. ankietowanych, polscy urlopowicze zamierzają radzić sobie, szukając atrakcyjnych ofert last minute (56 proc. badanych), zmniejszając wydatki na jedzenie, zwiedzanie i aktywności w wakacyjnym kurorcie (53 proc.) lub wybierając tańszy nocleg (na tę odpowiedź wskazało 51 proc. pytanym).

RACZEJ W HOTELOWACH NIŻ W NAMIOTACH I KAMPERACH

Większość ankietowanych przez IPSOS Polaków deklaruje, że wakacje spędzi w hotelach (48 proc.). Nieco ponad jedna trzecia respondentów (34 proc., wzrost o 11 p.p.) zdecyduje się na wynajem domu lub mieszkania. 18 proc. pytanym spędzi urlop w domu przyjaciela, rodziny lub we własnym domu letniskowym. A kolejne 18 proc. planuje wynająć pokój w pensjonacie. Najmniej popularne są wyjazdy kamperem – ten sposób spędzenia wakacji planuje zaledwie 4 proc. badanych (tyle samo, co przed rokiem). Nowością w tegorocznym zestawieniu form zakwaterowania w badaniu Holiday Barometer jest opcja zamiany domów (zadeklarowało ją 4 proc. pytanym).

Na hotele najczęściej wskazywali również ankietowani w Barometrze Providenta. 20,6 proc. pytanym wybrało z kolei pensjonaty, 18,7 proc. zadeklarowało, że wakacje spędzi u rodziny lub znajomych, a 16,7 proc. wskazało na domek letniskowy. 4,3 proc. respondentów planuje z kolei noclegi na polu namiotowym.

RZADZIEJ SAMOCHÓD, CZĘŚCIEJ SAMOŁOT

Jak dostaniemy się na miejsce wypoczynku? Większość Polaków na tegoroczny urlop dotrze własnym samochodem (46 proc. respondentów w badaniu Holiday Barometer, o 5 p.p. mniej niż w roku 2023). Niewiele mniej na wakacje poleci samolotem (40 proc., o 9 p.p. więcej niż rok wcześniej). Na pociąg wskazało z kolei 22 proc. ankietowanych (4 p.p. więcej niż w roku 2023). Najrzadziej wybieranym przez respondentów środkiem wakacyjnego transportu były autokar lub bus (wskazało na niego 12 proc. pytanym).

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



Łukasz Majchrzyk

Na największych turniejach rodziły się i gasły wielkie gwiazdy. Tak samo może być teraz w Niemczech

Mistrzostwa Europy w piłce nożnej to jedna z największych imprez sportowych na świecie, zaraz po letnich igrzyskach olimpijskich, futbolowym mundialu, a tuż obok pucharu świata w rugby. W czerwcu i lipcu europejska piłka skupi na sobie uwagę kibiców z całego świata, bo przecież na boiskach będzie się roilo od gwiazd, trybuny będą pełne i można być pewnym, że zdarzy się coś, o czym będzie się dyskutować tygodniami. Będą piękne gole, znakomite parady bramkarzy, kontrowersyjne decyzje sędziów, błędy, po których jedni będą płakać, a inni wznosić ręce w geście triumfu.

Po tym turnieju kilku piłkarzy na pewno zapisze się w historii futbolu, bo tak jest zawsze, przynajmniej od czasu, kiedy telewizja na dobre przejęła władzę nad widowiskami sportowymi. Zawsze przy takich okazjach pojawiały się wielkie gwiazdy, a inne gasły i schodziły ze sceny, bo trudno sobie wyobrazić lepsze okoliczności do zebrania owacji. Choć, wiadomo, nie jest łatwo wybrać dobry moment na zakończenie kariery, bo jeśli nogi jeszcze trochę niosą i odnosi się sukcesy, to kusi, żeby ten sen przedłużyć. I nagle się okazuje, że już jest o jeden sezon za późno, a dawna chwała rozmienna się na drobne.

W PEŁNI SIĘ

Jeśli nadarzają się sprzyjające okoliczności, to może nie warto czekać? Jesteś wielki, dostajesz wielką scenę, a już od ciebie zależy, czy skorzystasz z możliwości. Toni Kroos postanowił nie czekać i właśnie turniej w Niemczech wybrał sobie na miejsce pożegnania z wielkim futbolem. Stary, nawet jak na piłkarza, jeszcze nie jest, ma ledwie 34 lata (taki Cristiano Ronaldo za chwilę stanie się 40-latką) i przy dzisiejszej opiece medycznej pewnie mógłby jeszcze trochę pograć, ale wołał powiedzieć: dość.

Sam najlepiej zna swoje ciało i wie, czego potrzebuje jego rodzina, więc z tą

Ześć ze sceny niepokonanym



Toni Kroos wybrał turniej w Niemczech na miejsce pożegnania z wielkim futbolem FOT. NURPHOTO/GETTY IMAGES

decyzją nie ma sensu dyskutować, a że przy okazji może zejść ze sceny w ojczyźnie, oklaskiwany przez tysiące życzliwych kibiców, którym przez lata zapewniał pozytywne emocje, to pewnie tylko pomogło w decyzji. Poza tym woli skończyć o sezon za wcześniej niż o jeden mecz za późno. Teraz, kiedy jeszcze ma wiele sił, jest według niego najlepszy moment.

– Dlaczego odchodzi? Ponieważ chcę być zapamiętany jako 34-letni Toni Kroos, który na koniec rozegrał swój najlepszy

sezon dla Realu. Odbieram jako komplement to, że wiele osób uważa, iż jest na pożegnanie za wcześnie. Zawsze chciałem zdobywać puchary. Wygranie Ligi Mistrzów było dla mnie wielką motywacją przed startem każdego sezonu. Cieszę się, że udało się to zrobić na koniec kariery – wyznał w rozmowie z „Kickerem”.

Pierwsza część schodzenia ze sceny udało mu się to znakomicie, bo Real w finale Ligi Mistrzów pokonał Borussię Dortmund 2:0. Teraz przed Niemcem kolej-

na wielką scenę i kolejną szansę na owację na stojąco. Gdyby podniósł w górę puchar za zdobycie mistrzostwa Europy, klaskałby mu cały świat, a jego ostatni mecz w karierze śledziłby na żywo setki milionów widzów. Kolejne setki milionów pisałyby i czytały o tym w Internecie, a obrazki Kroso podnoszącego puchar zostałyby z nami do końca świata i jeden dzień dłużej.

A może puchar podniesie jego klubowy kolega, Chorwat Luka Modrić, który ma już 39 lat i raczej niewiele gry przed sobą? Z Realem też się już pożegnał, choć w tym przypadku trudno mówić o zaskoczeniu – ze względu na wiek. Teraz czas na godne pożegnanie z reprezentacją. Czy Chorwację stać na walkę o medale? Od mundialu w Rosji, gdzie obecne pokolenie chorwackich piłkarzy było u szczytu możliwości i doszło do finału, minęło już sześć lat. Może jednak wykrzeszą z siebie siły na „ostatni taniec”? Może niezniszczalny Modrić poda fenomenalnie kolegom kilka razy i doprowadzi ich do finału?

DOBRY I ZŁY FINAŁ

Byłoby w tym coś magicznego, gdyby któryś z piłkarzy Realu podniósł w górę puchar, bo tak udaje się schodzić ze sceny tylko nielicznym piłkarzom. Kto jeszcze tego doświadczył? Od razu przychodzi na myśl Pelé, pierwszy gwiazdor światowego formatu ery futbolu telewizyjnego. Tych, którzy byli przed nim, znamy z relacji w gazetach. Może zachwycali tak samo jak fenomenalny Brazylijczyk, może strzelali gole z jeszcze większą łatwością, ale to właśnie Pelé dał się poznać całemu światu dzięki transmisjom telewizyjnym. Miał po prostu szczęście, że urodził się w tym, a nie innym momencie.

Kiedy debiutował na wielkiej piłkarskiej scenie podczas mistrzostw świata w Szwecji w 1958 r., telewizja przeżywała właśnie swój gwałtowny rozkwit. Jeszcze cztery lata wcześniej obrazków z meczów nie było zbyt wiele, niewiele osób mogło je obejrzeć, ale pod koniec lat 50. dało się pokazać światu znacznie więcej. I świat zobaczył, jak 17-letni Brazylijczyk porusza się z gracją po boisku i zdobywa kolejne bramki na drodze do mistrzostwa świata.

Tak zaczynał, a kiedy kończył, było jeszcze lepiej. Telewizja rozwinęła się na tyle, że cały mundial w Meksyku był pokazywany w kolorze i kibice na całym świecie mogli zobaczyć, jak wyglądają

złote koszulki drużyny Canarinhos. Pelé na tamte mistrzostwa świata miał nie jechać (cztery lata wcześniej często padał ofiarą fauli przeciwników, którzy nie umieli go powstrzymać). Dał się przekonać, pojechał i dobrze zrobił, bo na tamtym turnieju znów błyszczał, a jego drużynę uważa się odtąd za jedną z najlepszych w historii. Pelé zszedł z największej możliwej sceny, znoszony przez kibiców na rękach. Na żywo oklaskiwało go ok. 90 tys. widzów, a przed telewizorami wielokrotnie więcej.

Jednak sama wielka scena, wielki mecz i wielka klasa piłkarska nie wystarczą, żeby zejść z przytupem i zebrać zasłużoną brawę. Niektórym to się nie udaje, z różnych powodów. Może trzeba trochę szczęścia, może więcej pokory, a może mocniejszych nerwów? Diego Maradona, drugi z wielkich obok Pelégo (niektórzy powiedzą, że bezspornie najlepszy piłkarz w historii), pożegnał się z wielką sceną tak, jak cały czas żył – wśród krzyków i oskarżeń.

W 1994 r., zamiast pożegnalnego turnieju, na którym pomógłby Argentynie osiągnąć znaczący wynik, miał kolejną okazję do bitwy ze złym światem i z okropnymi mediami. Obłął testy antydopingowe i pojechał przedwcześnie do domu, a jego koledzy nie poradzili sobie z przeciętną Rumunią i odpadli z mundialu niedługo później.

Podobnie można powiedzieć o Zinedinie Zidane, który zaczął wielką karierę od wspaniałego występu w finale mistrzostw świata w 1998 r. i mógł zejść ze sceny, podnosząc w górę puchar, a wyleciał z boiska za uderzenie rywala w finale. Każdy, kto patrzył na wspaniałego piłkarza kończącego karierę w taki sposób, musiał odczuwać niesmak. Nie tak się to powinno było skończyć, ale trudno winić sędziego – musiał pokazać czerwoną kartkę, nawet jeśli Francuzowi mogły puścić nerwy.

Marco Materazzi, specjalista od brudnej gry, umiał go sprowokować. Najpierw ciągnął Francuza za koszulkę, a gdy ten spytał, czy ma mu ją dać po meczu, Włoch odpowiedział, że wolałby jego siostrę. Taka wymiana zdań zakończyła się ciosem z główki w klatkę piersiową Materazziego i czerwoną kartką dla Zidane'a. Kilkadziesiąt minut później Włosi cieszyli się z mistrzostwa świata, a Francuzi przeżywali gorzkie porażki. Może gdyby był

z nimi kapitan, lepiej strzelaliby rzuty karne, ale tego nie dowiemy się już nigdy.

Lepiej by było, gdyby podobne obrazki już się nigdy nie powtórzyły. Wielcy mistrzowie nie zasługują na takie przykrości na oczach całego świata. Jeśli już ktoś ma się żegnać, to z klasą, zbierając zasłużoną brawę.

SZTAFETA POKOLEŃ

Ale może będzie też tak, że jeden schodzący ze sceny mistrz minie się z jakimś młodym piłkarzem, który czeka na swoją szansę? Wielkie turnieje zawsze kreowały wspaniałe gwiazdy. Polscy kibice doskonale o tym wiedzą, wspominając mecze Kazimierza Deyny w 1974 r. czy Zbigniewa Bońka osiem lat później. Nie byli już nastolatkami, kiedy się to działo, mieli swoje osiągnięcia, ale dopiero, kiedy weszli na największą scenę, stali się gwiazdami światowego formatu.

Takie historie ma każdy kraj. Na mundialu w 1998 r. objawił się talent Michaela Owena, który mijał Argentyńczyków jak tyczki slalomowe, jakby biorąc rewanż za to, co 12 lat wcześniej zrobił Maradona. Po tamtym meczu bohaterem został Owen, a wrogiem publicznym David Beckham, bo dał się sprowokować, został wyrzucony z boiska, a Anglia odpadła po rzutach karnych. Dopiero jakiś czas później chłopak z Manchesteru stał się bohaterem na Wyspach Brytyjskich, kiedy w finale Ligi Mistrzów poprowadził Manchester United do zwycięstwa z Bayernem Monachium.

W 2004 r. na wielką scenę wkroczył młodziutki chłopak urodzony na Maderze. W meczu otwarcia strzelił Grekom bramkę, a po przegranej z tą samą drużyną finale płakał. Miał wtedy niespełna 19 lat i całą karierę przed sobą. W reprezentacji przejął rolę największej gwiazdy od Luisa Figo, a dziś powoli schodzi ze sceny, ale ciągle ma apetyt na trofea. Może w portugalskiej kadrze czai się kolejny Ronaldo, który tylko czeka na swoją szansę?

A może ten turniej będzie trampoliną do wielkiej kariery dla któregoś z reprezentantów Polski? Może zachwycą wszystkich Nicola Zalewski albo Kacper Urbański, którzy na boisku nie znają strachu i idą po gole i zwycięstwa jak po swoje?

Wszystko będzie wiadomo już niebawem. Scena jest gotowa. Aktorom pozostaje dobrze zagrać swoją rolę.

BMW iX2 xDRIVE 30



aktywacji maksymalnego zasięgu – wówczas prędkość jest ograniczona do 90 km/h i klimatyzacja jest ograniczona, ale za to maksymalny zasięg rośnie do 515 km. Tej opcji latem nie polecam, choć fajnie, że jest jakiś sprytny patent na to, aby w razie potrzeby doczłapać jakoś do najbliższej stacji ładowania.

Podczas czerwcowego testu z włączoną klimatyzacją i jazdy normalnymi drogowymi prędkościami (z pominięciem autostrad i dróg szybkiego ruchu) maksymalny zasięg wynosił 455 km. Nawet po wjechaniu na A2 i częstym dociskaniu pedału gazu średnie zużycie energii w cyklu mieszanym wynosiło ok. 15 kWh/100 km. Nieźle. Na uzupełnienie energii od 20 do 99 proc. potrzeba zaś niecałej godziny.

Kabina jest przestronna i dobrze wykończona.

Bagażnik ma 525 l pojemności, co – biorąc pod uwagę konieczność zmieszczenia gdzieś baterii – jest bardzo dobrym wynikiem. Na pochwałę zasługuje też fantastyczny układ kierowniczy. Autem podróżuje się dynamicznie i przeważnie komfortowo, choć akurat jakość resorowania jest nieco rozczarowująca jak na tradycyjnie bardzo wysokie standardy BMW.

Za BMW iX2 – dostępne również z dopłatą z programu „Mój elektryk” – trzeba zapłacić minimum 230,5 tys. zł. Cena tego modelu w pakiecie sportowym M zaczyna się od 248,2 tys. zł, a w testowanej wersji silnikowej xDrive 30 konfiguracja zaczyna się od ceny 285,2 tys. zł. Wystarczy dołożyć „Pakiet innowacji” i cena na fakturze przekracza 300 tys. zł. ©

Trzysta trzynaście koni mechanicznych, 490 Nm momentu obrotowego, dwa silniki, po jednym na każdą oś. To krótka charakterystyka najmocniejszego w Europie wariantu modelu iX2 ze stajni BMW, który na przyspieszenie od zera do setki potrzebuje zaledwie 5,6 s.

Ważący nieco ponad 2600 kg sportowy rodzinny crossover coupé już w standardowej wersji wygląda masywnie. Wersja uzbrojona w pakiet sportowy M jest zaś jeszcze bardziej drapieżna – ma m.in. obniżony o 15 mm adaptacyjny układ jezdnny, 20-calowe obręcze kół, a wewnątrz sportowy, mięsistą skórzaną kierownicę, a także duży zakrzywiony

wyświetlacz, który łączy ze sobą dotykowy ekran systemu multimedialnego oraz zestaw cyfrowych zegarów. Charakterystyczny, ogromny, podświetlany grill zwłaszcza po zmroku przyciąga wzrok przechodniów obu płci.

W tym aucie hasło „elektryczna radość z jazdy” nie brzmi tylko jak marketingowe przechwálki. Najpotężniejszą elektryczną X2 na jednym ładowaniu można według producenta przejechać 430 km (zasięg WLTP od 417 do 449 km). Zasięg rzeczywisty zależy od pogody, stylu jazdy, ustawień klimatyzacji etc. BMW oferuje nie tylko różne tryby jazdy, w tym ekonomiczny, lecz także opcję

FOT. JAP

HUAWEI MATEPAD 11.5 S PAPERMATE EDITION

Świetny matowy wyświetlacz, bardzo dobry rysik oraz smukła, aluminiowa konstrukcja – to największe zalety najnowszego tabletu chińskiej firmy Huawei.

Testowane urządzenie to w świecie Androida jeden z najlepszych tabletów do czytania, robienia odręcznych notatek, a także – co ucieszy cyfrowych artystów – tworzenia rysunków.

Najważniejszą zaletą nowego modelu MatePada jest 11,5-calowy matowy wyświetlacz IPS o rozdzielczości 2800 x 1840 pikseli (2.8K), który całkiem sprawnie imituje tradycyjny papier. Producent zapewnia, że nowa powłoka antyrefleksyjna odbija 99 proc. zakłóceń świetlnych z otoczenia. Kolory są poprawnie odwzorowane. Adaptacyjna częstotliwość odświeżania wynosi od 30 Hz do aż 144 Hz. Tablet otrzymał też certyfikaty zaświadczone o tym, że skutecznie chroni wzrok, co jest dobrą wiadomością dla moli książkowych, którzy od typowych czytników wolą urządzenia bardziej uniwersalne, typu tablet właśnie. W czytaniu na plaży pomóc może maksymalna jasność na poziomie 500 nitów.

Na pochwałę zasługuje także aluminiowa konstrukcja. Tablet waży 510 g, a jego grubość wynosi 6,3 mm. Sercem urządzenia jest procesor Kirin 9000WL,



który współpracuje z 8 GB pamięci RAM. Na dane producent przewidział 256 GB. Nie jest to na pewno król wydajności, ale aplikacje otwierają się płynnie, więc nie ma co narzekać. Dużym plusem jest rysik. Dzięki technologii bezprzewodowej NearLink opóźnienie jest minimalne, a słowa czy rysunki pojawiają się na ekranie niemal natychmiast. A do tego pisząc nim lub rysując po ekranie, można odnieść wrażenie, że ma się do dyspozycji kartkę tradycyjnego papieru.

Bateria o pojemności 8800 mAh sprawia, że przy standardowym użytkowaniu tablet powinien wytrzymać trzy–cztery dni na jednym ładowaniu. Zaskakująco fajnie brzmi też wbudowane w urządzenie głośniki.

Wady? Na rynku jest tylko wersja wi-fi (nie ma miejsca na kartę SIM ani opcji używania eSIM). Aparat fotograficzny może ewentualnie służyć do fotografowania dokumentów, ale nie do robienia dobrych zdjęć lub filmików (nawet w dobrych warunkach oświetleniowych są one co najwyżej przyzwoite). W tablecie brakuje czytnika linii papilarnych (urządzenie można odblokowywać za pomocą twarzy, kodu lub wzoru). Nie ma tu też oficjalnych usług Google (choć da się to łatwo obejść).

Cena: 1699 zł (z rysikiem) lub 1999 zł (z rysikiem oraz odłączaną klawiaturą). ©

PRZEWODNIK TURYSTYCZNY PO I RZECZYPOSPOLITEJ

Jezierna, biała plama historii



JACEK KOMUDA

Jezierna, dziś wieś, niegdyś miasteczko pod Tarnopolem, to miejsce dramatycznych wydarzeń, które rozegrały się w listopadzie 1655 r. Na jesieni wspomnianego roku Rzeczpospolita znajdowała się na krawędzi upadku. Litwa aż do Żmudzi zajęta była przez Moskwę, Ukraina przez Kozaków, a od zachodu wkraczały wojska szwedzkie. Szlachta przyjmowała władzę króla Karola X Gustawa. Pobity Jan Kazimierz uszedł na Śląsk.

Tymczasem z Ukrainy ciągnęli kozacki hetman Bohdan Chmielnicki i wspierające go wojska moskiewskie Wasilija Buturlina. 25 września stanęli pod Lwowem, który umocniony przez Krzysztofa Grodzickiego stawiał opór Kozakom. Chmielnicki zamierzał zdobyć miasto, zanim

przejmą go Szwedzi.

Sytuacja polityczna się zmieniła, kiedy 19 października

w nocy – jak podaje

Ludwik Kubala – doszła do hetmana wieść, że chan

tatarski Mehmed IV Gerej uderzył

z tatarską ordą na ziemię Ukrainy. Obawiając się odcięcia i osaczenia w trakcie oblężenia, Chmielnicki porzucił Lwów 7 listopada, trzy dni później odszedł Buturlin. Rozpoczęli odwrót. Za późno.

Chmielnicki z armią znajdował się dopiero w Żałożcach, miasteczku na północnym wschodzie od Lwowa, kiedy doszły go wieści o nadciąganiu ordy. Wezwał natychmiast pozostałą część wojska znajdującą się w Białym Kamieniu, a potem cofnął do Złoczowa, gdzie złączył się z Buturlinem. Następnie ruszył do Zborowa, chcąc przebić się przez Tarnopol, ale pod Jezierną



FOT. DOMENA PUBLICZNA

tabory kozacki i moskiewski zostały otoczone przez Tatarów, podobnie jak pięć lat wcześniej wojska Jana Kazimierza pod Zborowem.

Chan Mehmed Gerej jednak po pierwszych starciach przysłał posłów, przedstawiając warunki ugody, pod którymi zgadzał się darować Chmielnickiemu życie. Były trudne – hetman miał ponownie uznać za pana króla Jana Kazimierza, ograniczyć liczbę Kozaków rejestrowych do 6 tys., wydać Moskali Tatarom, a także wyruszyć z chanem przeciwko Szwedom. Nie do przyjęcia! Chmielnicki zatem pertraktował, podczas gdy w polu trwały utarczki. Kozakom i Moskwie naprzykrzało się zwłaszcza oddział polski z Kamieńca pod dowództwem Piotra Potockiego, który dołączył do ordy. Ostatecznie chan zdecydował się wypuścić Buturlina i jego ludzi w zamian za okup i oddanie łupów. Chmielnicki zgodził się wrócić pod władzę Jana Kazimierza, jednak sprytnie zastrzegł, że wystąpi zbrojnie przeciwko Szwedom dopiero wówczas, kiedy król wróci do kraju, zbierze wojsko i zaprzysięgnie wolności kozackie. Jednocześnie zgodził się na odnowienie przymierza z Mehmedem Gerejem; przysięgę złożyli zarówno on, jak i obecni w obozie pułkownicy kozaccy.

Postępowanie takie pod bokiem Buturlina było jawnym złamaniem unii perejasławskiej sprzed dwóch lat, kiedy Chmielnicki uznał władzę cara Aleksego Michajłowicza.

Ludwik Kubala pisał, że przymierze z chanem pozostało tajne – nie można w to wierzyć, skoro przysięgali także zaporoscy pułkownicy, a wszystko działo się pod bokiem Buturlina. W dodatku chan wysłał zaraz listy do króla i innych panów polskich, w których zawiadamiał, że przywrócił pod władzę króla Kozaków, a teraz razem z Chmielnickim idzie na pomoc „swemu bratu Janowi Kazimierzowi”, i groził karą tym, którzy uznali władzę szwedzkiego króla Karola Gustawa.

Kozacki hetman nie poniósł jednak konsekwencji odstąpienia. Wydaje się, że nawet Buturlin rozumiał, iż było ono wymuszone przez tragiczną sytuację strategiczną. Wróciwszy do Czehrynia, Chmielnicki zwołał radę kozacką, potwierdził raz jeszcze wolę pozostania pod carskim panowaniem i ofiarował carowi Wołyn i Ruś Czerwoną, jako należące do mitycznego Księstwa Ruskiego. Chmielnicki w zasadzie oszukał wszystkich – chana, z którym przymierza nie dotrzymał, cara, któremu deklarował wierność, najmniej chyba króla Jana Kazimierza. Hetman rozpoczął bowiem dyplomatyczną grę ze Szwecją, obiecując jej władcy pomoc w uspokojeniu Rzeczypospolitej, w zamian za co uzyskać miał Ukrainę jako niezależne księstwo.

Wymuszony układ to biała plama w historii Rzeczypospolitej. Mało kto o nim pisał, był jednak korzystny dla Rzeczypospolitej. Do 1657 r. Chmielnicki poniechał działań zbrojnych. Układ pokazywał, że król, który uszedł na Śląsk, ciągle ma potężnego sprzymierzeńca – Tatarów – a uniwersały Mehmeda Gereja, iż idzie na pomoc królowi, wspierały bohaterów stawiających opór Szwedom, niepewnych zaś skłaniały do porzucenia służby u najeźdźcy. ©

I RZECZYPOSPOLITA

Jezierna



ANNA POPEK Z D. CHRZUK
I MAGDALENA M. KRUPA Z D. CHRZUK

SIOSTRY GOTUJĄ

Czerwcowe najlepsze

Szczyt sezonu na truskawki w pełni, ceny powoli spadają. Każdy z nas może już sobie pozwolić na te owoce. Według badań na żaden inny owoc sezonowy Polacy nie czekają tak jak na truskawkę właśnie. Truskawka to inaczej poziomka ananasowa lub wielkoowocowa i jest dziełem nie natury, a francuskiego botanika Antoine'a Nicolasa Duchesne'a, który w 1712 r. na dworze Ludwika XIV dokonał połączenia dwóch poziomek – chilijskiej i wirginijskiej. Z tego połączenia powstała właśnie nasza ulubiona truskawka, która jest najpopularniejszym i najchętniej uprawianym owocem w naszym kraju, ma wiele walorów smakowych. Polską stolicą truskawki jest gmina Czerwiniś nad Wisłą, gdzie obecnie te rosną na bardzo dużym areale.

Co ważne, są powody, aby jeść truskawki jak najczęściej. Są bogate w przeciwutleniacze, witaminy C, K, foliany, składniki mineralne oraz błonnik, są też źródłem polifenoli. Nazwa truskawki pochodzi od dźwiękonaśladowczego „trusk”, co oznacza szelest, czyli lekkie trzaskanie, natomiast w gwarze śląskiej mówimy o nich bodzimki. Są lekkostrawne i niskokaloryczne – 1 kg to tylko

320 kcal, możemy z nich przygotować wiele znakomych deserów.

Również w wersji wytrawnej smakują bardzo dobrze, np. dodane do sałaty z kozim serem albo jako baza sosu do mięs. Naszym absolutnym hitem z dziecięcych lat był makaron z truskawkami i ze śmietaną, oczywiście posypyany obficie cukrem, na który wówczas patrzono bez żadnych negatywnych skojarzeń. Ale nic dziwnego – był na kartki. W sezonie taki makaron pojawiał się obowiązkowo kilka razy na naszym stole. Teraz też podajemy go latem. Oprócz tego lubimy również dodawać świeże truskawki do koktajli z kefirem czy maślanką. Od jakiegoś czasu również pijemy wyciskany sok z ogórka zielonego, cytryny z dodatkiem truskawek, który doskonale oczyszcza organizm i bardzo dobrze nawadnia. Naszymi ulubionymi deserami są zapiekane truskawki w kogu-mogu albo pod kruszonką lub też tradycyjne ciasto drożdżowe z truskawkami i kruszonką.

Truskawki w kogu-mogu

- 300 g truskawek na porcję
- 4 miseczki ceramiczne do zapiekania w piekarniku
- 4–5 żółtek świeżych jaj
- ½ szklanki (ok. 100 g) cukru
- 1 łyżeczka cukru waniliowego

Piekarnik nagrzać do 200 st. C, przygotować pojemniczki do zapiekania. Truskawki opłukać, oczyścić, pokroić na połówki. Oddzielić żółtka od białek, do miski przełożyć żółtka, mikserem ubijać, powoli dodając cukier i cukier waniliowy, ubijać na puszystą, jasną masę. Owoce ułożyć w pojemniczkach, na wierzch nałożyć ubite żółtka i włożyć do piekarnika na ok. 10 min. ©©



JOANNA BOJAŃCZYK

NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU

Matka tka i tatka tka

Jest taki archetypiczny obraz babci: staruszka z koczkiem, w drucianych, zsuniętych z nosa okularach i koniecznie z robótką w rękę. Bo, jak wiadomo, współczesne babcie uwielbiają robić swetry i skarpetki na drutach, a wnuki uwielbiają je nosić.

Proszę się nie śmiać. To poważna sprawa. Dzierganie mam na myśli.

W naszym zabieganym życiu trzeba czasem się zatrzymać – mówią liczne poradniki. Ale jak? Mam odpowiedź: wziąć do ręki druty, ewentualnie szydełko, i do roboty. Poza relaksem owocem takiej działalności mogą być przytulna czapeczka, szaliczek, nawet sweterek. Do kompletu przydałyby się rękawiczki, ale to wyższa szkoła jazdy – potrzebne pięć drutów i duża zręczność.

O ile przyjemniej będzie to pożyteczne zajęcie spędzić w miłym towarzystwie! Niedawno była okazja, bo 8 czerwca w warszawskich Łazienkach odbył się Świątowy Dzień Dziergania. „Obchodzone na całym świecie już od prawie 20 lat święto łączy miłośników robótek ręcznych z różnych zakątków globu, promując dzierganie jako kreatywną i relaksującą formę spędzania czasu” – zachęcał profil Łazienek potencjalnych zainteresowanych (Król Stanisław lubi to).

Nie skorzystałam, ponieważ mając wyjątkowo bogatą ofertę spędzania czasu, nie mogłam się na nic zdecydować. Formą zajęć szczególnie

obecnie popularną są warsztaty. Warsztat samochodowy, myślą państwo? Proszę zapamiętać i zmienić myślenie.

Teraz mamy warsztaty nowej generacji: oddychania, pisanie, mówienie, tkanie, kulinarne, ceramiczne, stolarskie, artystyczne... Są warsztaty rozwijania kobiecości i warsztaty alternatywnego parzenia kawy. Dla dorosłych i dla dzieci.

Wydaje się, że kto nie chodzi teraz na jakiś warsztat, ten jest istotą niezupełną, której czegoś brakuje, tylko ona (istota) jeszcze o tym nie wie. Jakby ktoś nie chciał sam się podszkolić w jednej z tych dziedzin, może ofiarować voucher na warsztat, ponieważ, nie ma zmiłuj, wszystkie te kursy są płatne.

Wracając do dziergania. Na początku lat 70. warszawską bohemą opanował dziwny wirus: aktorzy, pisarze, intelektualiści siedzieli na kanapach salonów własnych i znających z szydełkami w rękach i produkowali tekstylia. Nie wiadomo, skąd się wzięło to stadne, ekscentryczne hobby. Czy był to prywatny manifest artystyczny, bardziej pożyteczny niż performerki obierające kartofle w muzeum, czy potrzeba ciepłej odzieży, której nie zaspokajał rynek? Nie wiem.

Sprawa jak powstała, tak znikła. Towarzystwo wróciło do dawnego bezszydełkowego życia, pozostawiając za sobą czapki. Nienoszone zresztą, bo modne już było co innego. Znaczący – inny warsztat. ©©





JERZY KARWELIS

DEKAMERONKI

Polska w przeciwfазie

No dobra, jesteście po trójskoku wyborczym i przechodzimy do innego matrixa. Powinno minąć wyborcze wzmoczenie i pora, by rządzący wreszcie się zajęli tym, od czego są – czyli rządzeniem. Boję się tylko, że spora część uśmiechniętej Polski będzie przebywać wciąż w matrixie wyborczym. Nawet jak rzeczywistość będzie skrzeczeć, a już skrzeczy.

Mamy wiele analiz tych ostatnich wyborów, choć to wybory dziwne i z pokręconą już maksymalnie ordynacją. Ale wychodzi z tego jednak jakiś sondażowy obraz obecnych trendów. Z tym że my tu analizujemy go pod kątem oddziaływania na naszą, polską scenę wyborczą. Ja się jednak wolę porównać do głoszącej Europy, by zobaczyć, w jakim właściwie miejscu jesteśmy w porównaniu z europejskim demosem. A wyszło dziwnie. Frekwencja u nas mniejsza o ponad 10 punktów procentowych w stosunku do średniej europejskiej. Głównie Zachód zwykował, a więc wychodzi, że oni tam mają inny niż my stosunek do tych wyborów. A może myśmy się już zmęczeni tą triadą wyborczą, której ordynacyjny los pozbawił inne kraje? Wydaje mi się jednak, że jest inaczej.

Główną dominantą kryteriów wyboru dla społeczeństw zachodnich była kwestia migracji. A oni tam nie głoszą za jakimiś projektami, ale za realnymi rezultatami swej błędnej polityki migra-

cyjnej, z którymi się spotykają codziennie. I to, że poszli tłumnie i zagłosowali w wielu przypadkach za politycznymi projektami antyimigracyjnymi, świadczy o pewnym poziomie świadomości. Realnej, nie tak jak w naszym przypadku – mocno teoretycznej. U nas migrantów myli się z Ukraińcami, a to i kulturowo, i praktycznie jednak nie to samo. W związku z tym dla nas temat ten nie jest tak dotkliwy jak dla tych społeczeństw, które mają go na żywo. I może się go chęć pozbyć, jak deklarował prezydent Macron – naszym kosztem. A co my na ten temat wiemy? W zwyczajnym obozie – widać to po wynikach – tyle, co powiedział premier: że nam to, ośobiście, jakoś załatwi, że zalewu nie będzie. Myślę, że to kolejna z obietnic przedwyborczych, która się tak rozmyje jak 100 konkretów PO, wyborcy zaś uśmiechnięci nie będą i z tego rozliczać Tuska, bo wystarczy im dowieszenie jednego postulatu: *****.

Ato oznacza, że u nas wojna polsko-polska pożera wszystko. Bo w porównaniu z progresywi-
stami na Zachodzie wypadamy tu słabiej. Nawet tam się budzą do rzeczywistości. My się obudzimy chyba dopiero na kolejne wybory, ale już z bagażem migracyjnym na poziomie dzisiejszego Zachodu, który już żałuje i, jak my w przyszłości, nie wie, co zrobić z tym migracyjnym faktem dokonanym. ©©



JAN POSPESZALSKI

#WARTO

Żłobki zamiast dzieci

Wiceminister rodziny i polityki społecznej ogłosiła, że na program „Aktywny Małuch” przeznaczono 6,5 mld. „To rekordowa kwota, za którą do 2029 r. chcemy utworzyć 102 tys. miejsc opieki” – chwali się Aleksandra Gajewska. Jednocześnie ukazała się książka „Demografia jest przyszłością. Czy Polska ma szansę odwrócić negatywne trendy?”. Autor, Mateusz Łakomy, nie poprzestaje na opisie katastrofy populacyjnej. Łakomy uwzględnia wielowymiarowy społeczny, ekonomiczny, kulturowy kontekst i dopiero z tej pozycji diagnozuje 10 barier wzrostu dzietności w Polsce.

Prognozy demograficzne są zatrważające. O najważniejszym problemie Polski mówi się ciągle za mało. Dane z początku kwietnia pokazują, że w ostatnich 12 miesiącach urodziło się 265 tys. dzieci, co pozwala prognozować, iż ten rok będzie jeszcze gorszy od poprzedniego. Cokolwiek dziś byśmy postanowili, efekty mogą przyjść najwcześniej po 20–30 latach. Liczba kobiet, które za 20 lat mogą zostać matkami, już jest znana. Ostatnie miesiące to rządy formacji wrogich rodzinie, a osiem lat Zjednoczonej Prawicy przyniosło kilka inicjatyw pronatalistycznych, które jednak trudno uznać za udane. Oprócz osławionego „500+” w 2021 r. Sejm przyjął ustawę o Instytucie Rodziny i Demografii, ale temat nigdy nie trafił nawet do komisji. Jednocześnie w KPRM powołano zespół, który miał

badać problematykę demografii – Instytut Pokolenia – ale ten, zanim zdążył przygotować jakiegokolwiek rekomendację dla rządu, został przez Tuska rozpędzony. W 2022 r. rząd Morawieckiego ogłosił Strategię Demograficzną dla Polski, ale oprócz słusznych spostrzeżeń, że zapewnienie wzrostu dzietności do poziomu zastępowalności pokoleń do 2040 r. jest priorytetem polityki państwa, niewiele z niej wynikało.

Czym innym jest wskazać cel, czym innym znaleźć środki. Jednym z opracowań Instytutu Pokolenia był raport o czeskim sukcesie demograficznym. Czynnikiem wzrostu dzietności u naszych sąsiadów jest system zasiłków macierzyńskich wypłacanych do ukończenia przez dziecko trzeciego roku życia. Jeśli matka urodzi kolejne przed upływem trzech lat, to nadwyżkę dostaje jednorazowo. Sprawia to m.in., że w Czechach tylko od 3 proc. do 5 proc. dzieci korzysta ze żłobków, bo matkom opłaca się zostać z dziećmi w domu. Skoro 6,5 mld zł to część kosztów utworzenia i utrzymania 102 tys. miejsc, to każde miejsce pochłonie ok. 64 tys. A przecież to zaledwie dofinansowanie, bo oprócz tego do każdego dziecka dopłacają rodzice i samorząd. Gdyby te pieniądze dać matkom, dla budżetu byłoby korzystniej, dla matek i dzieci znacznie lepiej, a czeski model pokazuje, że i u nas można by liczyć na demograficzny wzrost. ©©

SŁAWOMIR
JASTRZĘBOWSKI

CWIERTOK

Cud koalicji

Słowo przejęte przez Jeszcze Lepszą Zmianę TVP Info poinformowało na portalu X: „Z Odry znów wyławiane są martwe ryby”. Groooza! Stop. Złośliwi internauci przypomnieli wpis Donalda Tuska z roku 2022, kiedy rządził PiS: „Śnięte są nie tylko ryby w Odrze, śnięte jest całe państwo pod rządami Kaczyńskiego. PiS jest jak rękę”. Stop. Myślę, że w TVP Info za te bezsensowne i nieprzemyślane informacje szykują się zwolnienia. Przypomnę, że w Odrze nie było żadnej ręki. Ale kogo to obchodzi? Stop.

Ludziom, którzy nie wierzą w cuda, można wskazać koalicję 15 października, czy tam 13 grudnia (co kto woli), której funkcjonowanie oraz pewnego rodzaju chyba jedność jest cudem absolutnym, absolutnym, absolutnym. Stop. Cud oczywisty został ostatnio ujęty w tytule pewnej publikacji: „Żukowska ogłasza porozumienie w sprawie związków partnerskich, Kosiniak-Kamysz zaprzecza, Hołownia nic nie wie”. Stop. To albo cud, albo Monty Python...

Nieustannie w zdumienie wprawia opinię publiczną Giertych Roman, z zawodu adwokat. Stop. Teraz zdaje się tworzyć nowe prawo, w myśl którego Tomasz Mraza, który ma zarzuty w sprawie Funduszu Sprawiedliwości i który sypie ekipę Ziobry, licząc na mniejszą karę, można co prawda pokazywać z twarzy, lecz pod warunkiem że ma na tej twarzy debilne wąsy i lekko kretyńską

bródkę. Stop. Kiedy dziennikarze opublikowali normalne zdjęcie sygnalisty, Giertych się zatrząsł, że nie wolno bez szpiczów, i zagroził pozwami. Stop. Podzielone na co dzień środowisko dziennikarskie wyjątkowo zjednoczyło się w sprawie Giertycha, sugerując, że w głowie tego mecenasza to (wykreślone z powodu ostrożności procesowej) i to nielicho. Stop.

Z tym Giertychem to jest pewne zamieszanie, gdyż on gania PiS-owców i chce, żeby poszli do więzienia (choć nie wszyscy), ale – jak doniósł Cezary Gmyz – sam Giertych jest ganiany przez prokuraturę, która uważa go za podejrzanego i chce postawić zarzuty m.in. prania brudnych pieniędzy i działania na szkodę spółki. Stop. Moim zdaniem sprawa może zakończyć się więzieniem. Stop. Dla tych prokuratorów.

Na portalu X obserwujemy prawie na żywo, jak Jacek Protasiewicz stacza się w kierunku patologicznych walk w ringu. Stop. Dość poważny kiedyś polityk obecnie publikuje zdjęcia ze swoją młodą wybranką, której robi kanapki z ogórkiem lub pomidorem. Stop. Ostatnio opublikował zdjęcie swojej twarzy z uszkodzonym nosem, sugerując, że w trakcie zakrapianej imprezy doszło do... Może to już treningi z Daria przed patologicznymi walkami w ringu? Stop. Panie Jacku, spokojnie, dobrze płacą. © ©

Autor jest właścicielem portalu Salon24.pl.

DARIUSZ
WIEROMEJCZYK

SPODE ŁBA

Duchowi ojcowie

Bardzo ciekawą myślą podzielił się z Polakami były już premier Mateusz Morawiecki. Z właściwą sobie umiejętnością zmieniania poglądów i gładkiego godzenia sprzeczności oświadczył on, że prawdziwy wróg PiS oraz Konfederacji jest dziś po stronie „kosmopolitów”. Nie dzielił się on podobnymi spostrzeżeniami, uczestnicząc w Światowym Forum Gospodarczym w Davos. Tym razem Morawiecki oświadczył: „Od długiego czasu nie atakuję Konfederacji. Wiem, że mają inne spojrzenie na sferę podatkową, są bardziej libertariańscy, liberalni w pozytywnym znaczeniu tego słowa, w przeciwieństwie do neoliberalów z Platformy Obywatelskiej. Ponadto czuję się duchowym dzieckiem nie tylko Piłsudskiego, ale i Dmowskiego, więc mi jest po drodze z wieloma środowiskami narodowymi”.

Wielość duchowych ojców jest charakterystyczną cechą byłego polskiego premiera. Poza Piłsudskim i Dmowskim mógłby się do nich zapewne zaliczać także Klaus Schwab, którego Morawiecki wychwalał, snując w Davos plany o „ukształtowaniu nowego porządku fiskalnego, finansowego na świecie”.

Podobna do premiera przygoda spotkała w „Przygodach dobrego wojaka Szwejka” niejaką Różenę Gaudersównę, która „zaskarżyła kiedyś osiemnastu chłopów do sądu

o alimenty, ponieważ porodziła bliźniaczki. Jedno z tych bliźniąt miało jedno oko niebieskie, a drugie piwne, a drugie z tych bliźniąt miało jedno oko szare, a drugie czarne, więc ona wywnioskowała z tego, że odpowiedzialność za to spoczywa na czterech panach z podobnymi oczami, jako że ci panowie do owej winiarni chodzili na wino, i coś tam z nią mieli. Prócz tego to jedno z bliźniąt miało chromą nóżkę tak samo, jak pewien radca magistratu, który także chodził do tej winiarni, a to drugie dziecko miało sześć palców u jednej ręki, jak pewien poseł, który był codziennym gościem owego lokaliku”.

Spodobnie jak polityczne sumizgi Mateusza Morawieckiego, spełzły na niczym. „Wreszcie sąd zawyrokował, że w takim tłoku i ścisłu ojciec jest nieznany, więc też ona zwała wszystko na koniec na właściciela winiarni, u którego pracowała, ale on dowiódł, że już od lat dwudziestu jest impotentem skutkiem operacji, której musiał się poddać z powodu jakiegoś tam ostrego zapalenia kończyn dolnych [...]. Z tego wynika, że kto żąda za wiele, ten dostanie figę. Powinna była trzymać się jednego, a nie wygadywać przed sądem, że jedno bliźniątko pochodzi od pana posła, a drugie od radcy magistratu czy też od kogo innego”.

Wielka literatura potrafi być dla potomnych nauką i przestrogą. © ©

GRZEGORZ
KUCHARCZYK

Z INNEJ PERSPEKTYWY

Pierwszy z Bolesławów

Teraz jest wszystko jasne. Prezydent miasta Poznania Jacek Jaśkowiak ujawnił się jako zwolennik legendarnej wizji dziejów Polski spod znaku Wielkiej Lechii. Na początku czerwca przed urzędem miasta w Poznaniu stanęła grafika „koronująca” na króla Polski Lecha Wałęsę (Lech I Muroskoczek/Szczęśliwy Gracz/Pierwszy z Bolesławów). Pewnie ci sami graficy, którzy za okrągłą sumkę na zlecenie tego samego magistratu zaprojektowali wcześniej nowe, neutralne światopoglądowo logo miasta (tj. bez świętych – Piotra i Pawła – obecnych w herbie Poznania), tak ułożyli datę 4 czerwca pisaną rzymskimi cyframi, że nieskrępowany wiedzą historyczną widzi już wie wszystko:

Z uśmiechem odnosi się nie tylko do historii najnowszej, lecz także do zamierzonych początków państwa polskiego, które zaczęło się – wiemy już – nie w 966 r., nie w 1025 r., ale 4 czerwca 1989 r., wraz z początkiem Wielkiej Lechii. Koronacja Pierwszego z Bolesławów miała miejsce w Poznaniu, gdzieś w okolicach placu Kolegiackiego (siedziba poznańskiego magistratu).

Niech wreszcie Gniezno przestanie więc uzurpować sobie miano „pierwszej stolicy Polski” i „miejsca pierwszych polskich koronacji”. Prezydent Jaśkowiak wraz z grafikami sprawę definitywnie rozstrzygnął. No i dodatkowo postarał się o opiółowanie ojczystych dziejów z nadmiaru „fanatyzmu i zabobonu”, które kazały przez tyle lat wi-

Czy jednak Wielka Lechia aby nie była w średniowieczu? To już niech rozstrzygają posłowie dobrze wiedzący, kiedy było powstanie warszawskie, ilu było mędrców ze Wschodu i czy w ich gronie był jeden o imieniu Belzebub. Sprawa będzie wyjaśniona bez sypania piachu w tryby.

Pozostaną jednak ci – niewykształceni chodzący regularnie do kościoła w małych i średnich miejscowościach – którzy wbrew nowoczesnym edukatorom chcą poznawać historię przez podstawowe fakty i daty oraz tkwią w staromodnym poglądzie, że zanim zaczniemy rozmawiać o historii i teraźniejszości, trzeba poznać definicję podstawowych pojęć w rodzaju „demokracja”.

Trzydzieści pięć lat temu, 18 czerwca 1989 r., odbyła się w Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej druga tura wyborów parlamentarnych, uznawanych przez uśmiechniętych odkrywców Wielkiej Lechii za koniec komunizmu w Polsce. Między pierwszą turą (4 czerwca) a drugą tzw. strona solidarnościowa pokrywająca się mniej więcej z dzisiejszymi koronatorami Lecha Wałęsę zgodziła się na zmianę ordynacji wyborczej. Chodziło o to, by komuniści obsadzili w okręgach przydzielone im zawczasu przy Okrągłym Stole miejsca, które zostały skreślone przez wyborców nieznaną łacińską formułą pacta sunt servanda. Miliony wyborców, również wtedy chodzących regularnie do kościołów w małych i średnich miejscowościach, nie zrozumieli, że demokracja to nie są rządy ludu, tylko rządy demokratów. Szczerych, wyznających wartości europejskie i dążących do neutralności światopoglądowej demokratów. Poddanych w królestwie Pierwszego z Bolesławów. ©

Prezydent miasta Poznania czyni dzieje państwa wczesnopiastowskiego neutralnymi światopoglądowo. Co na to resort edukacji?

królem Polski koronowanym tego dnia był Lech Wałęsa.

Być może w ten sposób magistrat miasta Poznania zainaugurował obchody tysiąclecia pierwszej polskiej koronacji. Co prawda, wedle „pisowskiej historiografii”, na siłę umniejszającej zasługi Lecha Totolotmistrza/Pierwszego z Bolesławów, wydarzenie to miało miejsce w 1025 r. za sprawą gnieźnieńskiej koronacji niejakiego Bolesława Chrobrego, klerykała szastającego publicznymi pieniędzmi, by wykupić ciało praskiego biskupa. Od czego jednak wysiłki uśmiechniętej Polski, która – wiadomo to nie od dziś – „na relaksie” podchodzi do uciążliwych dat i wydarzeń z dziejów ojczystych (por. powstanie warszawskie 13 grudnia 1981, copyright by Dariusz Joński).

dzień w chrzcie Mieszka I początki Polski, a koronację pierwszego króla sytuował w katolickiej katedrze, widząc w koronatorze arcybiskupa gnieźnieńskiego.

Prezydent miasta Warszawy plaicyzuje, zdejmując krzyże z urzędów miejskich. Prezydent miasta Poznania czyni dzieje państwa wczesnopiastowskiego neutralnymi światopoglądowo. Co na to Ministerstwo Edukacji Narodowej pracujące nad nowymi podstawami programowymi do historii? Być może już niedługo dowiemy się, że wreszcie skończy się w polskich szkołach „celowe pomniejszanie zasług” Pierwszego z Bolesławów. A pani minister Nowacka może dużo. Zdymisjonowaniem jednego kuratora zakończyła przecież w Polsce średniowiecze.

Wojciech Cejrowski
korespondencja z USA

W Kalifornii uchwalono podwyżkę płacy minimalnej. W pierwszym roku obowiązywania wyższych stawek pracę straciło 10 tys. osób. Mieli zarabiać więcej, a zamiast tego poszli na bruk i zarabiają zero. Polityk wymyśla płacę minimalną, aby zdobyć głosy, ale na realnym rynku pracy jest cała masa roboty, która nie jest warta tyle, ile polityk sobie wymyślił. Co wtedy robi właściciel firmy? Zwalnianie pracowników, którzy zrobili się zbyt drodzy.

W Kalifornii ustalono stawkę minimalną na poziomie 20 dol. za godzinę dla pracowników barów szybkiej obsługi. Czyli ktoś przewraca naleśniki na patelni, a inny robi na zmywaku i nagle trzeba im płacić po 20 doliców za godzinę. Ich praca nie wymaga szkoły, nie wymaga żadnych zdolności, nie wymaga stażu, możesz być do tej roboty niepiśmienny, możesz nie znać języka, możesz pracować dorywczo w czasie wakacji... Ta robota nie jest warta 20 dol. na godzinę. Skoro jednak władza wymusiła takie stawki, to pracodawcy zwolnili ludzi. Gdyby ich nie zwolnili, musieliby podnieść cenę naleśników, a wówczas klienci stwierdziliby, że oni sobie raczej kupią stek w normalnej restauracji, bo wychodzi tyle samo co naleśnik w barze szybkiej obsługi.

A kto w takim razie wykonuje teraz robotę tych zwolnionych 10 tys. ludzi? Inni pracownicy w tym samym barze dostali więcej obowiązków w ramach tej samej pensji, a jak się komu nie podoba, to zawsze może się zamienić z którymś z tych 10 tys. Czyli podniesienie stawki minimalnej spowodowało likwidację tysięcy miejsc



FOT. W. CEJROWSKI / LUDYJANISAWA / SHUTTERSTOCK

pracy oraz obciążenie pozostałych pracowników większą masą roboty za tę samą pensję. Takie są efekty wtrącania się polityków do gospodarki.

Sytuację podobną do tego, co w Kalifornii, mamy też w Polsce. PiS chciał wygrać wybory i kilkakrotnie podnosił stawkę minimalną oraz zwalzał proste i dobre umowy „śmieciovę”. Ktoś, kto te umowy tak nazwał, to głupek. Umowa „śmieciovą” daje najwięcej praw i najmniej obowiązków pracownikowi. Komu? Tak – PRACOWNIKOWI. Na umowie „śmieciovę” pracownik mógł po prostu w dowolnej chwili wyjść z firmy, rzucając robotę bez żadnych konsekwencji. A rynek przecież od wielu lat mamy taki, że brakuje rąk do pracy. Kto jest więc stale sterroryzowany tym, że mu zabraknie pracowników? Właściciel firmy – to on się stale boi, że mu ludzie nie przyjdą do roboty.

Gdyby pracownicy Biedronki miały umowy „śmieciovę”, mogłyby szantażować szefa, że po prostu wstaną i wyjdą, a on zostanie na Boże Narodzenie z całym tym niesprzedanym towarem lub na długi weekend z całą tą niesprzedaną karkówką. Umowy „śmieciovę” były więc doskonałe.

Po kolejnej podwyżce płacy minimalnej mój znajomy właściciel drukarni musiał zwolnić część załogi, bo go nie było stać na podwyższone ustawowo pensje. Zwalniani ludzie mówili, że chętnie będą nadal pracować za poprzednią

pensję, nie chcą podwyżek, lecz PRACY. Niestety, pracę stracili, bo prawo zabrania zatrudniać za stawkę niższą niż urzędowa minimalna, nawet w sytuacji, gdy pracodawca i pracownik tego chcą. Mieli zarabiać więcej, a zamiast tego poszli na bruk i zarabiają zero.

Telewizja Republika podaje, że w pierwszym kwartale zatrudnienie w Polsce zmniejszyło się najszybciej w Europie, a kolejne firmy kończą u nas działalność. Polsat informuje, że upadają przedsiębiorstwa, a firmy zagraniczne przenoszą się do innego kraju.

Politycy to imbecyle, więc cieszą się z inwestycji zagranicznych, a przecież inwestycje zagraniczne są szkodliwe. Ktoś inwestuje w Polsce nie po to, by się Polska bogaciła, lecz po to, by coś z Polski wydoić i zabrać do domu. Inwestor zagraniczny nie odczuwa problemów moralnych, na wypadek gdyby z rachunku ekonomicznego wynikało, że teraz trzeba z Polski wiać do kolejnego kraju. Przedsiębiorca polski ma skrupuły, bo zatrudnia ludzi ze swojego terenu, zaplecza; niektórzy pracownicy to jacyś jego znajomi z okolicy, a do tego polski przedsiębiorca mieszka gdzieś w pobliżu własnej firmy i zastanowi się dwa razy, zanim wyrzuci ludzi na bruk, gdyż potem będzie ich spotykał, widywał...

Inwestycje zagraniczne są zagrożeniem gospodarczym, a nie żadnym dobrodziejstwem, bo inwestorzy zagraniczni na

kryzys reagują ewakuacją i nie przejmują się zgłuszczeniami, które zostawiają.

Politycy to imbecyle. (Istnieją wyjątki). Są szkodliwi jak mszyce lub mole i tak ich należy traktować. Nie czuje się nienawiszczy do robactwa. Robactwo należy tępić, bo zeżre swetry lub spowoduje choroby. Nie warto być złym na karalucha. Taka już jego natura. Mechanik nie jest zły na silnik, który się zepsuł – musi go naprawić i tyle. Na mszyce i mole się nie złości, lecz je zwalcza i unika, gdy się da. Nie rozumiem, co robią, ale niszczą. Imbecyle biją brawo w Sejmie, popierają sprawy, o których nie mają pojęcia, uczestniczą z zapalem w rzeczach, których nie rozumieją, uchwalają płacę minimalną. Stanowią masę zamachową dla tych drugich – inteligentnych.

Polityk inteligentny stanowi zagrożenie śmiertelne. Gdy jest człowiekiem inteligentnym i złym, stanowi zagrożenie dla ciebie osobiście i dla społeczeństwa, którym zarządza, a gdy jest człowiekiem inteligentnym i dobrym, stanowi zagrożenie dla systemu władzy (tym właśnie był i jest Trump – śmiertelnym zagrożeniem dla systemu).

Ludzi dobrych, a jednocześnie inteligentnych jest w polityce niewiele. Gdy widzisz polityka, bezpieczniej założyć, że jest zły. Tak jak na pasach bezpieczniej jest zakładać, że nadjeżdżający samochód nie zdąży wyhamować.

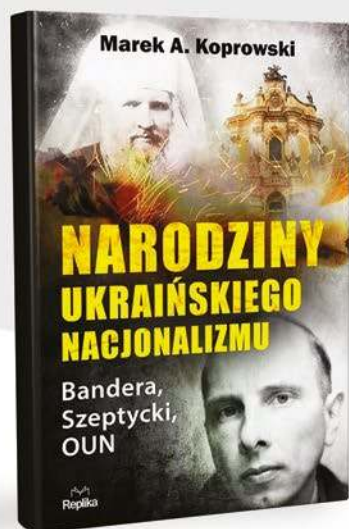
Biden kontra Trump to imbecyl kontra inteligentny. Ja się na Bidena nie złościę już od bardzo dawna, natomiast traktuję go jak najgorszą dżumę – dżuma nie myśli, nie czuje, nie rozumie, ale stanowi zagrożenie. © ©

Uwaga: nowe ceny!

TYGODNIK LISICKIEGO
**DO
RZECZY**

ROCZNA PRENUMERATA

TYGODNIKA DO RZECZY I MIESIĘCZNIKA HISTORIA DO RZECZY



W PREZENCIE

KSIĄŻKA

MAREK A. KOPROWSKI:
„NARODZINY UKRAIŃSKIEGO
NACJONALIZMU”

ORAZ DOSTĘP DO E-WYDANIA



~~1353~~zł

420,00zł

OSZCZĘDNOŚĆ 933zł

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania

| Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | Każde wydanie trafi do Ciebie pocztą bez dodatkowych opłat

| W cenie dostęp do e-wydania, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:

WEJDŹ NA SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL, WYBIERZ I ZAMÓW W WYBRANEJ OFERCIE

WPŁATA NA KONTO: **UWAGA NOWY NUMER: 33 1600 1462 1816 5874 1000 0006**

W tytule przelewu prosimy o podanie danych adresowych oraz adresu e-mail

ORLE PIÓRO S.A., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:

Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

ZOBACZ NASZE OFERTY: SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL

WIĘCEJ INFORMACJI | E-MAIL: prenumerata@mpg.pl | TELEFON: 508 040 664, 539 953 631 (pon-pt od 10:00 do 16:00) | INTERNET: subskrypcja.dorzeczy.pl

eprasa.pl 50e9226c50

R
RENAISSANCE®
WARSAW AIRPORT HOTEL

PODRÓŻUJ
KOMFORTOWO
NA WAKACJE

Planujesz podróż
samolotem na rodzinne
wakacje? Zarezerwuj
wygodny nocleg tuż
przy lotnisku w Warszawie.



67 KROKÓW
OD LOTNISKA
CHOPINA



DZIECI
ŚPIĄ GRATIS!



Sprawdź, co dla Ciebie
przygotowaliśmy!

* Dzieci do lat 12 śpią w pokoju opiekuna bez dodatkowej dopłaty.

renaissancewarszawa.pl
+48 22 164 70 00
res@renaissance.waw.pl